

STEFAN ŻEROMSKI

---

**Ludzie bezdomni,  
tom pierwszy**

  
wolnelektury.pl



FUNDACJA  
nowoczesna  
Polska



Ta lektura, podobnie jak tysiące innych, jest dostępna on-line na stronie wolnelektury.pl.

Utwór opracowany został w ramach projektu Wolne Lektury przez fundację Nowoczesna Polska.

---

STEFAN ŻEROMSKI

# *Ludzie bezdomni*

## TOM I

### WENUS Z MIŁO<sup>1</sup>

Tomasz Judym wracał przez Champs Elysees z Lasku Bulońskiego, dokąd jeździł ze swej dzielnicy koleją obwodową. Szedł wolno, noga za nogą, wyczuwając coraz większy wskutek upału ciężar własnej marynarki i kapelusza. Istny potop blasku słonecznego zalewał przestwór. Nad odległym widokiem gmachów rzucających się w oczy od Łuku Tryumfalnego wisiał różowy pyłek, który już zaczął wżerać się niby rdza nawet w śliczne, jasnozielone liście wiosenne, nawet w kwiatuszki paulowni<sup>2</sup>. Z wszystkich, zdawało się, stron płynął zapach akacji. Na żwirze, dokoła pniów, pod budynkami, w rynsztokach leżały jej białe kwiatki z ośrodkiem czerwonym, jakby skrwawionym od ukłucia śmierci. Pył bezlitosny zasypywał je niepostrzeżenie.

Zbliżała się godzina spaceru wielkiego świata i pola drgać zaczynały od ruchu karet. Na drewnianym bruku dudnił jednostajny łoskot jakby oddalona mowa wielkiej fabryki. Przebiegały piękne, lśniące rumaki, migotała ich uprząż, pudła, sprychy lekkich pojazdów — i mknęły, mknęły, mknęły bez ustanku wiosenne stroje kobiece o barwach czystych, rozmaitych i sprawiających rozkoszne wrażenie, jakby natury dziewiczej. Kiedy niekiedy wynurzała się z powodzi osób jadących twarz subtelna, wydelikaccona, tak nie do uwierzenia piękna, że widok jej był pieszczotą dla wzroku i nerwów. Wyrывał z piersi tęskne westchnienie jak za szczęściem — i ginął unosząc je w mgnieniu oka ze sobą.

Judym znalazł pod osłoną kasztanów brzeg wolnej ławy i z wielką satysfakcją usiadł tam w sąsiedztwie starej i wąsatej niańki dwojga dzieci. Zdjął kapelusz i wlepiwszy wzrok w rzekę pojazdów, walać środkiem ulicy, z wolna wystygła. Na chodnikach przybywało coraz więcej osób ubranych wykwintnie — lśniących cylindrów, jasnych paltotów i staniczków. W pewnej chwili stare babsko z chytrymi oczami wprowadziło między strojny tłum młode kozłátko z sierścią jak śnieg bielutką. Stado dzieci postępowało za koziołkiem uwielbiając go gestami, oczyma i tysiącem okrzyków. Kiedy indziej wielki obdartus czerwony na gębie przeleciał jak fiks, wyrzaskując głosem ochryplym rezultat ostatniego biegu koni. I znowu spokojnie, równo, uroczco płynęła rzeka ludzka na chodnikach, a środkiem rwał jej nurt bystry, uwieniczony pianą tkanin precudnych, lekkich, w oddali niebieskawozielonych...

Każdy rozpuszczony liść rzucał na biały żwir z okrągłych kamyków wyraźne odbicie swego kształtu. Cienie te posuwały się z wolna, jak mała wskazówka po białej tarczy zegara. Na ławkach było już pełno, a tymczasem cień opuścił miejsce zajęte przez Judyma i ustąpił je roztopiającej kaskadzie słońca. Naokół innego *asilum*<sup>3</sup> nie było, więc doktor rad nierad wstał i powłókł się dalej ku placowi Zgody. Z niecierpliwością wyczekiwał, kiedy można będzie przemknąć się wskroś istnego odmetu karet, powozów, dorożek, bicyklów<sup>4</sup> i pieszych na zakręcie głównej fali pędzącej od bulwarów w stronę Pól Elizejskich. Wreszcie stanął pod obeliskiem<sup>5</sup> i poszedł w głąb ogrodu des Tuileries. Tam było prawie pusto. Tylko nad nudnymi sadzawkami bawiły się blade dzieci i w głównym szpalerze kilku mężczyzn rozebranych do koszuli grało w tenisa. Minąwszy ogród Judym zwrócił się ku rzece z zamiarem wędrowania w cieniu murów na placik przed kościołem Saint-Germain-l'Auxerrois i ogarnięcia bez troski miejsca na imperiale<sup>6</sup>. W owej chwili stało w jego myśli puste kawalerskie mieszkanie aż na Boulevard Voltaire, gdzie od roku nocował, i mierziło go pustką swych ścian, banalnością sprzętów i nieprzewycięzoną, cudzoziemską nudą wiejącą z każdego kąta. Pracować mu się nie chciało, iść do kliniki — za, nic na świecie.

Znalazł się na Quai du Louvre i z uczuciem błogości w karku i plecach zatrzymał pod cieniem pierwszego kasztana bulwaru. Ospałym wzrokiem mierzył brudną, prawie czarną wodę Sekwany. Gdy tak sterczał na podobieństwo latarni, zapaliła się w nim myśl, jakby

<sup>1</sup> *Wenus z Milo* — starożytna rzeźba marmurowa z końca II w. p.n.e., przedstawiająca grecką boginię miłości Afrodytę (rzymska Wenus), znaleziona na wyspie Milo w r. 1820. Obecnie znajduje się w słynnym muzeum paryskim — Luwrze [przypis redakcyjny]

<sup>2</sup> *paulownia* — drzewo ozdobne, o wonnych fioletowych kwiatkach. [przypis redakcyjny]

<sup>3</sup> *asilum* (łac.) — schronienie. [przypis redakcyjny]

<sup>4</sup> Bicykl — nazwa pierwszych rowerów [przypis redakcyjny]

<sup>5</sup> *obelisk* — mowa o słynnym obelisku egipskim, zdobiącym plac Zgody w Paryżu [przypis redakcyjny]

<sup>6</sup> *Imperial* — górna, otwarta część omnibusu [przypis redakcyjny]

Miasto

Lato, Rośliny

Rośliny

z zewnątrz wniesiona do wnętrza głowy: „Dlaczegoż, u licha, nie miałbym pójść do tego Luwru?...”

Skręcił na miejscu i wszedł na wielki dziedziniec. W cieniach przytulonych do grubego muru, w które zanurzył się niby w głębie wody, dotarł do głównego wejścia i znalazł się w chłodnych salach pierwszego piętra. Dokoła stały odwieczne posągi bogów, jedne wielkości niezwyklej, inne naturalnej, a wszystkie prawie z nosami i rękoma uszkodzonymi w sposób bezbożny. Judym nie zwracał uwagi na tych zdegradowanych władców świata. Czasami zatrzymywał się przed którymś, ale przeważnie wówczas, gdy go uderzył jakiś zabawny despekt boskich kształtów. Nade wszystko interesowała go sprawa odpoczynku w doskonałym chłodzie i z dala od wrzawy ulicy paryskiej. Szukał też nie tyle arcydzieł, ile ławki, na której by mógł usiąść. Zdybał ją po długiej wędrówce z sali do sali w narożnym zetknięciu się dwu długich galerii, przeznaczonych na schronienie dla Wenus z wyspy Melos.

W zakątku tworzącym jakby niewielką izbę, oświetloną jednym oknem, stoi na niewysokim piedestale tors białej Afrodyty. Sznur owinięty czerwonym pluszem nikomu do niej przystępu nie daje. Judym widział już był ten cenny posąg, ale nie zwracał nań uwagi, jak na wszelkie w ogóle dzieła sztuki. Teraz zdobywszy w cieniu pod ścianą wygodną ławeczkę jął dla zabicia czasu patrzeć w oblicze marmurowej piękności. Głowa jej zwrócona była w jego stronę i martwe oczy zdawały się patrzeć. Schylone czoło wynurzało się z mroku i, jakby dla obaczenia czegoś, brwi się zsunęły. Judym przyglądał się jej nawzajem i wtedy dopiero ujrzał małą, niewidoczną fałdę między brwiami, która sprawia, że ta głowa, że ta bryła kamienna w istocie — myśli. Z przenikliwą siłą spogląda w mrok dokoła leżący i rozdziera go jasnymi oczyma. Zatopila je w skrytości życia i do czegoś w nim uśmiech swój obraca. Wyteżywszy rozum nieograniczony i czysty, posiadała wiadomość o wszystkim, zobaczyła wieczne dnie i prace na ziemi, noce i lzy, które w ich mroku płyną. Jeszcze z białego czoła bogini nie zdążyła odejść mądra o tym zaduma, a już wielka radość dziewicza pachnie z jej ust rozmarzonych. W uśmiechu ich zamyka się wyraz uwielbienia. Dla miłości szczęśliwej. Dla uczestnictwa wolnego ducha i wolnego ciała w życiu bezgrzesznej przyrody. Dla ostrej potęgi zachwyty zmysłów, którego nie stępiły jeszcze ani praca, ani zgryzota, siostry rodzone, siostry nieszczęsne. Uśmiech bogini pozdrawia nadchodzącego z daleka. Oto zakochała się w pięknym śmiertelniku Adonisie<sup>7</sup>... Cudne marzenia pierwszej miłości rozkwitły w łonie jej jako kwiat siedmioramienny amarylisa. Barki jej wąskie, wysmukłe, okrągłe dźwignęły się do góry. Dziewicze łono drży od westchnienia... Długi szereg wieków, który odtrącił jej ręce, który zrabował jej ciało od piersi i zorał przesłiczne ramiona szczerbami, nie zdołał go zniweczyć. Stała tak w półmroku „wynurzająca się”, Anadiomene<sup>8</sup>, niebiańska, która roznieca miłość. Obnażone jej włosy związane były w piękny węzeł, *krobylos*. Podłużna, smągła twarz tchnęła nieopisanym urokiem.

Gdy Judym wpatrywał się coraz uważniej w to czoło zamysłone, dopiero zrozumiał, że ma przed sobą wizerunek bogini. Była to Afrodite, ona sama, która się była poczęła z piany morskiej. I mimo woli przychodziła na myśl nieskromna legenda o przyczynie onej piany wód za sprawą Uranosa<sup>9</sup>. A przecież nie była to Pandemos<sup>10</sup>, nie była nawet żona Hefajstowa ani kochanka Anchizesa<sup>11</sup>, a tylko jasny i dobry symbol życia, córka nieba i dnia...

Judym zatonął w myślach i nie zwracał uwagi na osoby, które się obok niego przesuwały. Było ich zresztą mało. Ocknął się dopiero wówczas, gdy usłyszał w sąsiedniej sali

<sup>7</sup>Adonis — według mitologii greckiej: niezwyklej urody młodzieniec, w którym zakochała się Afrodyta. Gdy zginął na polowaniu rozdarty kłami dzika, bogini uprosiła Zeusa, aby wyprowadził duszę kochanka z Hadesu i oblekł ją w dawne piękne ciało. Odtąd Adonis sześć miesięcy spędzał przy Afrodycie, pozostałą część roku — w świecie umarłych. [przypis redakcyjny]

<sup>8</sup>Anadiomene (gr.) — wynurzająca się; jeden z przydomków Afrodyty, nawiązujący do legendy, według której bogini miała się narodzić z piany morskiej. [przypis redakcyjny]

<sup>9</sup>Uranos — według mitologii greckiej Uranos (Niebo) i Gaja (Ziemia) stanowili pierwszą parę bogów. [przypis redakcyjny]

<sup>10</sup>Pandemos (gr.) — należąca do całego ludu, przydomek Afrodyty jako opiekunki wolnej miłości. [przypis redakcyjny]

<sup>11</sup>Żona Hefajstowa... kochanka Anchizesa — Afrodyta była żoną greckiego boga ognia i sztuki kowalskiej, Hefajstosa, a także kochanką Anchizesa, ojca Eneasza. [przypis redakcyjny]

kilka zdań wyrzeczonych po polsku. Zwrócił głowę z żywą niechęcią w stronę tego dźwięku, pewny, że zbliża się ktoś „z kolonii”, ktoś, co siądzie przy nim i zabierze na własność minuty rozmyślenia o pięknej Wenus. Zdziwił się mile, zobaczywszy osoby „pozaparyskie”. Było ich cztery. Na przedzie szły dwie panienki — podlotki, z których starsza mogła mieć lat siedemnaście, a druga była o jakie dwa lata młodsza. Za nimi ciężko toczyła się dama niemalej wagi, wiekowa, z siwymi włosami i dużą a jeszcze piękną twarzą. Obok tej matrony szła panna dwudziestokilkuletnia, ciemna brunetka z niebieskimi oczami, prześliczna i zgrabna. Wszystkie stanęły przed posągiem i w milczeniu go rozpatrywały. Słychać było tylko ciężkie, przytłumione sapanie starej damy, szelest jedwabiu odzywający się za każdym ruchem podlotków i chrzęst kart Badeckera<sup>12</sup>, które przewracała starsza panna.

— Wszystko to pięknie, moje serce — rzekła matrona do ostatniej — ale ja muszę usiąść. Ani kroku! Zresztą warto popatrzeć na tę imość. Tak... jest tu nawet ławeczka.

Judym wstał ze swego miejsca i wolno odszedł kilka kroków na bok, jak gdyby dla obejrzenia biustu z innej strony. Te panie spojrzwały sobie w oczy z wyrazem pytania i przyciszyły rozmowę. Tylko najstarsza z panien, zajęta Badeckerem, nie widziała Judy. Otyła babcia energicznie usiadła na ławce, wyciągnęła nogi ile się dało, i na jakieś szepty młodych towarzyszek odpowiadała również szeptem właściwym starym paniom, który ma tę własność, że w razie potrzeby może zastąpić telefonowanie na pewną odległość:

— A, Polak nie Polak, Francuz nie Francuz, Hiszpan czy Turek, to mi jest wszystko jedno. Niech mu Bóg da zdrowie za to, że stąd wylazł. Nogi mi odjęło z kretešem... A teraz patrz jedna z drugą na tę, bo to przecie nie byle co. Już ją człowiek raz widział dawnymi czasy. Jakoś mi się wtedy inna wydała...

— A bo to pewno inna... — rzekła młodsza z turystek.

— Nie myśl no o tym, czy inna, czy nie inna, tylko się przypatrz. Spytają później w salonie o taką rzecz, a ty ni be, ni me...

Druga panienka bez zachęty obserwowała Wenus w sposób zadziwiający. Była to śniada blondynka z twarzą o cerze mętnej, smagławej. Czoło miała dość wąskie, noszek prosty, wargi cienkie i zawarte. Nie można było określić, czy jest ładna, czy brzydka. Wywierała wrażenie śniącej czy rozmarzonej, bo powieki miała prawie przymknięte.

Judyma zaciekała ta twarz, więc stanął i nieznacznie ją śledził. Patrzyła na marmurowe bóstwo od niechcenia, a jednak z takim wyrazem, jakby go się uczyła na pamięć, jakby je spod oka wzrokiem chłoneła. Kiedy niekiedy wąskie i płaskie jej nozdrza rozszerzały się lekko od szybkiego westchnienia. W pewnej chwili Judym zauważył, że powieki spuszczone z nabożeństwem i dziewiczą skromnością dźwignęły się ociężale i źrenice dotąd zakryte widzą nie tylko Wenus, ale i jego samego. Zanim wszakże zdążył zobaczyć barwę tych oczu, już się skryły pod rzęsami.

Tymczasem najstarsza z panien odczytała cały rozdział o historii posągu i zbliżyła się do pluszowego sznura. Oparłszy na nim ręce zaczęła przyglądać się rzeźbie z ciekawością, entuzjazmem i oddaniem się, właściwym tylko niewiastom. Można by powiedzieć, że w owej chwili przystępowała do zobaczenia Wenus z Milo. Oczy jej nie były w stanie nic prócz posągu zauważyć, pragnęły i usiłowały zliczyć wszystkie piękności, wszystkie cechy dłuta Skopasa<sup>13</sup>... o których mówił Badecker, spamiętać je i ułożyć w głowie systematycznie jak czystą bieliznę w kufrze podróżnym. Były to oczy szczere aż do naiwności. Zarówno jak cała twarz odzwierciedlały subtelne cienie myśli przechodzących, oddawały niby wierne echo każdy dźwięk duszy i wszystko mówiły bez względu na to, czy kto widzi lub nie, ich wyraz.

Judym po kilkuminutowej obserwacji tej twarzy nabrał przekonania, że gdyby piękna panna pragnęła szczerze zataić otrzymane wrażenie, mowa oczu natychmiast je wyda. Stał w cieniu i przyglądał się grze uczuć przesuwających się po jasnej twarzy. Oto mało wiedząca ciekawość... Oto pierwszy promyczek wrażenia sunie się po brwiach, przyciska rzęsy i zmierza ku wargom, ażeby je zgiąć do miłego uśmiechu. Te same uczucia, które

Kobieta

<sup>12</sup>Badecker (potocznie bedeker) — przewodnik dla zagranicznych turystów (od nazwiska wydawcy K. Badeckera). [przypis redakcyjny]

<sup>13</sup>Skopas — słynny rzeźbiarz grecki, żyjący na przełomie IV i III w. p.n.e.; mylnie przypisywano mu autorstwo posągu Afrodyty, znalezionej na wyspie Milo [przypis redakcyjny]

Judym przed chwilą miał w sobie, widział teraz na licach nieznajomej. Sprawiało mu to szczerą przyjemność. Rad by był zapytał, czy się nie myli, i usłyszał z pięknych ust wynurzenie wrażeń. Nigdy jeszcze w życiu nie doświadczał takiej chęci rozmawiania o sztuce i słuchania z pilnością, co sądzi o ulatujących wrażeniach drugi człowiek...

Tymczasem ów drugi człowiek, zajęty statua, na śledztwo ani na badacza żadnej uwagi nie zwracał.

— Pamiętam — rzekła dama w wieku — inną grupę z marmuru. Była to jakaś scena mitologiczna. Geniusz czy amorek ze skrzydłami całuje śliczne dziewczętko. Jest to może cokolwiek niewłaściwe dla was, moje sroki, ale tak piękne, tak urocze, tak *agréable*<sup>14</sup>, tak *sensible*<sup>15</sup>...

Najstarsza z panien podniosła głowę i, wysłuchawszy całego zdania z uwagą, rzekła przerzucając kartki:

— Coś tu zauważyłam... *L'Amour et Psyché*... Antoine Canova<sup>16</sup>. Czy to nie to?

— A może i Psyche. Tylko że waham się, czy wam to pokazać — dodała ciszej.

— W Paryżu! Jesteśmy teraz w Paryżu! Musimy umoczyć wargi w pucharze rozputy... — szepnęła brunetka do starej damy w sekrecie przed młodszymi towarzyszkami.

— A co mi tam ty obchodzisz! Ty sobie oczy wypatruj na wszelkie Amory malowane i rzeźbione, ale te oto...

— Babcia myśli, że my rozumiemy cokolwiek... — rzekła z przepyszną miną najmłodsza. — Nie wiem tylko, po co tyle czasu tracić na oglądanie tych rozmaitych korytarzy z obrazami, kiedy na ulicach jest tak bosko, taki Paryż!

— Ależ, Wando... — jęknęła brunetka.

— No, pani to rozumie, a ja zupełnie nic! Co w tym jest ciekawego? Wszelkie te muzea i zbiory zawsze mają w sobie coś z trupiarni, tylko że są jeszcze nudniejsze. Na przykład... Cluny<sup>17</sup>. Jakież doły, pieczary, kawałki odrapanych murów, cegły, nogi, ręce, gnaty...

— Cóż ty mówisz?

— No więc nie? Weźmy Carnavalet<sup>18</sup>... Piszczele, paskudne, zakurzone truposze, stare rupiecie spod kościołów. W dodatku trzeba koło tego chodzić z miną uroczystą, nadętą, obok każdej rzeczy stać kwadrans, udając, że się patrzy. Albo i tutaj: obrazy, obrazy i obrazy bez końca. No i te figury...

— Moje dziecko — wtrąciła babka — są to arcydzieła, że tak powiem...

— Wiem, wiem... arcydzieła. Ale przecież wszystkie obrazy są do siebie podobne jak dwie krople wody: wylakierowane drzewa i gołe panny z takimi tutaj...

— Wando! — krzyknęły wszystkie trzy towarzyszki z przestraszeniem, oglądając się dookoła.

Judym nie wiedział, co czynić ze swoją osobą. Rozumiał, że należałoby wyjść, aby nie słuchać mowy osób, które nie wiedzą, że jest Polakiem, ale żal mu było. Czuł w sobie nie tylko chęć, ale nawet odwagę wmieszania się do tej rozmowy. Stał bezradnie, wytrzeszczonymi oczyma patrząc przed siebie.

— No to chodźmy do tego *Amora i Psyche*... — rzekła stara dama dźwigając się z ławeczki. — Tylko gdzie to jest — wbij zęby w ścianę...

— Niech babcia nie zapomina, że dziś jeszcze raz miałyśmy być w tamtym prawdziwym Luwrze<sup>19</sup>.

— Cicho mi bądź! Czekajcie no... Gdzież jest ów Canova? Pamiętam, byliśmy tam z Januarem... Szło się jakoś... Zaraz...

<sup>14</sup>*agréable* (franc.) — przyjemny. [przypis redakcyjny]

<sup>15</sup>*sensible* (franc.) — tu: przemawiający do uczucia. [przypis redakcyjny]

<sup>16</sup>Antoine Canova (1757—1822) — słynny rzeźbiarz włoski. Mowa o jego rzeźbie przedstawiającej mitologicznych kochanków: boga miłości Amora i królową Psyche. [przypis redakcyjny]

<sup>17</sup>Cluny — pałac w Paryżu (z XV w.) należący do opactwa w Cluny. Mieści się w nim słynne muzeum, zawierające bogate zbiory z zakresu rzemiosła i sztuki stosowanej, większość pochodzi z XIV, XV i XVI w. [przypis redakcyjny]

<sup>18</sup>Carnavalet — muzeum historyczne Paryża, zawierające cenne zbiory z okresu rewolucji 1789 r. [przypis redakcyjny]

<sup>19</sup>W tamtym prawdziwym Luwrze — Wanda ma na myśli magazyn tej nazwy przy ul. Tivoli. [przypis redakcyjny]

— Jeżeli panie pozwolą, to wskażę im najbliższą drogę do Amora... to jest... Antoniego Canovy... — rzekł dr Tomasz zdejmując kapelusz i zbliżając się wśród ukłonów.

Na dźwięk mowy polskiej w jego ustach wszystkie trzy dziewice odruchowo zbliżyły się do starej damy, jakby się przed zbójcą chroniły pod jej skrzydła.

— Aa... — odezwała się babka wznosząc głowę i mierząc młodego człowieka okiem dość niechętnym. — Dziękuję, bardzo dziękuję...

— Panie darują, że gdy się słyszy... W Paryżu tak rzeczywiście... bardzo, bardzo rzadko... — plótl Judym tracąc pewność nóg i języka.

— Pan stale w Paryżu? — spytała ostro.

— Tak. Mieszkam tu od roku. Więcej niż od roku, bo jakieś piętnaście miesięcy... Nazywam się... Judym. Jako lekarz studiuję tutaj pewne... To jest właściwie...

— Więc mówi pan, że jako lekarz?...

— Tak jest — mówił dr Tomasz, oburącz chwytając się wátka rozmowy, pomimo że wyciągała na wierzch kwestie tyżące się jego osoby, których nie znoził. — Skończyłem medycynę w Warszawie, a obecnie pracuję tutaj w klinikach, w dziedzinie chirurgii.

— Miło mi poznać pana doktora... — cedziła dama dość oziębłe. — My wojażujemy, jak pan widzi, we czwórkę, z kąta w kąt. Niewadzka... To moje dwie wnuczki, sieroty, Orszeńskie, a to ich i moja najmilsza przyjaciółka, panna Joanna Podborska.

Judym kłaniał się jeszcze z wrodzonym płątaniem się nóg, gdy pani Niewadzka rzekła z akcentem żywego interesu w tonie mowy:

— Znałam, tak, nie myślę się, kogoś tego nazwiska, pana Judyma czy pannę Judymównę, na Wołyniu bodaj... zdaje się, że to tak, na Wołyniu... A pan z jakich okolic?

Dr Tomasz rad by był udać, że nie słyszy tego pytania. Gdy jednak pani Niewadzka zwróciła ku niemu wejrzenie, mówił:

— Ja pochodzę z Warszawy, z samej Warszawy. I z bardzo byle jakich Judymów...

— Dlaczegoż to?

— Ojciec mój był szewcem, a w dodatku lichym szewcem na Ciepłej ulicy. Na Ciepłej ulicy... — powtórzył z kłującą satysfakcją. Uniknął wreszcie chwiejnego gruntu i grzecznych delikatności, w czym nie był mocny i czego się w przesadny sposób obawiał. Panie umilkły i posuwały się z wolna, równolegle, szeleszcząc sukniami.

— Bardzo się cieszę, bardzo... — mówiła spokojnie pani Niewadzka — że miałam sposobność zawarcia tak miłej znajomości. Więc pan zbadał tutaj wszelkie dzieła sztuki? Zapewne, mieszkając stale w Paryżu... Jesteśmy bardzo obowiązane...

— *Amor i Psyche* będzie chyba w innym gmachu — rzekła panna Podborska.

— Tak, w innym... Wyjdziemy na dziedziniec.

Gdy tam stanęli, pani Niewadzka zwróciła się do Judyma i z imitacją uprzejmości rzekła:

— Tak ostro pan wymienił zatrudnienie swego ojca, że czuję się prawdziwie upokorzona. Zechce mi pan wierzyć, że nie miałam intencji pytaniem o jakieś tam koligacje sprawić mu przykrości. Po prostu nałóg starej baby, która długo żyła i dużo ludzi na świecie widziała. Miło jest, to prawda, zetknąć się z człowiekiem, którego osoba mówi o dawnych rzeczach, ludziach, stosunkach, ale o ileż przyjemniej, o ileż... przyjemniej...

— Ojciec pana, ten szewc, robił damskie obuwie czy męskie kamasze? — zapytała przymrużając oczy młodsza z pań Orszeńskich.

— Trzewiki, głównie trzewiki, w dość odległych jedna od drugiej chwilach przytomności, najczęściej bowiem robił po pijanemu awantury, gdzie się dało.

— No, to już zupełnie w głowie mi się nie mieści, jakim cudem pan został lekarzem, i do tego — w Paryżu!

Panna Podborska cisnęła na mówiącą spojrzenie pełne rozpaczliwego wstydu.

— W tym, co nam pan o sobie wyznał — rzekła stara jejmość — widzę dużo, dużo odwagi. Doprawdy, że po raz pierwszy zdarzyło mi się słyszeć taką mowę. Proszę pana doktora, jestem stara i różnych ludzi widziałam. Ile razy zdarzyło mi się obcować z... indywiduami nie należącymi do towarzystwa, z osobami... jednym słowem, z ludźmi pochodzącymi ze stanów zwanych — słusznie czy niesłusznie, w to nie wchodzę — gminem, to zawsze ci panowie usiłowali starannie ominąć kwestię swego rodowodu. Znałam co prawda i takich — mówiła jakby z pewnym zadumaniem — którzy w jakimś okresie życia, zwykle w młodości, przyznawali się z emfazą do swego stanu kmieckiego czy tam

Pozycja społeczna, Szlachcic

Ojciec, Pijaństwo

do czegoś, a później nie tylko że ta ich demokratycznie-chępliwa prawdomówność szła sobie na bory, na lasy, ale prócz tego miejsce jej zajmowały jakieś herby przyklepione do drzwiczek karety, jeśli ją fortuna postawiła przede drzwiami mieszkania.

Judym uśmiechnął się szyderczo, kilka kroków szedł w milczeniu, a później zwrócił się do panny Podborskiej z pytaniem:

— Jakież wrażenie zrobiła na pani Wenus z Milo?

— Wenus... — rzekła brunetka, jakby ją to pytanie zbudziło ze snu przykrego. Twarz jej oblał rumieniec, wnet znikł i skupił się w prześlicznych ustach, które nieznacznie drgały.

— Ma caluteńkie plecy poszarpane, jakby ją kto przez cztery dni z rzędu prał ekonomicznym batem... — rzekła kategorycznie panna Wanda.

— Prześliczna... — półgłosem wymówiła panna Natalia, zwracając w stronę Judyma swe matowe oczy. Drugi raz doktor miał możliwość spojrzeć w te oczy i znowu krótko gościło we wszystkich władzach jego duszy nieuchwytnie zatrwożenie. We wzroku tej dziewczyny było coś, jakby zimny, niepołyskujący blask księżycy, kiedy nad senną ziemią tarcza jego we mgłach się kryje.

Panna Podborska ożywiła się i zaraz twarz jej ukazała wewnętrzne wzruszenie.

— Jakaż ona piękna! jakaż prawdziwa! Gdybym w Paryżu mieszkała, przychodziłabym do niej... no, milion nie milion, ale co tydzień, żeby się napatrzeć. Grecy w ogóle stworzyli świat bogów tak cudowny... Goethe...

Usłyszawszy wyraz „Goethe” Judym doznał niesmaku, czytał bowiem z tego poety coś, a nadto niegdyś.

Los zdarzył, że stara dama zatrzymała się w przedsiönku prowadzącym do sali *Amora i Psyche* — i niemym znakiem w dużych bladych oczach pytała Judyma o drogę. Kiedy się znaleziono w obliczu wygłaskanej grupy, owego malowidła w białym marmurze, wszyscy umilkli. Judym ze smutkiem myślał, że właściwie rola jego już się skończyła. Czuł, że wyrwawszy się z wiadomością o papie z Ciepłej nie może towarzyszyć tym paniom i szukać ich znajomości. Znowu w umyśle jego przesunął się pokój „na Wolterze”<sup>20</sup> i stara, wstrętna żona *concierge’a*<sup>21</sup> ze swymi wiekuistymi pytaniami bez sensu. W chwili kiedy najbardziej nie wiedział, co czynić, i nie był pewny, w jaki sposób wypada się rozstać, pani Niewadzka jakby zgadując, o czym myśli, rzekła:

— Wybieramy się do Wersalu<sup>22</sup>. Chciałybyśmy zobaczyć okolice, być po drodze w Sevres<sup>23</sup>, w Saint-Cloud<sup>24</sup>... Te wartogłowy pędziłyby z miejsca na miejsce dzień i noc, a ja formalnie upadam. Czy jeździłeś pan do Wersalu? Jak wygodniej? Koleją? Piszę tu o jakimś tramwaju pneumatycznym<sup>25</sup>. Czy to co lepszego niż pociąg?

Miasto

— W Wersalu byłem dwa razy tym właśnie tramwajem, który wydał mi się bardzo dogodny. Idzie wprawdzie wolno, pewnie dwa razy wolniej niż wagon kolejowy, ale za to daje możliwość obserwowania okolicy i Sekwany.

— A więc jedziemy tramwajem! — zawyrokowała panna Wanda.

— O której—że godzinie wychodzi stąd ten *czupirak*?

— Nie pamiętam, proszę pani, ale to tak łatwo się dowiedzieć. Stacja główna mieści się tuż obok Luwru. Jeżeli panie pozwolą...

— O! czyliż śmiałybyśmy pana trudzić...

— Ale dowie się pan, co to szkodzi, moja babciu. Pan tutejszy, paryżanin... — deklamowała panna Wanda odrobinę parodiując ton mowy Judyma.

Tomasz klaniając się odszedł i zadowolony, jakby mu się przytrafiło coś niesłychanie pomyslnego, biegł pędem ku stacji tramwajowej na Quai du Louvre. W mgnieniu oka wyszukał konduktora, wbił sobie w głowę wszystkie godziny oraz minuty i wracał prostując się co chwila i poprawiając krawat... Kiedy zawiadamiał te panie o terminie odjazdu i udzielał im wskazówek, jak się kierować w Wersalu, panna Wanda wypaliła:

<sup>20</sup> „na Wolterze” — na bulwarze Woltera. [przypis redakcyjny]

<sup>21</sup> *Concierge* (franc.) — dozorca. [przypis redakcyjny]

<sup>22</sup> Wersal — wspaniały pałac i park pod Paryżem, z epoki Ludwika XIV, stanowił do r. 1789 rezydencję królów francuskich. Od czasów Ludwika Filipa znajduje się tam muzeum historyczne. [przypis redakcyjny]

<sup>23</sup> Sevres — miasteczko pod Paryżem, w którym mieściła się słynna fabryka porcelany. [przypis redakcyjny]

<sup>24</sup> Saint-Cloud — dawna rezydencja cesarza Napoleona III; ogromny park, otaczający pałac królewski, stał się dla paryżan Popularnym miejscem wycieczek. [przypis redakcyjny]

<sup>25</sup> *tramwaj pneumatyczny* — dawny typ tramwaju poruszanego sprężonym powietrzem. [przypis redakcyjny]



— A więc jedziemy do Wersalu. Bagatela! Do samego Wersalu... Jedziemy tramwajem jakimś tam — a pan z nami.

Zanim Judym zdołał zebrać myśli, dodała:

— Już babcia orzekła, że *malgré tout*<sup>26</sup> i może pan jechać...

— Wanda! — z rozpaczą prawie zgrzytnęła pani Niewadzka rumieniąc się jak dziewczątka. Po chwili zwróciła się do Judyma i usiłowała wywołać przyjazny uśmiech na drżące jeszcze wargi:

— Widzi pan, co to za diabeł czubaty, choć już dopomina się o długą suknię...

— Czy istotnie pozwoliłyby panie towarzyszyć sobie do Wersalu?

— Nie śmiałabym prosić pana, bo to może przerwie zajęcia, ale byłoby nam bardzo przyjemnie.

— Bynajmniej... Byłbym wielce szczęśliwy... Tak dawno... — bąkał Judym.

— Panie, o dziesiątej! — rzekła do niego panna Wanda z palcem wzniesionym do góry i wykonywując oczami cały szereg plastycznych znaków porozumienia.

Doktor już lubił tę dziewczynę zupełnie jak dobrego koleżkę, z którym można paplać bez miary o wszystkich rzeczach i niektórych innych. Trzy osoby starsze od panny Wandy zachowywały niezgrabne milczenie. Judym czuł, że wtargnął do towarzystwa tych pań. Rozumiał swą niższość społeczną i to, że jest w tej samej chwili szewskim synem tudzież aspirantem do „towarzystwa”. Odróżniał w sobie te obydwie substancje i do krwi gryzł dolną wargę.

Po obejrzeniu medalionów Davida d'Angers<sup>27</sup>, z których kilka wniosło do serc obecnych coś jak gdyby modlitwę, wycofano się z muzeum na dziedziniec, a stamtąd na ulicę.

Stara pani przywołała fiakra i oświadczyła swoim pannom, że jadą do sklepów. Judym pożegnał je z elegancją, której w tym właśnie momencie pierwszy raz w życiu zażywał — i oddalił się. Na piętrze omnibusu dążącego w stronę Vincennes wpadł w głębokie i misterne rozmyślania. Było to w jego życiu zdarzenie kapitalne, coś w rodzaju otrzymania patentu albo fabrykacji pierwszej samoistnej recepty. Nigdy jeszcze nie zbliżał się do takich kobiet. Mijał je tylko nieraz na ulicy, widywał czasem w powozach i marzył o nich z nieugaszoną tęsknotą, w skrytości ducha, do której nie ma przystępu myśl kontrolująca. Jakże często, będąc uczniem i studentem, zazdrościł lokajom ich prawa przypatrywania się tym istotom cielesnym, a przecież tak podobnym do cudnych kwiatów zamkniętych w czarownym ogrodzie. Zarazem przyszły mu na myśl jego kobiety: krewne, znajome, kochanki... Każda mniej lub więcej podobna do mężczyzny z ruchów, z ordynarności, z instyktów. Myśl o tym była tak wstrętą, że przymknął oczy i z najgłębszą radością słuchał szelestu sukien, którego jeszcze uszy jego były pełne. Każdy bystry ruch nogi wysmukłych panien był jak drgnienie muzyczne. Połyski ślicznych mantylek, rękawiczek, lekkich krez otaczających szyje, rozniecały w nim jakieś szczególne, nie tyle namiętne, ile estetyczne wzruszenie.

Nazajutrz wstał wcześniej niż zwykle i z wielkim krytycyzmem zbadał swą garderobę we wszelkich jej postaciach. Około dziewiątej wyszedł z domu; a że czasu było jeszcze aż nadto, postanowił iść piechotą.

Przeciskając się wśród tłumu rozmyślał o dyskursie, jakim bawić będzie te panie, układał w myśli całe dialogi nad wyraz wdzięczne, a nawet flirtował w imaginacji, co aż do owej chwili poczytywał był za plugastwo. Przy stacji tramwajów było pusto. Judym zatrzymał się pod jednym z drzew i pełen niepokoju oczekiwał przybycia wczorajszych znajomych. Co chwila rozlegał się ryk statków nurzających się w falach Sekwany, wrzał turkot omnibusów na mostach i przyległych ulicach. Po tamtej stronie rzeki wybiła gdzieś czystym dźwiękiem godzina dziesiąta. Judym słuchał tego głosu jakby uroczystego słowa zapewnienia, że piękne istoty nie przyjdą, że nie przyjdą dlatego mianowicie, że on ich oczekuje. On, Tomasz Judym, Tomek Judym z Ciepłej ulicy.

Stał tak, patrząc na szarą, ciężką wodę i szeptał do siebie:

— Ulica Ciepła, ulica Ciepła...

Było mu nad wszelki wyraz głupio, jakoś niesmacznie i gorzko. W dalekim krańcu przelotnego wspomnienia snuł się obraz brudnej kamienicy...

<sup>26</sup>*malgré tout* (franc.) — mimo wszystko. [przypis redakcyjny]

<sup>27</sup>Jean Pierre David d'Angers (1788—1856) — rzeźbiarz francuski, znakomity portrecista; wykonał m. in. znany z licznych reprodukcji medalion z podobizną Mickiewicza. [przypis redakcyjny]

Pozycja społeczna

Kobieta, Pozycja społeczna,  
Robotnik, Szlachcic

Podniósł głowę i otrząsnął się. Obok niego przesuwali się ludzie wszelkiego typu, a między innymi wędrowny herold „Intransigeanta”<sup>28</sup> dźwigający na wysokim drągu treść ostatniego numeru tej gazety przyklejoną do poprzecznej deski. W owej chwili roznosiciel spuścił ogłoszenie na dół, wsparł się na jego kij i gawędził ze znajomym. Tytuł gazety skojarzył się w umyśle Judyma z przeróżnymi myślami, w których szeregu błąkało się uprzykrzone, niemiłe, bolesne prawie pojęcie: ulica Ciepła, ulica Ciepła...

O rodzinie swej, o warunkach, w jakich żywot jej upływa, myślał w owej chwili niby o czymś niezmiernie obcym, niby o typie pewnej rodziny małomieszczańskiej, która nędzną egzystencję swoją pędziła za panowania króla Jana Kazimierza. Te damy, które zobaczył dnia poprzedniego, stały się dlań tak szybko istotami bliskimi, siostrzanymi, przez wykwintność swych ciał, sukien, ruchów i mowy. Żał mu było, że nie przychodzą, i prawie nieznośnie na samą myśl, że mogą nie przyjść wcale. Jeżeli tak będzie, to dlatego, że z tych szewców wie dzie swój „rodowód...”

Postanowił jechać do Wersalu, ukłonić się im z daleka i wyminąć... Cóż go mogą obchodzić jakieś panny z arystokracji „czy tam z czego”? Chciałby tylko zobaczyć raz jeszcze, przyjrzeć się, jak toto chodzi, jak patrzy na byle obraz ciekawymi oczami...

„Juścić — myślał gapiąc się na wodę — juścić jestem cham, to nie ma co... Czyliż umiem się bawić, czym kiedy pomyślał o tym, jak należy się bawić? Grek połowę życia przepędzał na umiejętnej zabawie. Włoch średniowieczny udoskonalił sztukę próżnowania, to samo takie kobiety... Ja bym się zabawił na wycieczce, ale z kim? Z kobietami mego stanu, z jakimiś, przypuszczam, pannami «miastowymi», ze studentkami, z białogłowami jednym słowem, co się nazywa. Ale z tymi! To jest tak jakby wiek dziewiętnasty, podczas kiedy ja żyję jeszcze z prapradziadkami na początku osiemnastego. Nie posiadam sztuki rozmawiania, zupełnie jakby pisarz prowentowy chciał układać dialogi *a là* Lukian<sup>29</sup> dlatego, że umie pisać piórem... Nie bawiłbym się, tylko bym dbał, żeby nie zrobić czegoś z szewska. Może to i lepiej... Ach, jak to dziwnie... Każda z tych bab tak jakoś żywo interesuje człowieka, każda, nawet ta stara, to istota nowoczesna, wyobrazicielka tego, co tytułujemy kulturą. A ja, cóż ja... szewczyzna...”

— Nie powiedziałaś, że doktorek będzie już na nas czekał! — zawołała tuż za nim panna Wanda.

Judym odwrócił się prędko i ujrzał przed sobą wszystkie cztery znajome. Twarze ich były wesołe. Wśród milej rozmowy panie wdrapały się na imperial, Judym z precyzją windował tam babcie. Gdy się znalazły tak wysoko, przed oczyma ich ukazała się ruchliwa toń Sekwany. Pędziła między granitowymi brzegi zdyszana, udreńczona, jakby w ostatnim wysiłku robiła bokami. Nieczysta, zgęstniała, bura, prawie ciemna woda, w której chlupały parostatki rycząc co chwila, sprawiała smutne wrażenie, jak niewolnica, której szczupłe ręce obracają ciężkie żarna.

— Jaka mała, jaka wąska... — mówiła panna Joanna.

— Phi!... wygląda jak wnuczka Wisły!

— Zupełna karykatura Izary<sup>30</sup>... — rzekła panna Natalia.

— To prawda! Panno Netko, pamięta pani Izarkę, Izunię naszą jasnozieloną, czystą jak iza... — unosiła się panna Wanda.

— Ech, jak iza... — wtrącił Judym.

— Co, nie wierzy pan! Babciu, ten pan formalnie wyznał, że nie wierzy w czystość Izary.

— Rzeczywiście, jakaż to okropna woda! — mówiła wiekowa dama usiłując zamazać co prędzej ostatnie słowa panny Wandy, które nie wiedzieć czemu wywołały rumieniec jak przelotny obłoczek na twarzy panny „Netki”.

W chwili kiedy Judym zamierzał spełnić coś statystycznie-uczonego o wodzie Sekwany, tramwaj beknął przeciągle i wyginając swe wagony na zwrotnicach, niby członki długiego cielska, posunął się wzdłuż brzegu czarnej rzeki. Gałęzie kasztanów z długimi

Kobieta, Woda

Miasto

<sup>28</sup> „Intransigeant” — „Nieprzejednany”, dziennik wychodzący w Paryżu od r. 1880 do r. 1940, reprezentował, początkowo poglądy republikańskie, później wyraźnie prawicowe i nacjonalistyczne. [przypis redakcyjny]

<sup>29</sup> *dialogi a là Lukian* — Lukian z Samosaty (II w.n.e.), grecki pisarz i filozof, był autorem dzieł: *Dialogi bogów* i *Dialogi umarłych*. [przypis redakcyjny]

<sup>30</sup> Izara — prawy dopływ Dunaju, źródła ma w Alpach Tyrolskich, przepływa przez górną Bawarię w pobliżu Monachium. [przypis redakcyjny]

liśćmi kołysały się tuż obok twarzy jadących. Sadza i ostre pyły miejskie wżarły się już w jasną zieloność miękkich powierzchni i obłoczyły je z wolna jak gdyby w śniedź rudawą. Dzień był chmurny. Co chwila przemykały się nad okolicą już to głębokie cienie obłoków, już popielate światło zasepionego przedpołudnia. Ale nikt na to uwagi nie zwracał, gdyż przyciągały wszystką domki z różowego kamienia na przedmiejskich ulicach.

— Cóż to za kamienie? Co za kamienie, panie, panie? — nastawała panna Wanda. Zanim jednak zdążył zebrać myśli, już mu dała pokój, z uśmiechem zwracając głowę w przeciwną stronę. Nad ogrodami, które ze wzgórza zbiegały tam ku rzece, unosił się i wypełniał całe powietrze zapach róż upajający, rozkoszny... Gdzieś między drzewami widać było ogromne rabaty przebijające się na zewnątrz zielonej zasłony płomieniem pasowej i żółtej barwy. Judym obserwował twarze swych pań. Wszystkie nie wyłączając staruszki były jakby natchnione. Zwracały się mimo chęci w kierunku źródła przesłizanej woni i z przymkniętymi powiekami, z uśmiechem na wargach wciągały ją nozdrzami. Szczególniej twarz panny Natalii przykuwała w owej chwili jego uwagę. Ta istota, pochłonięta przez zapach różany, zdawała się być niby jasny motyl, dla którego ten kwiat został stworzony i który sam jeden ma do niego tajemnicze prawo.

Spomiędzy ogrodów wydierały się tu i ówdzie szerniałe mury i kominy fabryk, podobne do wstrętne kadłuba i obmierzłych członków jakiegoś pasożyta, który z brudu się rodzi i nim żyje. Nad wodą i daleko wzdłuż brzegu wlokły się domy przedmieścia biedne, ordynarne i małe. W pewnym miejscu otworzył się przed wzrokiem, jak czelusć, skład węgla roztrzaskający na sąsiednie ściany, drzwi i okna swój czarny oddech. Daleko w przestrzeni widać było przymglony las Meudon.

— Cóż pani się najbardziej podobało w Paryżu? — rzekł Judym do panny Natalii, która obok niego siedziała.

Było to jedno z zapytań przygotowanych jeszcze wczoraj, jak lekcja.

— W Paryżu? — mówiła rozciągając ten wyraz z uśmiechem na ślicznych wargach. — Podoba mi się, to jest sprawia mi przyjemność, wszystko... Ruch, życie... Jest to jak burza! Na przykład w okolicy Gare Saint-Lazare — nie wiem, jak się ta ulica nazywa — gdy się jedzie w powozie i gdy się widzi tych ludzi pędzących trotuarami<sup>31</sup>, te fale, fale... Huczająca powódź... Raz widziałam powódź okropną u stryja, w górach. Woda nagle wezbrała... Wtedy chciało się wołać na nią: wyżej, prędzej, leć! Tu to samo...

— A pani? — zapytał Judym pannę Wandę.

— Mnie... to samo... — mówiła prędko — a oprócz tego Louvre. Tylko nie ten malowany. Fe!... Wie pan, tamten. Teraz, rozumie się, skieruje pan swoje pytanie do „ciotki” Joasi, chociaż od niej trzeba było zacząć, bo ona jest nauczycielką i kochaneczką. Widzi jegomość — mała rzecz, a wstyd. Otóż ja panu powiem. Pannie Joasi podoba się primo „Rybak”<sup>32</sup>, secundo „Myśl”, trzecio „Wenus”, czwarto... Zresztą nam się wszystkim ogromnie podoba i „Rybak”, i „Myśl”... Babci...

— Cóż to za myśl?

— To pan tego nawet nie wie! A wiecie co... „Myśl” wymalowana, w nowym ratuszu. Z zamkniętymi oczami, chuda, młoda, dla mnie osobiście wcale nieładna.

— Ach, w ratuszu...

— W ratuszu, ach... Teraz „Rybak” w galerii jakiej to?...

— Właśnie ciekawi jesteśmy, w jakiej? O to nam tylko chodzi... w jakiej... — wtrąciła babka.

Zaraz... Myśli babunia, że takiego głupstwa nie wiem. O, przeprasza się delikatnie szanowną publiczność: za Sekwaną, w tym ogrodzie, gdzie to woda i te kaczki z czubami...

— Luksemburskim... — szepnęła panna Natalia.

— W Ogrodzie Luksemburskim!

— Zna pan „Rybaka” Puvis de Chavannes'a? — rzekła panna Podborska.

— „Rybaka”? nie przypominam sobie...

— Taki z pana znawca i paryżanin — drwiła panna Wanda wydymając wargi ze wzgardą.

— Alboż to ja jestem znawca i paryżanin? Ja jestem pospolity chirurg...

<sup>31</sup>trotuar (z franc.) - chodnik [przypis edytorski]

<sup>32</sup>„Rybak” — słynny obraz malarza francuskiego, Puvis de Chavannes (1824—1898); jego właściwy tytuł: *Le pauvre pecheur* („Ubogi rybak”). [przypis redakcyjny]

Kiedy to mówił, ukazał mu się obraz, o którym była mowa. Widział go przed rokiem i uderzony niewypowiedzianą siłą tego arcydzieła zachował je w pamięci. Z czasem wszystko, co stanowi samo malowidło, szczególną rozwiewność barw, rysunek figur i pejzażu, prostotę środków i całą jakby fabułę utworu, przywalały inne rzeczy i zostało tylko czujące wiedzenie o czymś nad wszelki wyraz bolesnym. Wspomnienie owo było jak mętne echo czyjejś krzywdy, jakiejś hańby bezprzykładnej, której nie byliśmy winni, a która przecie zdaje się wołać na nas z ziemi dlatego tylko, że byliśmy jej świadkami. Panna Joanna, która rzuciła pytanie o „Rybaka”, siedziała na końcu ławki za obydwoma panienkami i babcią. Czekając odpowiedzi wychyliła się trochę i uważnie przyglądała Judymowi. Ten, z konieczności, patrząc w te oczy jasne, prawdziwie jasne, podniecony ich wynurzeniem zachwytu, które zastępowało w zupełności tysiąc słów opisu płótna Puvis de Chavannes'a, zaczął przypominać sobie nawet barwy, nawet pejzaż. Uniesienie tych oczu zdawało się przytaczać mu obraz, podpowiadać dawno zatarte wrażenie. Tak, pamiętał... Chudy człowiek, a właściwie nie człowiek, lecz antropoid<sup>33</sup> z przedmiścia wielkiej stolicy, obrosły kłakami, w koszuli, która się na nim ze starości rozlazła, w portkach wiszących na spiczastych kościach bioder, stał znowu przed nim ze swą podrywką zanurzoną w wodę. Oczy jego spoczywają niby to na pałkach trzymających siatkę, a jednak widzą każdego człowieka, który przechodzi. Nie szukają współczucia, którego nie ma. Ani się żalą, ani płaczą. „Oto jest pożytek wasz ze wszystkich sił moich, z ducha mojego...” — mówią doły jego oczu zapadłych. Stoi tam ten wyobraziciel kultury świata, przerażający produkt ludzkości. Judym przypomniał sobie nawet uczucie zdumienia, jakie go zdjęło, gdy słyszał i widział wrażenie innych osób przed tym obrazem. Skupiały się tam tłumy wielkich dam, strojnych i pachnących dziewic, mężczyzn w „miękkie szaty odzianych”. I tłum ten wzdychał. Łzy ciche płynęły z oczu tych, którzy tam przyszedli obarczeni łupami. Posłuszni rozkazowi nieśmiertelnej sztuki przez chwilę czuli, jak żyją i co stwarzają na ziemi.

— Tak — rzekł Judym — prawda, widziałem ten obraz Puvis de Chavannes'a w Galerii Luksemburskiej.

Panna Joanna cofnęła się za ramię pani Niewadzkiej. Doktor ujrzał tylko jej białe czoło otoczone ciemnymi włosami.

— Jak tam panna Netka beczała... Jak beczała!... — szepnęła Judymowi panna Wanda prawie do ucha. — Zresztą my wszystkie... Mnie samej leciały z oczu łzy takie ogromne jak groch z kapustą.

— Ja nie mam zwyczaj... — uśmiechnęła się panna Natalia.

— Nie? — spytał doktor, leniwie mierząc ją wzrokiem.

— Bardzo mi żal było tego człowieka, szczególnie tych jego dzieci, żony... Wszystko to takie chude, jakby wystrugane z patyków, podobne do suchych witek chrustu na pastwisku... — mówiła rumieniąc się, a jednocześnie z uśmiechem przymykając oczy.

— Ten „Rybak” zupełnie podobny jest do Pana Jezusa, ale to jak dwie krople wody. Niech babcia powie...

— „Rybak”? A tak, podobny, istotnie,.. — mówiła stara pani, zajęta rozpatrywaniem krajobrazu.

Tramwaj wjechał w ulicę miasteczka Sevres i zatrzymał się przed piętrowym domem. Podróżni z imperialu mogli zajrzeć wprost do numerów austerii<sup>34</sup>. Nie był to widok dla panien. Pijany żołnierz, w kepi na bakier, obejmował wpół wstrętną dziewczynę i para ta wychyliwszy się z okna robiła do jadących małpie miny. Na szczęście tramwaj puścił się w dalszą drogę. Ledwie wydostał się za ostatnie domy miasteczka, na pustą i smutną przestrzeń w szarym polu, ściemniło się raptem. Zerwał się ostry wiatr. Las najbliższy oblókł się w jakąś szarą ciemność i wkrótce gęsty, gruby deszcz sypnął jak ziarno. W wagonach powstała panika. Smugi deszczu wdzierały się pod daszek tnąc z boku i zalewały ławki. Wszystkie panie zbiły się w gromadkę i w miejscu najbardziej zasłoniętym otuliły się sukniemi, ile mogły. Judym po rycersku osłaniał je od deszczu swoją figurą. Gdy tak stał, plecami wsparty o poręcz, zauważył wysuniętą z głębi mnóstwa skupionych sukien czyjąś nóżkę. Stopa w płytkim lakierowanym pantofelku na wysokim obcasie wspierała

Kobieta, Miasto, Woda

<sup>33</sup>Antropoid — małpa człekokształtna. [przypis redakcyjny]

<sup>34</sup>Austeria — gospoda. [przypis redakcyjny]

się o żelazny pręt balustrady, a wysmukła noga w czarnej, jedwabnej pończosze odsłonięta była daleko. Judym przemyślał, komu należy przypisać ten uroczy widok. Poczytywał go za wynik trafu i nieuwagi, toteż lękał się wznieść oczy i tylko z cienia rzęs spełniał złodziejstwo z włamaniem się i premedytacją. Pociąg wszedł w olbrzymią aleję wersalską. Rozrosłe, odwieczne drzewa zasłoniły nieco podróżnych od deszczu. Panie starały się jako tako otrząsnąć i wygładzić swe szaty. Śliczna nóżka nie zniknęła. Krople deszczu przyskały na błyszczącą skórę strącając niby uderzeniami palców lekki pył z krótkiej przyszwycy i ginęły w miękkim jedwabiu. Judym wiedział już teraz, czyja to własność. Podniósł oczy na twarz panny Natalii i uczył, jak zatapiają się w nim zimne kły rozkoszy. Paniątka miała, jak zwykle, oczy spuszczone. Czasami tylko jej brwi, dwie linijki nieznacznie zgięte, unosiły się nieco wyżej niby dwie dźwignie ciągnące do góry uparte powieki. Na wargach, z których dolna była leciutko odchylona, stał uśmiech nieopisany, uśmiech pełen jadu i swawoli.

„Ach, tak...” — myślał Judym przypatrując się tej twarzy szczególnej.

Panna Natalia wyczuła wzrok jego. Barwa jej policzków przeszła w bladość, która, zdawało się, roztopiła w sobie uśmiech otaczający usta. Wówczas jeszcze bardziej modrymi stały się cienie dokoła zamkniętych oczu i ostrzejszą linią chrząstkowatego nosa.

Tramwaj zajechał dość szybko na plac przed pałacem wersalskim i podróżni spieszenie opuścili jego obmokłą górną platformę. Doktor zdobył i utworował dla swych towarzyszek miejsce w małej budce stacyjnej, gdzie wbiło się tyle osób, że literalnie trudno było poruszyć ręką. Zdarzyło się, że doktor Tomasz stał za plecami panien Joanny i Natalii. Reszta pasażerów tramwaju tłocząc się do budynku w rejteradzie przed deszczem wprost złożyła ciało ostatniej z tych panien na piersiach Judyma. Twarz jej znajdowała się tuż obok jego wąsów. Rozstrzępione przez modę i deszcz płowe włosy panny Natalii snuły się po jego twarzy, ustach, oczach, wywołując wstrząsające dreszcze. W całym zgromadzeniu panowało milczenie. Przerywał je tylko ciężki oddech jakiegoś astmatycznego grubasa. Deszcz nieprzerwanymi strugami, z chlupaniem ściekał z daszka i zasłaniał otwarte drzwi jakby ciemną kotarą.

W pewnej chwili panna Natalia usiłowała poruszyć się, ale tylko lewym ramieniem oparła się na barku Judyma. Wówczas jeszcze wyraźniej zarysował się przed jego rozmarzonymi oczyma profil jej twarzy. Chciała o czymś mówić, ale tylko uśmiechnęła się prędko... W pewnej chwili uniosła wiecznie spuszczone powieki i przez moment czasu śmiało, badawczo, upajająco patrzyła mu w oczy.

Tuż obok drzwi stała pani Niewadzka. Miała najwięcej ze wszystkich powietrza, a mimo to dech jej był ciężki, a twarz mocno czerwona.

— Wiecie wy, moje pannice — rzekła swym szeptem donośnym — że wolałabym moknąć na deszczu, niż łykać oddechy tych *marszandewenów*.

— Skądże babcia wie, że to są *marchands de vin*<sup>35</sup>?

— Bagatela! — rzekła staruszka błyskając wypukłymi oczyma. — Dmą mi wprost na twarz dwie skwaśniałe piwnice i jeszcze się będzie pytała, skąd wiem...

Mówiła to do panny Wandy, ale Judym słyszał ich rozmowę. Co do niego, to nie miał wcale zamiaru przekładać deszczu nad ścisk w lokalu tramwajowym. Rzekł jednak do pani Niewadzkiej po polsku:

— Moglibyśmy rzeczywiście prędko przebyć plac. To blisko... Ale panie zmokną... Nie mamy nawet parasola...

Mówiąc te słowa podał się nieco naprzód, jak gdyby miał zamiar wyprowadzić starszą panią z tłumu. Wtedy całe jego ciało zetknęło się z ciałem panny Natalii, odzianym w delikatne, wiotkie suknie. Rozpłomienionymi oczyma wpatrywał się w blade, zimne, kamienne rysy twarzy o spuszczonej powiekach.

Deszcz z wolna ustawał i tylko z rynny sąsiedniego domu zlewała się z nieustającym głośnym szelestem struga wody. Kilku mężczyzn uzbrojonych w parasole wysunęło się z domku. Wolnego miejsca przybyło, a mimo to panna Natalia przez zachwycającą chwilę nie zmieniała swej sytuacji. Wreszcie i ona posunęła się ku drzwiom w ślad za młodszą siostrą, która już przez wyciąganie rąk na zewnątrz drzwi badała, czy deszcz jeszcze pada. Nim ustał zupełnie, zaświecił na chwilę wesoły blask słońca. Kamienie pochyłego placu

<sup>35</sup>*marchands de vin* (franc.) — handlarze wina. [przypis redakcyjny]

migotały jakby obsypane szkłem tłuczonym, a widok ten wywabiał wszystkich z ciasnej nory. Judym podał ramię babci i całe towarzystwo szybko podążyło ku pałacowi. W długich i wielkich salach, wobec ścian zawieszonych historycznymi malowidłami, jednolita gromadka jak gdyby się rozdzieliła. Każda z osób przypatrywała się na swoją modłą lichym płótnom niższego piętra. Wkrótce te malunki poczęły nużyć. Judym szedł jak gdyby przez długie, długie strzyżone aleje i martwił się bezwiednie, że końca ich — ani śladu. Był już zresztą w Wersalu, więc ani komnaty królewskie, ani sala lustrzana nie zaciekawiały go bardzo. Stąpał wolno po prawicy starej damy, która stawała co kilka kroków i przykładając do oczu lornetkę na długiej rączce szyldekretowej niby to obserwowała malowidła. Szereg bitw Napoleońskich, tłumy wojska, teatralne twarze i gesty wodzów, dzikie spienione rumaki — przesuwają się w oczach doktora jakby szeregi odległych, młodzieńczych rojeń. Gdzieś daleko zatrzymano się przed białym, marmurowym posągami umierającego Korsykanina. Kiedy całe towarzystwo wracało z tamtej okolicy pałacu i kiedy znowu mijano sale pełne batalii, stara pani ujęła wpół pannę Joannę i rzekła:

— Jesteśmy daleko stąd, w świecie bohaterów... Marzymy, marzymy.

Panna Joanna zarumieniła się, a raczej szczerwieniła się, i zmieszana bąkała:

— Nie... ale gdzież tam!... co znowu!... Ja tylko tak sobie...

Od tej chwili, pomimo że Judym bardzo niewidocznie ją śledził, trzymała się na wodzy i usiłowała spędzić z twarzy historię doznanych wrażeń. Szczegółowo zwiedzono apartamenty królewskie. Gdy już pani Niewadzka z miną bardzo uroczystą wysłuchiwała wszystkiego, co jej rozповідаł z nadzwyczaj plastycznymi ruchami oprowadzający szwajcar, i gdy obszedłszy małe saloniki skierowała swe towarzystwo ku wyjściu, panna Wanda obejrzała się poza siebie i syknęła:

— Panno Netko, idziemy!

Judym poszedł za wzrokiem najmłodszej z dziewcząt i przypatrywał się pannie Joannie. Stała oparta o jedno z niewielkich krzeseł, kryte nikłym błękitnawym adamaszkiem, i patrzyła w okno. Wyraz twarzy jej był tak dziwny, że Judym wstrzymał się mimo woli. Później zbliżył się do niej i rzekł nawiązując myśl do tego, co portier mówił przed chwilą:

— Myśli pani o Marii Antoninie<sup>36</sup>?

Spojrzała na niego z zakłopotaniem, jak osoba ujęta na gorącym uczynku, i wahającym się głosem mówiła:

— Widać stąd, przez to okno, wielki dziedziniec i bramę. Tamtędy... Tamtędy wdarł się motłoch. Pijane kobiety, mężczyźni uzbrojeni w noże. Maria Antonina widziała z tego okna! Doznałam tak dziwnego wrażenia... Cały ten straszny tłum krzyczał: „Śmierć Austriaczce!” I tędy, tymi drzwiami uciekła, tędy uciekła...

— Panno Joasiu... — nawoływano.

— Ale wspomniała pani o wrażeniu.

— Wspomniałam o wrażeniu... — mówiła spuszczać oczy i blednąc jeszcze bardziej.

— My, proszę pana, jesteśmy bardzo tchórzliwe. Boimy się nie tylko na jawie, ale i w tak zwanych marzeniach. Ja zlekłam się bardzo tego motłochu, o którym właśnie myślałam.

— Motłochu? — mówił Judym.

— Tak... To jest krzyku ich. Zlekłam się, sama nie wiem, czegoś takiego...

Podniosła oczy niewinne, o przedziwnym jakimś wyrazie strachu czy bóleści. Jeszcze raz rzuciła na małe izdebki wejrzenie pełne serdecznego żalu i poszła prędko za towarzyszkami.

W powrocie z Wersalu do Paryża kolejną zatrzymano się w Saint-Cloud. Stanąwszy na wzgórzu, tuż za dworcem kolejowym, panny wydały okrzyk. U nóg ich leżała, ciągnąc się w głąb kraju i gubiąc w rudych mgłach, pustynia kamienna: — Paryż. Barwa jej była czerwonawa, ryza, tu i ówdzie rozdarta przez dziwaczny znak ciemny, przez Łuk Tryumfalny, wieże kościoła Notre-Dame albo wieżę Eiffla. Z krańców niedościgłych dla oka mgły zabarwiały się błękitnawymi smugami. Stamtąd płynęły dymy fabryczne snując się z kominów podobnych w dali do grubych biczysk. Te baty pędzą rozrost pustyni. Odgłos jej życia tam nie dochodził. Wydawało się, że skołała i zastygła w swej kamiennej, chropawej formie. Jakieś dziwne wzruszenie ogarnęło przybyłych, wzruszenie takie, jakiego

<sup>36</sup>Maria Antonina — żona Ludwika XVI, córka Marii Teresy, cesarzowej austriackiej; znienawidzona przez lud francuski, została w czasie rewolucji ścięta na gilotynie (1798). [przypis redakcyjny]

Revolucja, Strach

Miasto, Natura

doświadcza się tylko na widok wielkich zjawisk przyrody: w górach, pośród lodowców albo nad morzem.

Judym siedział obok panny Tali, ale nawet o tym sąsiedztwie zapomniał. Tonął oczyma w Paryżu. W głowie jego przegryzały się myśli bez związku, własne, niepodzielne, niższej świadomości stojące postrzeżenia, z których się zwierzyć człowiek nie jest w możności. Wtem zadał sobie wyraźne pytanie:

„Dlaczegoż tamta powiedziała, że się złąkla wyjrawszy oknem z sypialni Marii Antoniny?”

Oderwał oczy od widoku miasta i chciał znowu przypatrzeć się pannie Joasi. Teraz dopiero lepiej zauważył, jaki jest jej profil. Broda miała kształt czysto sarmacki czy kaukaski<sup>37</sup>. Wysuwała się nieco, a w taki sposób, że między nią i dolną linią nosa tworzyła się jakby prześliczna parabola, w głębi której kwitły różowe usta. Gdy tylko rysy twarzy rozwidniał blask wrażenia, w mgnieniu oka wargi stawały się żywym ogniskiem. Wyraz ich zmieniał się, potężniał albo przygasał, ale zawsze miał w sobie jakąś szczególną siłę prawdziwej ekspresji. Patrzącemu przychodziła do głowy myśl uparta, że nawet impuls zbrodniczy odzwierciedliłby się w tej twarzy z taką samą szczerością jak radość na widok rozkwitłych irysów, wesołych barw krajobrazu, dziwnych fantazji malarskich, a również na widok pospolitych przedmiotów. Widać było, że każda rzecz staje wobec tych oczu jako zjawisko naturalne i dobre. Czasami jednak przebijala się w nich zmęczona niechęć i uśmiech zabity. Ale i w tym było coś dziecięcego: szczerość, szybkość i potęga.

Jak wyraz twarzy, tak samo ruchy panny Joanny miały w sobie coś... niepodobnego... Jeżeli chciała oddać słowami to, co czuła, bardzo żywo, prędko, na mgnienie oka wznosiła rękę, a przynajmniej brwi, jakby uciszała wszystko zdolne zagłuszyć ową melodię jej myśli, wyrazów, uśmiechów i poruszeń ciała.

„Kogo ona przypomina? — myślał doktor, od niechcienia patrząc na jej czoło i oczy. — Czym jej nie widział gdzie w Warszawie?”

I oto przyszło mu do głowy miłe a nielogiczne *notabene*<sup>38</sup>, że ją przecie widział wczorajszego dnia przed tym białym uśmiechniętym posągami...

Na dworcu Saint-Lazare rozstał się z turystkami.

Stara pani zawiadomiła go, że nazajutrz wyjeżdża ze swą „bandą” do Trouville,<sup>39</sup> a stamtąd do Anglii.

Judym pożegnał je ostentacyjnie i wrócił trochę znużony do swojej klety.

## W POCIE CZOŁA

Po upływie roku, jednego z ostatnich dni czerwca Judym zbudził się w Warszawie. Była godzina dziesiąta rano. Przez uchylone okna włamywał się do pokoju łoskot ulicy Widok, starodawny, znajomy łoskot *drynd* tłukących się o kamienie wielkości bułki chleba. Z dołu, z wąskiego dziedzińca, na który wychodziła większość okien *chambres garnies*<sup>40</sup>, gdzie się w przeddzień zatrzymał, wlokły się już w górę na skrzydłach ciepła rozprężone wapory. Judym zerwał się, zbliżył do okna i przez szpary między jego połowami oglądał figurę stróża z mosiężną blachą na czapie, który z rodzimym grubiaństwem tłumaczył coś starej damie w czarnej mantylce. Młodość kipiała w żyłach doktora. Czuł w sobie uśpioną siłę, jak człowiek, który jest u podnóża wielkiej góry, stawia krok pierwszy, żeby wstąpić na jej szczyt daleki — i wie, że wejdzie. Nie strząsnął ze siebie dotąd znużenia po drodze „Paryż-Warszawa”, jednym tchem odbytej, ale w przeddzień doznał tylu miłych uczuć, że kazały mu w zupełności zapomnieć o sadzy węgla, którą był przesiąkł. Gdy z okien wagonu widział krajobraz, wioski z ich białymi chatami, bezbrzeżne pola, zboża dojrzałe — nie wyczuwał wielkiej różnicy między tym krajem a ziemią francuską. Tu i ówdzie sterczały dziwne kształty fabryk i wskroś jasnego nieba szły dymy. Do wagonu wsiadali wieśniacy bynajmniej nie głupsi od francuskich, czasami tak mądrzy, że aż miło, rzemieślnicy i robotnicy — tacy sami jak francuscy. Słuchając ich rozmów mówił do siebie co chwila:

Miasto

Ojczyzna, Społecznik

<sup>37</sup>kształt... kaukaski — w dawnej terminologii rasę białą nazywano kaukaską. [przypis redakcyjny]

<sup>38</sup>*notabene* (z łac.) — dosł.: zauważ dobrze; tu: w dodatku. [przypis redakcyjny]

<sup>39</sup>Trouville — port francuski nad kanałem La Manche, a zarazem uczęszczana pod koniec XIX w. miejscowość lotniskowa. [przypis redakcyjny]

<sup>40</sup>*chambres garnies* (franc.) — pokoje umeblowane do wynajęcia. [przypis redakcyjny]

„A bo to prawda, że jesteśmy barbarzyńcami, pólazjatami? — Nieprawda! — Tacyśmy sami jak każdy inny... Walimy naprzód i kwita! Żeby tu wsadzić jednego z drugim, to widziałoby się, czyby i tak potrafili, wycackani przez ich parszywe konstytucje...”

To miłe, optymistyczne wrażenie Judym przywiózł w sobie do miasta jakby żywy i słodki zapach pól rodzinnych. Wyspał się setnie, a teraz pierwszym rzutem oka witał „starą budę”, Warszawę.

Wraz z tym spojrzeniem — przyszli mu na myśl krewni. Czuł konieczność odwiedzenia ich nie tylko z obowiązku, ale także dla samego widoku swoich twarzy. Wyszedł z hotelu i posuwając się noga za nogą zginął w tłumie, który przepływał chodnikiem ulicy Marszałkowskiej. Cieszyły go bruki drewniane, rozrost drzewek, które już pewien cień rzucały, nowe domy powstałe na miejscu dawnych ruder.

Minąwszy ogród i plac za Żelazną Bramą, był u siebie i przywitał najściślejszą ojczyznę swoją. Wąskimi przejściami, pośród kramów, straganów i sklepików wszedł na Krochmalną. Żar słoneczny zalewał ten rynsztok w kształcie ulicy. Z wąskiej szyi między Ciepłą i placem wydzielał się fetor jak z cmentarza. Po dawnemu roilo się tam mrowisko żydowskie. Jak dawniej siedziała na trotuarze stara, schorzała Żydówka sprzedająca gotowany bób, fasolę, groch i ziarna dyni. Tu i ówdzie włóczyli się roznosiciele wody sodowej z naczyniami u boku i szklankami w rękach. Sam widok takiej szklanki oblepionej zaschlłym syropem, którą brudny nędzarz trzyma w ręce, mógł wywołać torsje. Jedna z roznosioelek wody stała pod murem. Była prawie do naga obdarta. Twarz miała żółkła i martwą. Czekala w słońcu, bo ludzie tamtędy idący najbardziej mogli być spragnieni. W ręce trzymała dwie butelki z czerwoną cieczą, prawdopodobnie z jakimś sokiem. Siwe jej wargi coś szeptały. Może słowa zachęty do picia, może imię Jego, Adonai<sup>41</sup>, który nie może być przez śmiertelnych nazywany, może w nędzy i brudzie jak robak wylęgłe — przekleństwo na słońce i na życie...

Z prawej i lewej strony stały otworem sklepiki, instytucje kończące się niedaleko od proga — jak szuffady wyklejone papierem. Na drewnianych półkach leżało w takim magazynie za jakie trzy ruble papierosów, a bliżej drzwi nęciły przechodnia gotowane jaja, wędzone śledzie, czekolada w tabliczkach i w ponętnej formie cukierków, krajanki sera, biała marchew, czosnek, cebula, ciastka, rzodkiew, groch w strączkach, kubły z koszernymi serdelkami i słoje z sokiem malinowym do wody.

W każdym z takich sklepów czerniała na podłodze kupa błota, która nawet w upale zachowuje właściwą jej przyjemną wilgotność. Po tym gnoju pełzały dzieci okryte brudnymi lachmany i same brudne nad wyraz. Każda taka jama była siedliskiem kilku osób, które pędziły tam żywot na szwargotaniu i próżniactwie. W głębi siedział zazwyczaj jakiś ojciec rodziny, zielonkowaty melancholik, który od świtu do nocy nie rusza się z miejsca i patrząc w ulicę trawi czas na marzeniu o szwindlach.

O krok dalej rozwarte okna dawały widzieć wnętrza pracowni, gdzie pod niskimi sufity skracają swój żywot schyleni mężczyźni albo zgięte kobiety. Tu widać było warsztat szewski, ciemną pieczarę, z której wywalał się smród namacalny, a zaraz obok fabrykę peruk, jakich używają pobożne Żydówki. Było takich zakładów fryzjerskich kilkanaście z rzędu. Blade, żółte, obumarłe, dziewczyny, same nie czesane ani myte, pracowicie rozdzielają kłaki... Z dziedzińców, drzwi, nawet ze starych dachów krytych blachą lub cegłą, gdzie szeregiem tkwiły okna facjatek, wychylały się twarze chore, chude, długonose, zielone, moregowate i patrzyły oczy krwawe, ciekące albo zobojętniałe na wszystko w niedoli, oczy, które w smutku wiecznym śnią o śmierci. Przy pewnej bramie Judym zetknął się z kupcową dźwigającą na obu rękach ciężkie kosze z jarzyną. Była całkiem rozmama. Perukę zsunęła w tył niby kaszkiet i ogolone jej ciemię bielilo się jak łysina starca. Wypukłe oczy patrzyły przed siebie z wyrazem męczarni, która przeistoczyła się w spokój — bez żadnego życia, jakby były skorupami jaj, w nabrzmiałych wenach<sup>42</sup> czoła i szyi krew zdawała się głośno stukać. Na progu jednego ze sklepów siedział stary, zgarbiony Żyd-tragarz. Zostawił wśród ulicy dwie szafy związane sznurem, które aż do tego miejsca przydźwigał na plecach, i jadł surowy ogórek zagryzając ten obiad kawalkiem chleba.

<sup>41</sup>Adonai (hebr.) — Wszecmocny; określenie Boga, zamiast właściwego imienia: Jahwe, którego przepisy religii żydowskiej zabraniały wymawiać. [przypis redakcyjny]

<sup>42</sup>wena — żyła. [przypis redakcyjny]



Judym szedł prędko, mrużąc coś do siebie. Mury o kolorze zakurzonego grynszpanu albo jakiejś zrudziałej czerwoności, niby pstre, ubłocone gałgany, nasunęły mu się przed oczy. Ciepła... Chodniki były jak niegdyś zdruzgotane, bruk pełen wądołów. Nie było tu już ani jednego przechodnia w cylindrze, rzadko trafiała się dama w kapeluszu. Ogół idących podobny był do murów tej ulicy. Szli ludzie w ubraniach do pracy fizycznej, najczęściej bez kołnierzyków. Przejeżdżająca dorożka zwracała uwagę wszystkich. Z dala już dostrzegł Judym bramę rodzinnej kamienicy i zbliżył się do niej z niechętnym uczuciem tak zwanego „falszywego wstydu”. Trza było witać osoby niskiej kondycji. Teraz, gdy wrócił z zagranicy, było mu to przykro, bardziej niż kiedykolwiek. Wszedł co tchu w bramę z nieświadomym planem: unikać obcych...

Dziedziniec rozchodził się w trzy strony świata. Nad jedną jego szczyt wznosiła się jakaś hałaśliwa fabryczka, która była dla Judyma nowością, drugą po dawnemu zajmował skład węgla, a trzecia prowadziła do kilkupiętrowej oficyny. Tam właśnie Judym skierował swe kroki. Gdy stanął w sieni brudnej jak apartament Lucypera, usłyszał w suterenie szcęk znajomy: to „sąsiad” Dąbrowski, ślusarz, ciął swoją sztukę. Judym zeszedł po schodach i zajrzał w sionkę, która prowadziła na lewo od drzwi ślusarza. Widać tam było czeluść otwartą, prowadzącą do rodzinnej sutereny. Kwaśny chłód przystąpił do Judyma i odepchnął go stamtąd. Z warsztatu ślusarza wyszedł mały umorusany chłopak i zaczął się przyglądać gościowi. Judym szybko pobiegł na górę. Minął pierwsze piętro, drugie i dopiero na wysokości strychu zwolnił kroku. Miał przed sobą okienko bez szyb, pewien rodzaj strzelnicy w murze. Cegła, zamykająca ten otwór z dołu, była tak wyslizgana przez dzieci, które się tam bawiły, że przybrała kształt owalny. Ileż to razy on sam, Judym, wylaźił przez ten otwór na zewnątrz muru i wisiał w powietrzu! W kącie czerniał wodociąg ogólny, rozprowadzający wilgoć na całą ścianę. Nad nim aż do sufitu sięgała plama kopci z lampy naftowej. Ściany były pełne cienia i smutku, jak deski składające trumnę.

Ostatnia kondygnacja schodków prowadziła do mrocznej sieni, która przecinała wzdłuż poddasze. Judym stanął przede drzwiami w głębi i zastukał raz, drugi, trzeci. Nikt mu nie odpowiedział. Gdy jeszcze raz kołatał klamką, z drzwi sąsiednich wysunęła się dziewczyna lat trzynastu i zmierzyla go wzrokiem dojrzałej kokietki. Nie pytana rzekła:

— A kogo to pan szuka?

— Tu jest mieszkanie Wiktora Judyma?

— Tutaj.

— Nie wie panienska, czy jest kto w domu?

— Dopiero była ciotka, musi być... A może i zesza na podwórze z *dzieciami*.

Mówiąc to wychyliła się jeszcze bardziej i zaglądała Judymowi w oczy ze śmiałością wielkowiejską. W tej chwili w głębi mieszkania rozległ się straszny wrzask, jakiś potok wyrazów złorzeczających, klątw ordynarnych bez związku, zlewających się jakby w ryk bydłęcia. Judym zdziwiony nastawił ucha, a potem cicho spytał się dziewczyny, co to znaczy. Uśmiechnęła się filuternie i rzekła:

— To tam moja babka, wariatka.

— Wariatka? Trzymacie ją w domu?

— A w domu. Gdzież mamy trzymać?

Odsunął dziewczynę na bok i zajrzał do wnętrza. W kącie, pod piecem, siedziało widmo człowiecze, za ręce i nogi przywiązane do haka wystającego z ziemi. Siwe kudły nakrywały głowę i ramiona tej istoty, a jakieś stargane łachmany resztę ciała. Czasem spod włosów ukazywały się straszliwe oczy jak dwa błyskające płomienne miecze, kiedy niekiedy usta ciskały ładunek okropnych wyrazów. Judym instynktownym ruchem cofnął się do sionki i zaczął wypytywać dziewczynę.

— Czemuż jej nie oddacie do szpitala?

— A ja wiem czemu! To dobre! Nie można oddać.

— Dlaczego nie można?

— Bo nie ma miejsca. A po drugie, skądże my weźmiemy pieniędzy na to, żeby za nią płacić.

— Czemuż ją tak przykuwacie?

— A ba! Czemu? Bo złapie siekierę, nóż, tasak i pozabija dzieci, ojca, mamunię. To taka szelma zła, że proszę siadać!

Kobieta, Szaleniec

— Dawno już chora?

— Albo ona chora? Wariatka, nie chora. Żebym ja takie zdrowie miała jak ta. Przyjdzie ją ojcu wiązać, to się tak utargają oboje, że no! Ojciec to samo nie ułomek, a ledwo tę psiakrew ujeździ...

Judym machnął ręką i uciekł po schodach. Gdy stanął na dziedzińcu, dostrzegł w jego szyi pod murem fabryki mnóstwo dzieci skaczących, biegających, rozbawionych. Na kupie opalonych belek siedziała ciotka Pelagia, kobieta stara, łaskawy chleb od lat wielu jedząca u siostrzeńca, a brata Judymowego, Wiktora. Była to jejmość chuda, chorowita i zrzędna. Rzadko kto słyszał od niej dobre słowo, a dzieci nabrały się szturchańców ile wlezie. Judym szedł ku niej wolno, krzywiąc się pod wąsem i mocując ze sobą. Przykro mu było witać się na placu, wobec lokatorów i gapiów. Doświadczał nieprzyjemnego uczucia półodrazy, zbudzonej i wydobytej na jaw przez szczególne politowanie, stanowiące rdzeń uczuć rodzinnych. Ciotka Pelagia odwróciła głowę i spostrzegła go, ale nie ruszyła się z miejsca. Gdy przyszedł i dotknął nosem jej zabrudzonego rękawa w okolicach dłoni, schyliła się prędko i cmoknęła go z dała we włosy.

— Kiedyż *Tomciu* przyjechał? Nic my nie wiedzieli... — rzekła z właściwą jej oschłością.

— Wczoraj wieczorem dopiero. Jakże zdrowie ciotki?

— Ej... jakież ta moje zdrowie... Tak *kipię*. Teraz ciepło, to siedzę tutaj we dnie, a *przyjdzie* zima, to się może nareszcie skończy.

— Ech, nie lubię też tych wszelkich...

— A wiem...

— Ciotka niezłe wygląda. Cóż słyszać u Wiktorów? Jakże on?

— A cóż... Jak to Wiktor.

— No?

— Jest ta w tej fabryce.

— U Milera?

— Gdzie zaś! W żelaznej, ale przy stalowni.

— Przy stalowni! — zdziwił się Judym.

— A w stalowni.

— Dlaczegoż to?

— Przerzucił się. Mówi, że woli. No i łatwiej mu będzie... te... Ale to *Tomciu* winien, nie kto inny... — rzekła obojętnie, prostując fałdy spódnicy.

— Ja winien jestem, że się Wiktor przerzucił?

— Że się przerzuca, to temu *Tomciu* winien. Jak był głupim drągalem, to robił, co wlaźło. Wziąłże *Tomciu* kłaść mu w głowę mądrości i teraz mu się odechciało roboty. Zabrał się do nie swoich rzeczy. Książki czyta. A jakże... To uczony człowiek! — uśmiechnęła się szyderczo, pokazując białe zęby.

Judym słuchał obojętnie. Później zapytał:

— Dużo zarabia?

— Nie, niedużo. Ona musiała stanąć do roboty, bo przyszła bieda.

— Gdzież ona?

— W fabryce cygar. Rozchodzą się rano, a ja muszę dzieci pilnować, strawę gotować, dom cały obrządzić. Gdzież *Tomciu* będzie mieszkał, niby na stałe? Tutaj czy gdzie we świecie? — zapytała z udaną obojętnością.

— Jeszcze nie wiem, dopierom wrócił.

Rozmowa się urwała. Judym patrzył spod oka na skrawek asfaltu zabłąkany w tym miejscu i leżący tam wśród brył kamiennych jak gdyby wskutek czyjegoś roztargnienia, na drzewko wyrastające wprost z asfaltowej skorupy. W sąsiedztwie pniaka leżała krata ścieku podtrzymująca przeróżne odpadki. Słońce dogrzewało. W cieniu wysokiego muru fabryki bawiło się stado dzieci. Jedne z nich były mizerne tak bardzo, że dawała się widzieć w tych przezroczytych twarzach sieć żył błękitnych; inne opaliły na słońcu nie tylko swe buziaki, ręce i szyję, ale także skórę kolan wylażających obszernymi dziurami. Pośród wierzgającej gromady pełzało jakieś małe, rachityczne, ze sromotnie krzywymi nogami i ze śladami ospy na gołych, mizernih gnatach. Cała ta banda sprawiała wrażenie śmieci podwórza czy zeschłych liści, które wiatr miota z miejsca na miejsce. Rej

Rodzina

Dziecko, Miasto

wodził między całą hałasującą czeredą chłopak ośmioletni, wysmukły, bez czapki, ubrany w ojcowskie *ineksprymable*<sup>43</sup> i matczyne trzewiki. Kawaler ten darł się wniebogłosy, do czego uprawomocniała go komenda nad resztą w prowadzeniu jakiejś batalii. Kiedy przebiegał jak jelen, dążąc ku środkowi dziedzińca, Judym go poznał:

— Przecie to Franek!

— A Franek... — rzekła ciotka.

Dr Tomasz zatrzymał siostrzeńca i wywołał tym na jego *fizys* oznakę szczerzego niezadowolenia. Z tłumy posunęła się naprzód dziewczyna młodsza od Franka i zbliżyła się do ciotki. Była to Karolina, siostrzenica Judymowa. Oczy miała duże, w szarej, znędzniejszej twarzy palące się jak węgle spod grzywy, która zakrywała jej brwi i kończyła się na nosie. To dziecko miało fizjonomię starą i chytrą, spojrzenie uparte i badawcze, jak człowiek, który już przeżył gorycz setki zawodów i którego już nie okłamują złudzenia. Judym przyciągnął Karolę do siebie i ucałował. Nie broniła mu tego. Wpatrywała się tylko w jego oczy swym ciężkim wzrokiem, jakby z zapytaniem, co jej z tego przyjść może. Franek palnął „wujka” w mankiet i bąknąwszy coś mdłego na kilka pytań, wydadził się w kierunku kupy kolegów. Dyskurs z ciotką nie kleił się, a natomiast, jak to często w takich razach bywa, przychodziły Judymowi do głowy myśli własne, nowe, nie nadające się wcale do użytkowania ich w tej rozmowie. Te dzieci biegające w ciasnym zaułku, ogrodzonym przez nagie i niezmierne mury, przypominały, nie wiadomo czemu, stado wiewiórek zamkniętych w klatce. Gwałtowne ich ruchy, nieustanne skoki domagały się szerokiego placu, drzew, trawy, wody...

— *Tomciu* by się chciał pewnie zobaczyć jak najprędzej z Wiktorem? — rzekła ciotka nie lubiąca nigdy udawać szczerości uczuć, których nie żywiła.

— Ano, rozumie się.

— Z nim trudno się *tera* zetknąć. Czasem to i trzy dni, trzy noce w domu go nie ma.

— A gdzież on bywa?

— Ba, wie to kto? Może zresztą dziś akurat *przyńdzie*...

— To ja tu wpadnę wieczorkiem, a teraz chciałbym się z bratową przywitać. Można do niej zejść do fabryki, wpuszczą mnie tam?

— Czasem to i wpuszczą. Niech *Tomciu* spróbuje. Przecie wam, panom doktorom, łatwiej niż nam, hołocie...

— Gdzież się ta fabryka znajduje? — zapytał Judym, któremu ta rozmowa zaczęła już ciężać.

Ciotka wskazała mu kierunek drogi i adres.

Wysunąwszy się z tego domu, doktor szedł ulicami w stronę przedmieścia ze zwieszoną głową, machinalnie szukając oczyma fabryki cygar. Nie było tam już jednolitego szeregu kamienic i rzadziej trafiały się domy piętrowe. Natomiast szły w dal drewniane, niskie, odrapane budynki, niepodobne ani do dworów, ani do chałup wiejskich, a przypominające jedne i drugie.

Domostwa te były obwieszane jaskrawymi szyldami i zbryzgane błotem. Brud nie puszczal wzroku przechodnia do wnętrza mieszkań i mógł wcale skutecznie zastępować żaluzje. Od frontu mieściły się tam zresztą głównie sklepiki. W jednym sprzedawano nędzne kielbasy, w drugim, bardziej może mizerniejszym, liche trumny.

Gdzieniedzie ze środka tych zagród miejskich, okrytych starą ceglana dachówką albo papą, na której rozkłada się już tu i ówdzie pleśń zielona, strzelała w górę nowa kamieniczka, szybko postawiona, jakby wydmuchnięta z piasku. Taka figura, z niewidocznym dachem, z trzema ślepyimi ścianami i jedną uzbrojoną w szereg okien, sterczała wśród siedzib starego, niemal średniowiecznego kształtu, jak drogowskaz nowego porządku rzeczy, zwiastujący aneksję tych okolic na rzecz rozwoju wielkiego miasta z jego bezlitosną, surową linią, z jego brukiem i więziennym, nagim, chropawym murem. Jeszcze częściej połąć domów niskich przerywał ogromny tors fabryki z tęgimi murami, szeroką bramą i baterią kominów. W dali na horyzoncie dachów ukazywały się wszędzie te kominy i kominy.

Środkiem ulicy, po zrujnowanym bruku, wlokły się noga za nogą wozy z cegłą, wytrząsające na wsze strony pył różowy. Odstawiali ją woźnice przysypani tym kurzem od czubka głowy do obcasa, z twarzami bezmyślnymi jak cegły. Kiedy indziej dudnił

<sup>43</sup>*ineksprymable* — spodnie. [przypis redakcyjny]

wielki wóz frachtowy z pakami poobwijanymi w rogoże. Na szczycie takiego statku siedział zazwyczaj monstualny Żyd w czerwonym barchanowym kaftanie, wywijiał batem i wrzeszczał na parę koni, stawiających każdy krok nowy z niezmiernym wysiłkiem. Jeden z wozów zagroził Judymowi drogę wjeżdżając w bramę dużego budynku. Numer domu wskazywał właśnie instytucję, której doktor Tomasz poszukiwał. Stwierdzał to również cikliwy i niemiły zapach tytoniu, który otaczał zabudowania i panował na znacznej przestrzeni ulicy. Judym wszedł w bramę i zwrócił się do szwajcara z zapytaniem, czyby nie można zobaczyć się z robotnicą nazwiskiem Judymowa. Stróż nie chciał słuchać o niczym, dopóki nie uczuł w garści czterdziestówki. Pod wpływem tego wrażenia zaczął forsownie myśleć, a wreszcie znikł na chwilę i przyprowadził jakiegoś kapcana okrytego pyłem. Ten po długich debatach kiwnął na Judyma palcem i wprowadził go do wnętrza bocznej oficyny. Proszek tabaki wdierał się tam do nosa, gardła, płuc przychodnia i podwajał szybkość oddechu. Na pierwszym piętrze ukazała się duża sala, formalnie wypełniona przez tłum kobiet złożony z jakichś stu osób, pochylonych nad długimi a wąskimi stołami. Kobiety te, rozebrane w sposób jak najbardziej niepretensjonalny, zwijały cygara prędkimi ruchami, które na pierwszy rzut oka czyniły wrażenie jakichś kurczów bolesnych. Jedne z nich schylały głowy i trzęsły ramionami jak kucharki wałkujące ciasto. Te zajęte były zwijaniem grubo siekanego tytoniu w liście, które poprzednio zostały szybko a misternie przykrojone. Inne kładły zwinięte cygara w prasy drewniane. Duszące powietrze, pełne smrodu ciał pracujących w upale, w miejscu niskim i ciasnym, przeładowane pyłem starego tytoniu, zdawało się rozdzierać tkanki, żarło gardziel i oczy. Za pierwszą salą widać było drugą, daleko obszerniejszą, gdzie w ten sam sposób pracowało co najmniej trzysta kobiet. Przewodnik nie pozwolił Judymowi zatrzymać się w tym miejscu i poprowadził go dalej przez wąskie schody i sionki, obok maszyn suszących liście, obok młyna mielącego tabakę i siewkarni krajającej różne rodzaje tytoniu — do izb, gdzie pakowano towar gotowy. Wrzała tam szalona praca. Przechodząc Judym zauważył dziewczynę, która paczki cygar oklejała banderolą. Szybkość ruchów jej rąk wprawiła go w zdumienie. Zdawało mu się, że robotnica wyciąga ze stołu nieprzerwaną tasiemkę białą i mota ją sobie na palce. Z rąk leciały do kosza pod stołem gotowe paczki tak szybko, jakby je wyrzucała maszyna. Ażeby zrozumieć sens jej czynności, trzeba było wpatrywać się usilnie i badać, gdzie jest początek oklejania każdej torebki.

Za tą salą otwierała się izba przyćmiona, gdzie, według słów przewodnika, pracowała bratowa Judyma. Okna tej izby zastawione były siatkami z drutu, których gęste oka, przysypane rudym prochem miejscowym, puszczały mało światła, ale natomiast powstrzymywały od emigracji miazmaty wewnętrzne. Leżały tam w kątach sąsiadki grubo krajanego tytoniu. W środku sali było kilka warsztatów, na których towar pakowano. Z każdego stołu wybiegała zakrzywiona rurka, a z niej strzelał poziomo z sykiem długi język płonącego gazu. Dokoła każdego stołu zajęte były cztery osoby. Przy pierwszym Judym zobaczył swoją bratową. Miejsce jej było w rogu, tuż obok płomyka gazowego. Z drugiej strony stał, a raczej kołysał się na nogach, wysoki człowiek o twarzy i cerze trupa. Dalej, w drugim końcu, siedział stary Żyd w czapce zsuniętej na oczy tak nisko, że widać było tylko jego długą brodę i zakłęsłe usta. W sąsiedztwie Judymowej po lewej stronie stała dziewczyna, która nieustannie brała z kupy garść grubego tytoniu, rzucała ją w szalę, a odważywszy ćwierć funta, podawała człowiekowi kołyszącemu się na nogach. Doktor wstrzymał się przy drzwiach i stał tam długo, usiłując znowu zrozumieć manipulację tej czwórki. Był to widok ludzi miotających się jak gdyby w drgawkach, w konwulsyjnych rzutach, a jednak pełen nieprzerwanej symetrii, metody i rytmu. Po stolnicy, przy której te osoby były zatrudnione, między Judymowa a jej sąsiadem przebiegały ciągle dwa blaszane naczynia, z jednej strony rozszerzone w kształcie czworokątnych kielichów, z drugiej równoległościennie. Formy te były wewnątrz puste. Judymowa w każdej chwili chwyciła jedną z nich w lewą rękę, zwracała szerokim otworem ku dołowi i opierała na kolanie. Prawą ręką ujmowała ze stosu kartkę z wydrukowaną etykietą fabryki, otaczała tą ćwiartką koniec blaszanej formy, zawijała rogi papieru i kleiła je lakiem, który błyskawicznym ruchem topiła w płomyku gazowym. Ledwie zawinięty róg przytknęła palcem, całą formę brał z jej rąk sąsiad mężczyzna, podczas gdy ona odbierała stojącą przed nim, dla wykonania tej samej pracy. Mężczyzna zwracał blachę otworem do góry. Koniec jej wyższy, oblepiony etykietą, zanurzał w stosowne wyżłobienie stolnicy. Przyj-

mował z rąk dziewczyny wążającej tytoń szalkę. Wsypanywał ćwierć funta w otwór naczynia i tłokiem odpowiadającym kształtowi blaszanki ubijał zawartość. Dokonawszy tego przez dwa rytmiczne schylenia ciała, wyjmował formę z pełnej już tytoniu papierowej torebki i sięgał po nową, którą w tym czasie Judymowa oblepiła. Trzeci pracownik paczkę zostawioną wydobywał z otworu i zaklejał z drugiej strony, maczając lak w ogniu, na wzór towarzyszy z przeciwnego końca warsztatu.

Pracownicy jednego stołu ładowali w ciągu doby roboczej tysiąc funtów tytoniu w ćwierćfuntowe paczki. To znaczy, że dostarczali ich cztery tysiące. Na zapakowanie jednej tracili nie więcej czasu jak dziesięć sekund. Były to zgodne ruchy, nagle a niestrudzone rzuty rąk, jak błysk światła lecące zawsze do pewnego punktu, skąd odskakiwały niby sprężyste ciała. Judym widział tam jak na dłoni to, co chłopci zowią „sposobem”: *usus*<sup>44</sup>, wypróbowany w krwawym trudzie szereg środków cudaczych, które stanowią najkrótszą, najłatwiejszą a niezbędną do przebycia linii między dwoma końcowymi punktami pracy. Przypomniały mu się własne „sposoby” w klinice, na sali operacyjnej, i tym głębiej zanurzyły jego uwagę w trud istot, które miał przed sobą. W głębi izby stał stół zupełnie podobny do pierwszego z brzegu, a obok płomyka robiła kobieta w czerwonej chustce na głowie. Szmata zupełnie okrywała jej włosy. Widać było spod niej duże, wypukłe czoło. Żyłki skroni i szyi były nabrzmiące. Zamknięte oczy po każdym małym ruchu głowy otwierały się, gdy trzeba było przykleić lakiem rożek papieru. Wtedy te oczy spoglądając na płomyk gazowy błyskały jednostajnie. Twarz kobiety była wyciągnięta i ziemista jak wszystkie w tej fabryce. Na spalonych, brzydkich, żydowskich wargach co pewien czas lkał milczący uśmiech, w którym zapewne skupiło się i w który z musu zwyrodniało westchnienie zakłęsłej, wiecznie łaknącej powietrza, suchotniczej piersi. Błysk pracowitych oczu i ten uśmiech wraz z całą czynnością przypominały szalony ruch koła maszyny, na którego obwodzie coś w pewnym miejscu migota jak płomyczek świecący.

Gdy Judymowa ujrzała szwagra, ręce jej drgnęły i nie trafiły z lakiem do płomienia, a z oczu stoczyły się dwie łzy grube prędzej, nim z ust wybiegło słowo radosnego powitania. Stała w pracy i oczyma pełnymi łez patrzyła na gościa.

Człowiek wpychający tytoń w torebki nie widział Judyma. Nie otrzymałszy formy we właściwym momencie, spojrział na Judymowa takim wzrokiem, jakim patrzeć by mogło chyba koło trybowe na drugie koło, gdyby tamto w biegu stanęło.

Judym podszedł do bratowej, przywitał ją skinieniem głowy i rzekł, że czekać jej będzie na dziedzińcu fabrycznym o godzinie dwunastej. Do południa zostawało nie więcej nad kwadrans czasu, więc wyszedł z sal cygarowych i czekał w sieni przy wejściu. W czarnych norach na dole siedziały tam stare baby, w milczeniu segregujące liście tytoniowe. Zasypane tabaką, wychudłe, nędzne, siwe, potworne, z czerwonymi oczami, były jak Parki<sup>45</sup> odprowadzające tajemnicze misterium<sup>46</sup> swoje. Z głębi oczodołów tych istot spoglądały na Judyma, gdy czekając na bratową stał we drzwiach, źrenice o wyrazie tak srogim i pełnym zemsty, że zmuszony był ich unikać i odwrócić się plecami.

Skoro tylko uderzyła godzina obiadu, Judymowa pierwsza zbiegła ze schodów. Za nią wysypał się cały tłum kobiet. Bratowej doktora sprawiało to widać niemałą przyjemność, że mogła pochwalić się przed wszystkimi swym szwagrem. Mówiła ciągle i głośno:

— Kiedyż brat przyjechał? Cóż u brata słyhać? Był brat u nas na Ciepłej?

Jej brudna, sterana twarz promieniowała zadowoleniem i pychą. Wargi rozchylające się od szczerego śmiechu ukazywały rzadkie, zielone zęby. Oczy świeciły się jak węgle. Wyszła w towarzystwie Judyma z bramy fabrycznej i dążąc na obiad z przyzwyczajenia co tchu pędziła ulicą. Doktor jej nie wstrzymywał i sam biegł po bruku. Dopiero gdy byli przy bramie kamienicy na Ciepłej, Wiktorowa stanęła i uderzyła się ręką po fizjonomii:

— Jezus! czegoż ja lecę jak oślica? Bratam przegnała tyli kawał.

— Nic, nic, będziemy mieli więcej czasu do rozmowy. Czy Wiktor będzie?

Twarz jej sposepniała.

<sup>44</sup>*usus* (łac.) — ustalony zwyczaj, praktyka. [przypis redakcyjny]

<sup>45</sup>*Parki* (zwane także *Mojrami*) — w mitologii greckiej uosabiające przeznaczenie trzy córki Nocy; dwie młodsze, *Kloto* i *Lachezis*, przędły nić ludzkiego życia, którą w godzinie śmierci przecinała najstarsza z nich, *Atropos*. [przypis redakcyjny]

<sup>46</sup> *misterium* — u starożytnych Greków niedostępne dla niewtajemniczonych obrządku religijne. [przypis redakcyjny]

— Gdzież ta! On je obiady u Wajsów, tam u jednych z fabryki. Mieszkają na Czerniakowskiej.

— No i słusznie. Trudno wymagać, żeby chodził tyli kawał drogi.

— A tak i on mówi... — rzekła prędko.

Gdy się wdrapywali na schody, doszedł Judyma zapach mięsiwa smażonego na tłuszczach, który znał dobrze z lat dziecięcych. Przez drzwi kuchenki, otwarte na korytarz, buchało gorąco i zaduch, jak się zdawało, nie do wytrzymania. Wiktora Judyma nie było w domu. Obiad gotowała ciotka. Teraz już prawie nie spostrzegą obecności doktora Tomasza. On także nie nasuwał się jej przed oczy i chętnie z pierwszej stancji, która pełniła zarazem obowiązki kuchni i mieszkania ciotki, wsunął się do drugiej, sypialni Judymów. Było to niskie poddasze. Sufitu dosięgało się głową. Stały tam dwa łóżka zawalone pościelą, a między nimi komoda okryta szydełkową serwetą. Nad łózkami wisiały fotografie krewnych w tużurkach (w środku fotografia doktora w mundurze studenckim), wszystkie w ramach wyciętych laubzegą. Gdzieś w kącie szczękał zegar z długimi wagami. Doktor objął wzrokiem te sprzęty i niektóre z nich przypomniał sobie: były w suterenie rodziców.

Brat Wiktor nie nadszedł, w mieszkaniu było piekielnie gorąco, więc Judym wyszedł obiecując wrócić wieczorem. Z myślą ukrycia się przed skwarem, wszedł do Saskiego Ogrodu, usiadł w bocznej alei i niepostrzeżenie zapadł w marzenia. Od dawien dawna, od czasu kiedy w szkołach zaczął się uczyć dla samej nauki, snuły mu się po głowie pewne nieokreślone idee z dziedziny chemii, fizjologii. Dosięgał zawsze myślami jakiegoś potężnego światła, tysiąc razy silniejszego od elektryczności, które oczom lekarza odsłoni wnętrza płuc suchotnika. Tworzył kolosalne odkrycia w terapii gruźlicy, budował szpitale, jakich świat nie widział. Drugą chimerą, która go ścigała, było zużytkowanie nieczystości wielkich miast. Trzecią, wynalezienie jakiegoś nowego środka lokomocji, który by zniweczył siłę wzrostu miast fabrycznych i rozproszył te zbiorowiska cegieł i ludzi po całym kraju. Rojenia uczniowskie przeistoczyły się później w silne, skryte namiętności. Ileż to godzin strawił nad swoim nowym motorem! W mieszkaniu studenckim miał kąt zastawiony butlami i retortami, które, zdawało się, mieściły w sobie cudowne tajemnice. Z czasem owo wielkie światło, jak aureola rozwidniające młodość biednego studenta, przygasło pod tchnieniem krytycyzmu, ale mistyczna jego zorza strzelała przy każdej okoliczności. Miejscem, które te wielkie wynalazki miały uszczęśliwić, była zawsze „stara buda”. Od chwili zaprowadzenia nowych, Judymowych kolei datował się jej rozwój nieznanymi. Warszawa-ogrom, rozsiadła na przestrzeni mil, z sosnowymi parkami, tonąca w drzewach, gdzie skasowaną została suterena i poddasze, gdzie wytępiono gruźlicę, ospę i tyfus...

Obecnie przyszły znowu dawne widziadła. Koncepcje nieuchwytnych pomysłów, szlaki samej istoty wynalazku wdzierają się w mrok niby długie linie światła i ukazywały figury tajemnych rzeczy, które tam leżą.

W ogrodzie było mnóstwo ludzi. Judym ani się obejrzał, kiedy minęło popołudnie. Ku wieczorowi nadciągając zaczęły istne hordy Żydów, aleję główną, boczne i wszystkie dróżki zalała powódź ludzka. Nie było już gdzie spacerować, więc całe towarzystwa sterczały na ulicach — albo poruszały się kilka kroków w prawo i w lewo. Tłum ten był jaskrawo ubrany. Kobiety miały na sobie modne barwy. Cały ich ogrom mienił się od pąsowych i jaskrawoniebieskich staników, od fioletowych i czerwonych kapeluszków z ptasimi skrzydłami albo z kwiatami, które za każdym ruchem osoby kiwały się nad jej głową. Mężczyźni fason modnych ubrań doprowadzili do stanu wulgarności, przesady i absurdu. W pięknym parku było duszno. Zdawało się, że zwieszane liście więdną, że trawy obumierają i dobrotliwy zapach lewkonii kona nie mogą zwyciężyć ludzkiego zaduchu.

O zmierzchu Judym wyszedł z ogrodu w stronę placu Teatralnego. Gdy zapalono latarnie, był na Bankowym. Jaskrawy blask rewerberu<sup>47</sup> padł właśnie na chodnik prowadzący w kierunku ulicy Elektoralfnej. W świetle tym widać było fale ludzi spływające bezustannie za ciemną sylwetką banku jakby w szyję naczynia. Judym stanął. Te czarne masy głów i tułowów, sunące prędko niby mrówki, zbudziły w nim uczucie fizycznej

Miasto, Wizja

Szkoła, Uczeń

Miasto

Żyd

<sup>47</sup>rewerber — tu: latarnia uliczna. [przypis redakcyjny]

odrazy. Zdawało mu się, że spogląda na sunące ławy robactwa. Wmieszać się w motłoch mieszkający tam, za tym placem — przenigdy! Przenigdy!

Zawrócił na miejscu z mocnym postanowieniem zobaczenia się z bratem kiedy indziej — i wszedł do wykwintnej restauracji.

Nazajutrz wstał o godzinie piątej rano i poszedł do brata. Gdy wchodził w bramę, słońce oświetlało górne części oficyn i udzieliło nawet tym biednym, różowobrudnym ścianom uroku swojego przyjscia. Zdawało się, że nędzne okna, za którymi kryje się ubóstwo, te jakby znużone oczy chorego domu stoczonego wewnątrz przez biedę, wieczyście pozbawione blasku wesela, teraz, w tej jedynej chwili, otwierają się, patrzą w niebiosa i modlą się do słońca. Gdy doktor Tomasz zastukał we drzwi mieszkania, stanął w nich brat Wiktor, już ubrany. Był to słuszny mężczyzna. Nosił dużą jak łopata, zapuszczoną brodę, która otaczała jego rysy niby rama. Twarz miał bladą, nie opaloną, o skórze jak gdyby przesiąkniętej czymś czarnym. Gdy spojrzął na brata, oczy mu się zaśmiały jak u dziecka, mimo że słowa, które wymówił na przywitanie, miały prawie zimny ton urzędowy:

— Jak się masz, Tomek...

— Cóż u ciebie słyhać... — rzekł doktor, również bez czułości witając brata.

— Ano tak... idzie...

— Wiesz, odprowadzę cię.

— Dobra... — rzekł Wiktor biorąc blaszankę.

Gdy się znaleźli w ulicy, szli przez czas pewien obok siebie w milczeniu, po prostu nie wiedząc, od czego zacząć. Wreszcie Wiktor rzekł:

— W Paryżuś był?

— Byłem.

— Teraz tu zostaniesz?

— Pewno. Trzeba będzie tu osiąść. Zobaczę, jeszcze nic nie wiem. Chciałbym tu być, ale czy wyżyję...

— No, i po tylu latach nauki jeszcze byś nie wyżył! — uśmiechnął się z niedowierzaniem i odrobiną ironii.

— Tak ci się to zdaje.

— Pewnie, że mi się zdaje. Co ja *mogię* wiedzieć?

Judym zauważył to „*mogię*” i wnet go poczęło drażnić. Znowu szli milcząc. Ulice były prawie puste. Kiedy niekiedy jechał wóz z jarzynami albo pieczywem. Nadzwyczajnie hałasując przemknęła się dorożka wioząca niewyspaną osobę z jakiegoś wczesnego pociągu. O ściany kamienic rozbijał się łoskot kroków ludzi idących do pracy z blaszankami w ręku.

W pewnej chwili wyminął braci stary Żyd dźwigający na plecach w ogromnym koszu dwa wielkie połcie mięsa. Stróże na całej długości ulic rozbijali miotłami suchy kurz i brud wczorajszy.

— Mówiła mi ciotka, że przerzuciłeś się znowu... — zaczął doktor.

— A tak. Pożarłem się z Raczkim, tam z jednym majstrem. Niech go tam zresztą *jasności!*...

— O co?

— A o co? Ścierpieć my się nie mogli i dość. Mówi, że ja nie na robociarza, że w kamaszkach, w zakiecie chodzę, w krawacie... To, mówi, nie tego... A jemu *psiąkwi* co do moich kamaszków! Idę do roboty jak każdy inny *facet*, w takiej, o, koszuli i w takich portkach...

— Pewnie, ale po co się drzeć o byle co?

— E, o byle co! My ta wiedzieli, o co się drzemy... — rzekł Wiktor, spluwając.

— On mi się tylko czepiał, *drań*, ja wiem. Bo co mu do mnie! *Mogię* na mieście w święto papierowy kołpak włożyć na łeb i chodzić w tym po alejach, to i tak mu nic do tego, *chałujowi*. *Wzienem, zrugalem* raz i drugi — no i trza się było *wylać* z tamtej *budy*.

— Jakże ci teraz?

Brat, Dom, Dzieciństwo,  
Rodzina

— Z początku była *bryndza*, ale jak raz zaprowadzili tę gruszkę Bessemera<sup>48</sup> czy ta jakiego, i nadałem się. Robota jest ciężka, oczy żre, ale tu wolę.

— Widzisz, to ci chcę powiedzieć, że ty może wolisz, ale Teosia musiała stanąć do roboty. Ja wczoraj byłem w tej jamie, gdzie ona chodzi.

— Ja jej nie zmuszał.

— Tyś jej nie zmuszał, ale brak zmuszał. Powiem ci, że ona w tym tytoniu długo robić nie powinna. To jest za ciężka praca.

— Teraz *letkiej* pracy mało na świecie — rzekł Wiktor obojętnie. — Cóż ja miałem robić? Przecie nie próżnuję.

— Ja też ci nie robię wyrzutów, tylko mi żal twojej kobiety.

— I mnie jej żal, ale *coż* na to poradzić... — rzekł Wiktor w tonie ironicznym, z boku rzucając okiem na brata. — Tyś wyszedł na ludzi, a my zostali w swoim stanie. Żałujesz... „mojej kobiety”... Ja to samo... Ale choćbyś żałował i przeżałował, to się psu na budę nie zda. Już nie trzeba, jak ja się staram, żeby się wybić na ludzi...

— Myślisz, że ci ubliża to, co mówi taki Raczek!

— Nie ubliża mi! Kazałbym ja ci chodzić w grubych buciorach, w zgrzebnych gałganach, w drelichu, jak bele chłopu od kanalizacji, co ze wsi przy laźl... Tobyśmy zobaczyli...

— Ubranie o wartości człowieka nie stanowi... — rzekł doktor, myśląc jednocześnie, że ta maksyma stanowi wyświechtane słowo, pasujące do treści skarg Wiktora jak kwiatek do kożucha.

Tamten sz

— Widzisz, tak: tyś *tera* pan, a ja taki se człowiek, mało co lepiej ubrany od naszego nieboszczyka ojca. Wzięła cię ciotka z domu, wychowała, dała cię do szkół — no i dobrze, bardzo dobrze. To mię, sumiennie ci mówię, *szczerze* cieszy. Twoje życie było jak różyczka w ogrodzie, a moje, uważasz... Jak się ty będziesz ubierał, mnie to nic a nic nie obchodzi, chociaż to ubranie, twoje, nosisz z tej racji, że cię, widzisz, ciotka wzięła. Bez tego to *coż* byś ty był? A jak sobie ja kupię żakiet, tom do tego żakietu doszedł własnymi pazurami, jakbym go z muru wygrzebał. *Uważasz mię?*

Doktora zakłuły te słowa.

— Zdaje ci się — rzekł — że moje życie było jak różyczka w ogrodzie. Żebyś ty wiedział...

— Skąd ja mam co wiedzieć! — krzyknął prawie Wiktor. — Byłeś to brat dla mnie! Pamiętam, że ciotka raz przyjechała *dryndą*, jak my oba na bosaka *łachari* po rynsztokach. Ciebie wzięła, boś był przystojniejszy — i koniec. Przychodziłeś do nas czasami na *jakie godzinkie*, aleś był wystrojony, potem w mundurze, i boczyłeś się na mnie, obdartusa z terminu.

— Co ty...

— No, no, ja t a na wiatr nie gadam! Dopiero jakieś poszedł do uniwersytetu, zetknęliśmy się, ale to co innego, i zresztą...

— Ciotce zawdzięczam wiele — mówił doktor patrząc w ziemię. — Gdyby nie ona, zostałbym był na naszym podwórzu. To prawda. Ona mię w świat wepchnęła, ale też com ja z jej powodu przeżył!

— Tyś przeżył?

— Wiesz przecie, kim była nasza ciotka.

— Przecie, że wiem.

— Była to podobno niegdyś cudna dziewczyna. Toteż prędko z sutereny ruszyła w świat...

— Cóż ty będziesz *we flanelę* obwijał? „Ruszyła w świat” — tere fere... To była, podobno, najpierwsza *granda* w Warszawie! Jeden *facet*, co mu ojciec nieboszczyk buty robił, rozpowiadał staremu, że to, mówię ci, hrabiowie, nie hrabiowie...

— No dobrze, dobrze! — mruknął Tomasz z niecierpliwością.

— Gniewa cię to? — śmiał się tamten ordynarnie.

<sup>48</sup>*gruszka Bessemera* — wynaleziony przez angielskiego inżyniera, Henryka Bessemera (1813–1898), piec do wytopu stali; ma on kształt gruszki zawieszonyj w stalowym pierścieniu. Wynalazek ten spowodował przewrót w przemyśle hutniczym. [przypis redakcyjny]



— Chcę ci powiedzieć, jak było, boś o tym zaczął, a nie wiesz: zebrała sobie kupę pieniędzy, mieszkanie najęła na drugim piętrze, cztery pokoje... miała śliczne meble. Czego tam nie było!

— Podobno szyk najpierwszy!

— Tak jeszcze stała, gdy mnie wzięła do siebie. Była już wtedy przekwitła, życia dawniejszego nie prowadziła, ale bywało u niej mnóstwo znajomych. Grało to w karty, piło. Przychodzili najrozmaitsi ludzie, młode i stare baby. Tam ja to rosłem „jak różyczka w ogródku”... — mówił z bolesnym uśmiechem. — Pierwszych lat byłem na posyłkach, froterowałem, czyściłem posadzki, myłem w kuchni garnki, rondle, nastawiałem samowary i latałem, latałem bez końca za sprawunkami. Jeszcze dziś pamiętam ten dom, te schody kuchenne! Ile ja tam cierpień... Może we dwa lata wzięła ciotka i wynajęła pokój w korytarzu z osobnym wejściem jednemu studentowi. Płacił niedużo, ale za to miał obowiązek mnie uczyć i przygotowywać do gimnazjum. Ten *facet* mię uczył sumiennie i przygotował. Radek się nazywał... Poszedłem do *sztuby*. Ciotka płaciła wpis, nie mogę powiedzieć, ale też za to używała na mnie co się zmieści. Dowiedziałem się później, gdy byłem starszy, że dużo przegrała w karty. Wówczas nie rozumiałem wcale tego, co się tam działo. Doświadczałem tylko na sobie bez ustanku, że ciotka jest coraz bardziej skąpa i wściekła. Formalnie wściekła. Opanowywała ją czasami jakaś furia i gnała po pokojach, z jednego w drugi. Nie daj Boże wpaść jej wtedy w ręce! Sypiałem zawsze w przedpokoju, na sienniku, który wolno mi było przywlec z ciemnego pasażyka za pokojem ciotki wówczas dopiero, gdy się już wszyscy goście od niej wynieśli. Kładłem się spać późno w nocy, a wstawać musiałem najwcześniej ze wszystkich. Z czasem gości przychodziło coraz mniej, ale za to wynajęła trzy pokoje, do których wchodziło się ze wspólnego korytarza, sublokatorom. I wtedy nie wolno mi było kłaść się spać przed powrotem ostatniego z tych nędznych nocnych włóczykiów. Wstawać musiałem, gdy jeszcze wszyscy spali. Prał mię, kto chciał: ciotka, służąca, lokatorowie, nawet stróż w bramie wlepił mi, jeśli nie kułaka w plecy, to przynajmniej słowo, często twardsze od pięści. I nie było apelacji. Moje lekcje, gdy Radek się wyprowadził po skończeniu budy, odrabiałem w kuchni, na stole zawalonym rondlami, wpośród ziemniaków i masła. Ileż to razy ciotka mię wyganiała precz, za byle winę! Ile razy musiałem błagać na klęczkach, żeby mię znowu przyjęła do swego „domu”! Czasami w przystępie świetnego humoru dawała mi swoje rozklapanne trzewiki, w których ku szczerej radości całego gimnazjum chodzić musiałem. Trafiła się zima, kiedy *sypało* się w prunelowych pantoflach z wysokimi obcasami, albo inna, w której całym ciągu mogłeś być widzieć na śniegu ślad moich bosych nóg, choć niby to były okryte przyszwami. Jakem się tylko przywłókl do piątej klasy, *bryknąłem* stamtąd. Ale całe moje dzieciństwo, cała pierwsza młodość upłynęły w nieopisanym, wiecznym przestרחu, w głuchej nędzy, którą teraz dopiero pojmuję. A zresztą, a zresztą... co to gadać...

— To ci ciocia dopiero... — śmiał się Wiktor. — Nieboszczyk ojciec nie lubił o niej gadać, o tej ciotce, a jak się tylko *urznął* zdrowo, to zaraz na nią klął co się zmieści.

Tomasz machnął ręką i siedł w milczeniu.

Ulice pełne już były światła słonecznego. Przy domach otulonych drzewami słały się fiołkowe, pachnące cienie.

Tomasz i Wiktor zawrócili właśnie w kierunku dzielnicy fabrycznej i stanęli na wzgórzu, skąd ją całą można było widzieć. Z głębi odległych murów ciągnęła w szczere pole Wisła, wygięta jak ogromny łuk z jasnego srebra. Zdawało się, że płonie białym blaskiem, zapalona przez słońce poranne. Spragnione oko chwyciło daleki widok tej swobodnej wody, zielonej równiny łąk, sinych lasów, nikłymi liniami ginących w przestworzu. Bliżej nad Wisłą ciemniały kępy jakichś drzew rozłożystych.

Bracia usiedli pod murem ogrodowym na trawniku i milcząc patrzyli w krajobraz, który mieli przed sobą. Z niziny fabrycznej, z owej masy ślepych murów bez okien, z wąskich i podłużnych budowli, które cienkimi rurami wydychały kłęby pary, przecudne w promieniach słońca, jak ruchome bryły srebrne, dochodził niemilkący łoskot żelaza. Doktor Tomasz uległ złudzeniu, że te dźwięczne uderzenia młotów, owe jęki jak gdyby targanych łańcuchów wydaje para buchająca na wsze strony z dachów okrytych zadymioną papą. Zdawało mu się, że drżący z jakiegoś nienasyconego pośpiechu, dziki, zdławiony i twardy ryk motorów daje się umiejscowić, że go widać w ogromnych kłębach burego

Miasto

dymu, magających ciągle i prędkie półkola. Ten dym mnóstwa wysokich kominów z cegły i wąskich, okrągłych, z blachy spojonej, gangrenował już przestwór czystego nieba, zniżał się, wałęsał nad gmachami i zalewał ulice niby szara mgła, w której traciły wyrazistość kształtów domy, latarnie, wozy i ludzie. Kiedy niekiedy dawały się uczuć w równych odstępach czasu dwa idące po sobie ciosy młota parowego, dzięki którym ziemia drżała w odległości kilkudziesięciu kroków od fabryki. Po rozbitym bruku ulicy toczyły się wozy ciągnięte przez ogromne koniska. Wehikuł taki składający się z dwóch słupów złączonych, które leżąc na grubych osiach dźwigały ciężar żelaza, przewłóczył z miejsca na miejsce bryły „gęsi” surowcowych<sup>49</sup>, podobne do zastygłych skib grudy, płaskie sztaby żelaza, proste albo zwinięte jak wstążki relsy, drągi ogromne części mostów, krat, maszyn. Niektóre z nich słychać było w sąsiedniej ulicy. Jakies dwa ogony długich kutych sztab, wysunięte poza tylne koła wozu, przy każdym jego wstrząśnięciu trzepały się o siebie wydając wrzask nieznośny. Zdawało się, że to wściekłość obłąkana, skuta łańcuchami, w diabelskiej furii wali ogonem i wyszczekuje w męczarni ostatnie swoje tchnienie.

Kiedy Judymowie siedzieli, przeczekując nerwami wędrówkę jednego z najhałaśliwszych transportów, nagle z drugiego trotuaru dał się słyszeć głos:

— Judym! Czegóż ty tam siedzisz... Judym!

Bracia nierychło ten głos usłyszeli. Wreszcie Wiktor rzucił okiem i wnet wstał z miejsca. Z drugiej strony ulicy szedł młody człowiek wysokiego wzrostu, blondyn, z jasną, krótką brodą i niebieskimi oczami. Twarz jego była po fabrycznemu przybladła, ale usta zachowały jeszcze uśmiech i barwę zdrowia. Miał na sobie zniszczone ubranie i perkalową koszulę. Głowę jego okrywał duży kapelusz z rondem w postaci skrzydeł.

— To nasz nowy pomocnik tego inżyniera, co pierwszy ustawiał „gruszkę” — rzekł Wiktor.

Młody człowiek zbliżył się do nich i zaczął rozmawiać. Co parę chwil rzucał bystre, jasne, prawdziwie badawcze spojrzenia na Tomasza.

— To mój brat — rzekł Wiktor — doktor. Wrócił w tych dniach z Paryża.

Technik wyciągnął rękę i powiedział niewyraźnie, jak zwykle przy prezentacji, jakieś nazwisko.

Rozmawiając o rzeczach obojętnych, wszyscy trzej schodzili wolno w dół ulicy. Wiktor, pełen zadowolenia, że może się pochwalić takim bratem, choć usiłował tego nie zdradzać, mówił dużo, a wreszcie nie pytając Tomasza prosił młodego inżyniera, czyby doktor nie mógł zwiedzić fabryki, a osobliwie stalowni. Ten wahał się przez chwilę, a wreszcie przyrzekł protegować gościa. Zeszli w wąską uliczkę utworzoną przez nagie mury fabryk i stanęli u ciasnych drzwi. Była już zapewne godzina siódma. Na podwórzu fabrycznym otoczył ich szcęk młotów i głuche warczenie motorów dynamo-elektrycznych o sile blisko tysiąca koni. Wiktor gdzieś znikł i doktor został sam na sam z młodym zawodowcem. Ten prowadził go przez sale, gdzie heblowano sztaby żelaza długie kilkadziesiąt łokci, gdzie borowano w nich dziury za pomocą świrdrów i gdzie skromne maszynki w mgnieniu żrenicy wybijały w płytach grubych na dwa palce duże otwory z taką łatwością, jakby rzecz szła o przedziurawienie palcem plastra miodu. W jednym miejscu nitowano kraty mostów za pomocą śrub rozpalonych do białości, gdzie indziej cięto nożycami sztaby jak płótno. Z ogromnych izb warsztatowych Judym przeszedł do pustej hali, gdzie pracowało zaledwie kilkunastu ludzi. Tu spajano relsy.

Doktor Tomasz ciekawie przyglądał się tej robocie. Mało tam miały do czynienia maszyny. Działy za to wyłącznie muskuły i młoty na długich toporzyskach. W rogu sali dłuhał nad czymś mężczyzna o takim kadłubie, o takich bryłach mięśni, że Judym przypatrywał mu się jakby nieznanemu gatunkowi człowieka. Widział podobne kłęby bicepsów, ale tylko w marmurze i na rysunkach. Zdawało się, że gdyby to ramię podniosło się, ta pięść w mur trzasnęła, toby go w mgnieniu oka zgruchotała na szczątki. I był to wspaniały widok, gdy siłacz ujął swój młot i zaczął do spółki z towarzyszem łączyć uderzeniami dwa rozpalone końce szyn. Doktorowi nie chciało się stamtąd wychodzić. Z żywą ciekawością przyglądał się siłaczowi, rozpatrywał i przepowiadał sobie na nim muskuły. Z daleka posuwając się za swym inżynierem, cieszył się widokiem kowalskiego kadłuba.

— To także silny chłop! — rzekł towarzysz.

<sup>49</sup> gęsi surowcowe — odlew surowego żelaza w formie zwanej „gęsią”. [przypis redakcyjny]

— Który?

— A ten...

Obok potężnego kowala stał bokiem odwrócony człowiek młody, lat może dwudziestu ośmiu, z twarzą tak piękną, że Judym ujrawszy ją stanął jak wryty. Były to ostre rysy chudej twarzy, regularne i jakby wyrzeźbione z kości. Górną wargę ocieniał mały, czarny wąsik. Człowiek ten był prawie szczupły, tylko jakoś przedziwnie kształtny. Ruchy miał nie szybkie, lecz pewne swego celu, nieodzowne i harmonijne.

— Czyż to także kowal? — szepnął Judym. — W porównaniu z Herkulesem wygląda jak chrabąszcz.

— Ej, tak źle nie jest... — uśmiechnął się przewodnik.

Wkrótce potem chudy robotnik, gdy kolej na niego przyszła, dźwignął swój młot i zaczął uderzać. Wtedy dopiero Judym zobaczył. Młot obiegał krąg rozsunięty i trzaskał w żelazo z ogłuszającą potęgą. Nagie ręce wyrzucały go w prawo i w tył i zadawały sztabie cios z boku, a od samej ziemi poczęły. Korpus ciała stał prosto, jakby w tej czynności nie brał udziału. Tylko biodra wzdrygały się pewnym, minimalnym ruchem, który ukazywał stopień samej siły, i mięśnie łopatek naciągały koszulę. Snopy iskier wyfruwały spod młota w kształcie gwiazd błękitnych i złotych. Otaczały wspaniałą figurę rycerza jakby aureolą, należną wielkiej mocy i cudownej piękności. Po ostatnim uderzeniu młody kowal usunął się w kąt hali melodyjnym ruchem, wsparł ręce na toporzysku i świstał przez zęby. Krople potu stały na jego czole i płynęły strugami z usmolonej twarzy.

Z szopy kowalskiej wchodziło się do odlewni żelaza i stali. Dym słomy wolno węglejącej, zapach przeróżnych kwasów i duszne, do ostatka wynaturzone powietrze wypełniały te hale grobowe, czarne, ziejące ogniem. Grunt ich zryty i sprzewracany dymił się i parzył nogi. Czarne, ranami okryte ściany dygotały jak gdyby z wiecznego bólu. W jednym końcu olbrzymiej szopy stało naczynie w kształcie gruszki. Podstawa jego była szeroka, szczyt zwężał się i zakończony był niedużym otworem. Ta wielka retorta obracała się na poziomej, wewnątrz próżnej osi, która wprowadzała do środka ogrzane powietrze z maszyny wiatrowej. Całe to naczynie mogło przechylać się w taki sposób, że przez otwór górny wylewała się we właściwej chwili zawartość. Gdy Judym wszedł do sali, „gruszka” stała pionowo, naładowana warstwami surowca i koksu. Puszczono prąd powietrza o temperaturze ośmiuset stopni, które z dołu wdzierają się do wnętrza i dmieją olbrzymią siłą. Wówczas przez otwór w górze zaczął wybuchać czarny kopeć, w którym błyskał kiedy niekiedy rozdymający się płomień. Mroczne kłęby napełniły budynek i wypływały przez ogromne wrota. Dym strzelał w górę ze wzrastającą szybkością, był coraz bielszy i cieńszy. W pewnych odstępach czasu miliardy gwiazd leciały z jego głębi. Gdy koks spalił się całkiem, zaczął spomiędzy nich buchać z przeraźliwym hukiem wielki płomień, długi, drgający. Zrazu był czerwony, później bladł, błękitniał, wreszcie przybrał jakiś kolor, który oślepił. W samym prawie ogniu, tuż przy gruszce, było kilku ludzi. Na czele ich stał młody technik. Iskry przepaliły mu rondo kapelusza, zniszczyły ubranie. Twarz jego wznosiła się ku płomieniowi. Zakrwawione oczy badały kolor ognia, ażeby po jego barwie osądzić, czy stał się już wytwarza.

W pewnej chwili dał rozkaz, ażeby wrzucić w paszczę naczynia krzemionkę (*silicium*), która się w tej temperaturze 1400 stopni asymiluje mechanicznie z żelazem.

Płomień szalał. Stup jego, zwężony jak miecz obosieczny, wydawał zduszony ryk — i leciał. Zdawało się, że ten ogień wydrze się ze swego miejsca, zerwie i buchnie w górę. Wzrok nie był w stanie znieść blasku, który rozświetlił ponurą halę.

Wówczas na galerii z żelazną balustradą, za płomieniem, a w połowie jego wysokości, zdawało się, że w samym ogniu, jak salamandra, ukazała się czarna figura.

Doktor ciekawie wlepił wzrok i śledził ruchy tej postaci.

Robotnik długie narzędzie, pewien rodzaj miotły kominiarskiej, zanurzył w ciecz parskającą.

Wtedy doktor poznał w tej czarnej osobie swego brata — i serce zapaliło się w nim, jakby w nie zleciała iskra z płomienistego ogniska.

Powrót z wywczasów letnich doktora Antoniego Czernisza stanowił dla świata lekarskiego jak gdyby otwarcie roku. Doktor Czernisz był prawdziwie niezwykłym człowiekiem. Jako lekarz zajął jedno z pierwszych miejsc nie tylko w Warszawie. Imię jego było na ustach publiczności, powtarzało się w pismach specjalnych i nieobce było naukowemu światu zagranicy. Owszem, wyznać trzeba, że tam cieszyło się większym uznaniem niż w domu.

Dr Czernisz pochodził ze sfery ludzi biednych. O własnej sile ukończył nauki, zdobył sobie imię w świecie i był. Stosunkowo dość późno, bo dopiero po czterdziestym roku życia, gdy już był człowiekiem zamożnym, ożenił się z kobietą wielkiej piękności. Pani Czerniszowa była „jedyną nadzieją” zrujnowanej rodziny półarystokratycznej. Wyszła za mąż nie z miłości prawdopodobnie, lecz z przekonania. Była to swego czasu żywa bojowniczką emancypacji. Z biegiem czasu dzieci przychodzące na świat, obowiązki i stosunki usunęły ją od życia szerszego, ale nie zburzyły jej aspiracji i wierzeń. Do sprawy uczciwej zawsze przyłożyła rękę. Już to nie były dawne prace tchnące entuzjazmem, ale jeszcze tkwił w nich pewien umiarkowany zapał. W salonach doktorstwa Czerniszów gromadziła się sfera myśląca. Wszystko, co Warszawa miała wybitnego, znajdowało tam goście. Przyjęcia rozłożone były w ten sposób, że jednego tygodnia w umówione środy zbierała się inteligencja wszelkich zawodów, drugiego — tylko lekarze. Jeżeli w dniu niewłaściwym przybłąkał się ktoś spoza koła medycznego, był gościem pani. Grono lekarskie nie trwoniło swych zebrań środowych na gawędkę. Zgromadzenia te, początkowo obejmujące grupę najbliższych przyjaciół gospodarza, literalnie wciągały ludzi. Jeżeli kto miał ukończoną pracę, to ją tam czytał; jeżeli nastroczył się komu w praktyce niezwykle wypadek, to tam był podawany do wiadomości kolegów. Przybył ktoś ze świata, z wycieczki naukowej, tam zdawał sprawę z tego, co widział i do stosowania w kraju, w granicach sztuki lekarskiej, za słuszne uważał. Posiedzenia nie miały charakteru napuszonego, ale też nie trąciły szlafrokiem. Liczono się z nimi, a co ważniejsza, lubiono je. Gospodarz, człowiek skromny a mądry, pełen dystynkcji i słodczy, pani domu czarująca każdym słowem i gestem, salony, w których znajdowało się urządzenie wytworne, niejedno dzieło sztuki, a nade wszystko owa atmosfera myśli, wyższości prawdziwej i kultury — przyciągały wszystkich.

Judym, który doktora Czernisza znał będąc jeszcze studentem, złożył mu w pierwszych dniach września swe uszanowanie i został zaproszony do koła.

W połowie następnego miesiąca odbyła się pierwsza środa lekarska. Dr Tomasz wybrał się na to zgromadzenie... z odczytem. Wahał się bardzo długo, lękał i zapalał, aż wreszcie postanowił przedstawić rzecz swoją. Napisał ją dawno, jeszcze w Paryżu. Teraz przypiął do niej wstęp i trochę cyfr statystycznych miejscowych. Dr Czernisz zachęcał go do czytania tej pracy (której zresztą wcale nie znał) usilnie i wymownie, prosił, a nawet zobowiązywał.

— Jak to? — mówił — kolega pytasz się, czy masz nam wyrazić myśl, którą przywiozłeś z Paryża po dwuletnich blisko studiach... Więc cóż mamy czytać, gdy się zejdziemy? To, co wiemy wszyscy, co tu między sobą obgadaliśmy tysiąc razy?...

Judyma przekonywały te argumenty tym skuteczniej, że za granicą zdarzało mu się czytać w towarzystwach różne wypracowania. Było w tym nawet nieco ambicji z lichszego kruszcu... Powstrzymała go tylko jakaś trwoga czysto lokalna. W dniu oznaczonym jeszcze raz zbadał swój rękopis, ubrał się w czarne szaty i o zmroku wyruszył. Gdy miał już przekroczyć bramę domu, uczył mocne ściśnienie w gardle, które wnet zwyrodniało w zupełną chęć odwrotu. Była nawet chwila zupełnego tchórzostwa... Mimo to przycisnął wreszcie guzik dzwonka, nad którym widniało nazwisko „Dr Czernisz” Wnet usłyszał z bólem w głowie kołatanie we drzwiach zasuwki, szereg tępych dźwięków, wydających coś jak bełkot czy jak śmiech szyderczy...

Wszedł na marmurowe schody zasłane szerokim, barwnym chodnikiem, do rzeźbionej oświetlonej przedpokoju i poczuł na ramieniu dłoń gospodarza. Otoczył go gwar mężczyzn żywo rozmawiających.

Niezgrabnie, potykając się na dywanach, zawadzając o meble, przyszedł wreszcie, prowadzony przez Czernisza, do kozetki, z której podnosiła się śliczna kobieta. Miała może lat trzydzieści. Była ubrana bez elegancji, ale z takim wdziękiem obłóczyły ją te proste suknie, że Judym uczył zaraz swoją wrodzoną szewską strachliwość i wprowadził w czyn

Kobieta, Małżeństwo,  
Pozycja społeczna, Praca  
organiczna, Żona

niemniej szewskie ukłony oraz maniery. Pani Czerniszowa spostrzegła to jego stropienie się i wnet nie tylko zrozumiała je z całą żywością natur szlachetnych, ale sama czuła się równie zmieszana i nieszczęśliwą. W tej chwili dr Tomasz przypomniał sobie, że bez względu na ten brak jasności umysłu, który w danej chwili przechodził, ma jeszcze czytać, zabrać głos wśród tych ludzi obcych, pewnych siebie, przygotowanych do sądu, do rozmowy i do wyładowania konceptu.

Doktorowa mówiła z nim o Paryżu i usiłowała to sprawić, ażeby się poczuł swobodnym. W części jej się to udało.

Judym powziął dla niej rozpaczliwą sympatię. Zaczął mówić... Tymczasem ktoś inny przysiadł się z lewej strony, ktoś trzeci odwołał ją w drugi koniec salonu.

Rozglądając się, gdy sam został, Judym spostrzegł wielu lekarzy. Znał ich z widzenia, ze szpitala i z ulicy. Uściśnieniem ręki mógł przywitać ledwie paru. Siedział w swym fotelu sztywnie, ze zdrętwiałymi nogami, które jak kłody tkwiły na miękkim dywanie — i przechodził męczarnie oczekiwania. Co chwila u drzwi brzęczał dzwonek i nowa osoba ukazywała się w jasnym świetle. Gdy już salon i przyległe gabinety napełniły się zupełnie, dr Czernisz swym cichym, miękkim głosem zawiadomił zebranych, iż kolega dr Judym, świeżo przybyły z Paryża, odczyta pracę swą pod tytułem... *Kilka uwag czy Słowo w sprawie higieny*... Judym słuchał tego zawiadomienia z formalnym przerażeniem. Jednakże gdy oczy zgromadzonych zwróciły się do niego, ochłódł, wstał pewien siebie, zbliżył się do małego stoliczka, wydobyl swój rękopis z bocznej kieszeni surduta. Gwar wolno, jakby niechętnie, zamieniał się na szept, w którym brzmiał dźwięk mętny... Judym... Judym... niby akord gasnący w przestrzeni.

Dr Tomasz zaczął czytać. We wstępie, ukutym robotą kowalską ze zdań i wyrazów pełnych erudycji, była mowa o współczesnym stanie higieny. Nie tylko sentencje, w których ten sam rzeczownik powtarzał się kilkanaście razy, ale i myśli były twarde tudzież znane jak *Powrót taty*. Prelegent czuł na sobie i widział niby we mgłę spojrzenia zimne, ostre i już ubarwione drwiną. Ale to mu dobrze zrobiło. Czytał o nowych usiłowaniach w sprawie dezynfekcji, stosowanych w szpitalach, które zwiedził, o nowych środkach i zabiegach, na przykład o chinozolu, o przeróżnych stosowaniach sublimatu, o wszystkim, słowem, co z książek i czasopism obcych wygrał. Zaczęło to poniekąd interesować słuchaczy. Ciekawość ich wzrosła, gdy opisywał nowe środki dezynfekcjonowania mieszkań prywatnych, jak niepolimeryzowany formaldehyd — i inne. — Ta kwestia wypełniła pierwszą część rozprawki.

Na początku drugiej Judym zadał sobie pytanie, co nauka, tak bardzo w ogóle interesująca się sprawą zdrowotności, przedsięwzięje dla higieny życia motłochu. Ażeby zbadać tę kwestię ze stron rozmaitych, zaczął opowieść o zjawiskach, które miał możliwość widzieć w Paryżu i gdzie indziej. Mówił tedy o trybie życia tak zwanej armii rezerwowej przemysłu, o bandach koczujących, przepojonych absyntem, balujących w sali du Vieux-Chêne, przy ulicy Mouffetard, albo w sali de la Guillotine itd. Była to długa historia.

Słuchano jej z pewnym zajęciem. Prelegent opuściwszy ten przedmiot zwrócił się do opisu instytucji noclegowej, Château-Rouge.

— Chodziłem tam często — mówił — a nawet, wyznać muszę, spędziłem w tej norze jedną całą dobę. Nigdy nie wyjdzie mi z pamięci ten sen nocy zimowej. Wchodzi się tam z małej uliczki Galande, leżącej w sąsiedztwie Notre-Dame, w najstarszej dzielnicy paryskiej. W pobliżu kwitnie sławny szynk Père-Lunettes. Klientela dawnego pałacu „pięknej Gabrieli” (d'Estrées)<sup>50</sup> jest dwojakiego gatunku. Pierwszą stanowią „goście” zwiedzający, drugą — biedacy, którzy tu znajdują tani absynt i kilkugodzinny przytułek. Tak zwana *consommation*<sup>51</sup> kosztuje w Château-Rouge 15 centymów, za co gość ma prawo siedzenia przy stole tudzież oparcia dwu rąk i głowy na jego krawędzi aż do godziny drugiej w nocy. W czasie mroźnych i dżdżystych wieczorów goście, z których, rzecz prosta, ani jeden nie posiada własnego mieszkania, leżą po prostu jedni na drugich. Wyrzuceni po pierwszej w nocy, rozłóżą się w cztery strony świata. Jedni idą spać pod mosty, na fortyfikacje, do Lasku Bulońskiego, na Vincennes... Inni, którzy mają w kieszeni kilkanaście

<sup>50</sup>Piękna Gabriela (Gabriela d'Estrées) — słynna kochanka króla francuskiego, Henryka IV (1553-1610). [przypis redakcyjny]

<sup>51</sup>*consommation* (franc.) — najniższa obowiązująca konsumpcja, uprawniająca do zajęcia miejsca w restauracji czy kawiarni. [przypis redakcyjny]

groszaków, szukają jakiegoś *marchand de sommeil*<sup>52</sup>. Największa ilość nocuje w Château, po czym jedni idą do Hal Centralnych, ażeby za dwa *sous*<sup>53</sup> spożyć *soupe au riz*<sup>54</sup>, a w ciągu dnia za kilkanaście, czasami za kilkadziesiąt centymów pomagać urzędowym tragarzom. Inni, zbieracze ogryzków papierosowych, niedopałków cygar, czekają przy pomniku E. Doleta<sup>55</sup>, na placu Maubert, już o godzinie szóstej rano, i robotnikom dążącym do fabryk sprzedają torebki z wytrząśniętym tytoniem po 10 centymów sztuka. Château-Rouge może w sobie pomieścić kilkaset osób. W zimowe noce bywa ich tam pięćset. W pierwszej izbie z bufetem zbierają się przeważnie kobiety i dzieci, ponieważ kopci się tam w blaszanym piecu. W drugiej, dawnej sypialni pięknej kochanki Henryka IV, leżą na gołej podłodze sami mężczyźni. Za prawo snu do drugiej w nocy właściciel pobiera od każdego 10 centymów. W izbie trzeciej, ozdobionej freskami, którą zowią „senatem”, ludzie śpią na stołach i na ziemi. Tam zbieracze niedopałków wydmuchują z gilz swój towar i układają go w torebki, tam *les Dos*<sup>56</sup> czekają cierpliwie na swe *marmittes*<sup>57</sup>, nocne pracownice, które ich utrzymują. Tam śpią znużeni akrobaci podwórzowi, częstokroć tatuowani, drobni rzemieślnicy, ludzie, których zajęcie stanowi pławienie psów w rzece, otwieranie dorożek przy dworcach kolejowych, wylawianie zdechłych kotów, i inne farchy, nie nadające się do ogłoszenia. Z lewej strony od „senatu” jest izba, zwana *salon des morts*<sup>58</sup>, gdzie pokotem leżą pijani, chorzy albo osoby cieszące się względami gospodarza. Istnieje wreszcie tzw. „salon”, z freskami wyobrażającymi dzieje zbrodniarza Gamahu, zabójcy M-me Bannerich. Zwykle jakiś nędznik objaśnia te tajemnicze bohomy gościom zwiedzającym albo im śpiewa w *argot parisien*<sup>59</sup> piosenki, które ukazują bezdenną nędzę rodu ludzkiego, jak ta, na przykład, zaczynająca się od słów:

C'est de la prison que j't'écris;  
 Mon pauv' Polyte,  
 Hier je n'sais pas c'qui m'a pris,  
 A la visite;  
 C'est des maladi's qui s'voient pas,  
 Quand ça s'déclare,  
 N'empêch' qu'aujourd'hui j'suis dans l'tas  
 A Saint-Lazare!<sup>60</sup>

Kiedy do Château-Rouge wszedłem po raz pierwszy, miałem na głowie cylinder, więc uprzejmy właściciel pałacu wziął mię za Anglika zwiedzającego osobliwości miasta i z lampą w ręce oprowadzał po swej instytucji. Była to noc późna. Rozmowa nasza i światło budziły niektórych gości. Spod muru podniosła się uliczna dziewczyna w lachmanach, z twarzą obrzękłą, spieczoną przez jakiś ogień wewnętrzny, i przez kilka minut patrzyła na mnie dużymi oczami. Ten wzrok był tak straszliwy, tak nieopisany, że, jeśli wolno użyć słów poety: „aż dotąd pali moją duszę”<sup>61</sup>

Tego rodzaju wyskok liryczny zdziwił słuchających. Poczytywano go za zwrot krasomówczy i puszczono płazem niefortunna przygrywkę na sentymentalnej fujarce. Judym tymczasem uczuł w sobie istotny „ogień”, który pali duszę. Opowiadał o dzielnicy Cité Jeanne d'Arc, w sąsiedztwie szpitala Salpêtrière, mieszczącej kilkadziesiąt mieszkań wyrobniczych. Każda familia ma tam swój ką, lecz wszyscy przez cienkie ściany sły-

<sup>52</sup>*marchand de sommeil* (franc.) — dosł. handlarz snem (chodzi o właściciela taniego domu noclegowego). [przypis redakcyjny]

<sup>53</sup>*sou* (franc.) — drobna moneta francuska (dwudziesta część franka). [przypis redakcyjny]

<sup>54</sup>*soupe au riz* (franc.) — zupa z ryżu. [przypis redakcyjny]

<sup>55</sup>Etienne Dolet — drukarz i pisarz francuski z okresu Odrodzenia, stracony za postępowe poglądy na placu Maubert, gdzie od 1887 r. stoi jego pomnik. [przypis redakcyjny]

<sup>56</sup>*les dos* — w gwarze francuskiej: sutenerzy, alfonsi. [przypis redakcyjny]

<sup>57</sup>*marmittes* — w gwarze francuskiej: dziewczyny uliczne. [przypis redakcyjny]

<sup>58</sup>*salon des morts* (franc.) — salon umarłych. [przypis redakcyjny]

<sup>59</sup>*argot parisien* (franc.) — gwara paryska. [przypis redakcyjny]

<sup>60</sup>*C'est de la prison...* (franc.) — Piszę do ciebie z więzienia, / mój biedny Hipolicie, / nie wiem sama, co mi się wczoraj stało / w czasie wizyty; / to jedna z chorób, których się nie dostrzega, / kiedy się zaczynają, / co nie przeszkadza, że dziś jestem z całą bandą / u Świętego Łazarza! [przypis redakcyjny]

<sup>61</sup>*aż dotąd pali...* — przytoczone słowa (w trochę zmienionym brzmieniu) pochodzą z wiersza Adama Asnyka *Ta Łza*. [przypis redakcyjny]

szą nawzajem swe klótnie; dzieci całymi gromadami snują się po schodach, rynsztokach i ulicy, zarażając się wzajemnie chorobami i zepsuciem. Kobiety żyją w nierządzie, mężczyźni hulają. Nawet ten cień ogniska domowego znika u mieszkańców Cité Dore, Cité des Khroumirs oraz Cité de Femme en Culotte za północno-zachodnimi fortyfikacjami. Jedno z takich obozowisk składa się z alei chałup otoczonych śmietnikami, po których laziła dawniej właścicielka gruntu, eks-śmieciarka, nie wiadomo czemu w męskie szaty ubrana, i zbierała komorne. Drugie zbiorowisko składa się z istnych chlewów wzniesionych na wolnych terenach, gdzie dzieci śpią na kupach gałganów i brudu, gdzie Haussonville<sup>62</sup> widział wiekową niewiastę skrobiącą żyły mięsne ze starej kości śmietnikowej na skórkę czerniałego chleba — tudzież parę starców, „mającą za mieszkanie budę na kołach”, w której ci „ludzie” przenosili się z jednej *cité* do drugiej.

Niech nas to przecież nie przyprawia o smętek. I my mamy swój własny „Paryż” za murem powązkowskim<sup>63</sup> oraz dzielnicę żydowską wcale nie gorszą od Cité des Khroumirs. Warto choć raz w życiu przejść się zaludnionymi ulicami w stronę żydowskiego cmentarza. Można tam zobaczyć wnętrza pracowni, fabryczki, warsztaty i mieszkania, o jakich się filozofom nie śniło<sup>64</sup>. Można zobaczyć całe rodziny spijające pod pułapami sklepików, gdzie już nie ma ani światła, ani powietrza. W tym samym gnieździe kilku rodzin leżą stopy wiktuałów, załatwiają się rzeczy handlowe, przemysłowe, rodzinne, miłosne i łotrowskie, praży się jadło na śmierdzących tłuszczach, kaszlą i plują suchotnicy, rodzą się dzieci i jęczą przeróżni nieuleczalni wlokący kajdany żywota: Te miejsca odrażające wzdychają, gdy się przechodzi. A jedynym na to wszystko lekarstwem jest antysemityzm.

W sali ktoś półgłęboko się roześmiał. Szmer był coraz wyraźniejszy i niegrzeczny.

— Ja tu nie mówię o nadużyciach ordynarnych, o praktykach przeróżnych lekarzy kolejowych, fabrycznych itd., lecz zawsze o położeniu higieny. Mówię o tym, że gdy człowiek pracujący w fabryce, gdzie po całych dniach płukał sztaby żelaza w kwasie siarczanym, w wodzie i wapnie gazonym, dostaje zgorzeli płuc i uda się do szpitala, zostanie wykurowany jako tako, to ów człowiek wraca do tegoż zajęcia. Jeżeli pracownik zajęty w cukrowni przy wyrobie superfosfatu przez oblewanie węgla kostnego kwasem siarczanym, gdzie całe wnętrze szopy napęlnia się parą kwasu siarkowego i gdzie gazy po spaleniu pikrynianu potasu wdychane wywołują zgorzel płuc — ulegnie tej chorobie, to po wypisaniu go ze szpitala wraca do swojej szopy. W lodowniach browarów... *pleuritis purulenta*<sup>65</sup>...

— To rzecz jakiejś opieki nad wychodzącymi ze szpitala, a bynajmniej nie lekarza... — rzekł gospodarz.

— Lekarza obowiązek — właśnie wykurować. Gdyby zaczął szukać miejsc odpowiednich dla swych pacjentów, byłby może dzielnym filantropem, ale z wszelką pewnością złym lekarzem... — wołał ktoś inny.

— Zawsze „opieka”, zawsze „filantrop” — bronił się Judym. — Nie jest moim zamiarem żądać, ażeby lekarz szukał miejsca dla swych uzdrowionych pacjentów. Stan lekarski ma obowiązek, ma nawet prawo zakazać w imieniu umiejętności, ażeby chory wracał do źródła zguby swego zdrowia.

— Dobre sobie! Znakomita idylla! Co też kolega!... — słychać było ze stron wszystkich.

— To właśnie, coście tu szanowni koledzy swoimi protestami stwierdzili, nazywam lekceważeniem i zgoła pomijaniem przyczyn choroby, kiedy idzie o ludzi biednych. My lekarze mamy wszelką władzę niszczenia suterren, uzdrowotnienia fabryk, mieszkań plugawych, przetrząśnięcia wszelkich krakowskich Kazimierzów<sup>66</sup>, lubelskich dzielnic żydowskich. W naszej to jest mocy. Gdybyśmy tylko chcieli korzystać z przyrodzonych praw stanu, musiałaby nam być posłuszna zarówno ciemnota, jak siła pieniędzy...

<sup>62</sup>Gabriel Haussonville — (1843–1924), konserwatywny polityk i pisarz francuski. [przypis redakcyjny]

<sup>63</sup>„Paryż” za murem powązkowskim — aluzja do placu Parysowskiego, którego okolice zamieszkiwała uboga ludność Warszawy. [przypis redakcyjny]

<sup>64</sup>o jakich się filozofom nie śniło — ironiczna aluzja do słów Hamleta z tragedii Shakespeare'a [przypis edytorski]

<sup>65</sup>*pleuritis purulenta* (łac.) — zapalenie opłucnej z wysiękiem ropnym. [przypis redakcyjny]

<sup>66</sup>krakowski Kazimierz — dzielnica Krakowa, dawniej zamieszkiwana prawie wyłącznie przez ludność żydowską. [przypis redakcyjny]

Pozycja społeczna, Żyd

Bieda, Bogactwo, Choroba,  
Konflikt, Praca u podstaw,  
Społecznik

Lekarz

Robotnik

Pozycja społeczna, Żyd

To rzekłszy Judym złożył zeszyt i usiadł. Nie był to wcale koniec odczytu. Istniała tam jeszcze część trzecia, zawierająca przeróżne liryczne projekty. Do wygłoszenia tego ustępu, oddzielonego w rękopisie trzema gwiazdkami, dr Tomasz nie czuł się na siłach, formalnie tchu nie miał. Miny zgromadzonych, zakłopotanie gospodarza, sama wreszcie atmosfera zebrania wyraźnie znamionowała zbazgranie się prelegenta zupełnie. Lekcja ani była dość silna, żeby rozjątrzyć i wstrząsnąć, ani dość nowa, ażeby cymkolwiek olśnić. Patrzono na Judyma ze spokojem i bez gniewu, a te wejrzenia mówiły: „Widziało się, żeś lew srogi, a tyś tylko *dudy* czyjeś, i to kto wie, czy nie ośle...”.

Gdy się zupełnie uciszyło, wstał z krzesła staruszek z faworytami, dr Kalecki, i zaczął wyluszczać swe zdania sformułowane i pełne życia:

— Kolega Judym — mówił — dał nam rzecz piękną, pochlebnie i wymownie świadczącą o jego uczuciach altruistycznych, żywości imaginacji — i studiach w Paryżu. Miło jest w dzisiejszych czasach, niestety bardzo przesiąkniętych utylitaryzmem, spotkać lekarza z czuciem tak żywym, z sercem tak gorącym i pełnym tkliwości. Toteż ośmielę się złożyć w imieniu zgromadzonych koledze Judymowi szczery wyraz wdzięczności za jego pracę...

Po tym zwrocie, który Tomaszowi zdał się być natrząśnieniem z jego nędzy, dr Kalecki przystąpił do odczytu ze strony krytycznej i mówił:

— Rzecz poruszona przez kolegę Judyma właściwie składa się z kilku kwestii, a zahacza o niebo i piekło. Z tego wszakże, cośmy słyszeli, dadzą się, jak myślę, wydzielić trzy sprawy główne: *primo* — sprawa czysto naukowa: sprawa higieny żywota klas ubogich, *secundo* — sprawa społeczna, *tertio* — środki zaradcze. Każdy z tych punktów — to góra obrosła dzikim lasem, zavalona odłamami skał, przecięta jarami, gdzie jeszcze więdzmy nocują. A więc — co się tycze<sup>67</sup> punktu pierwszego. Nie będę wspominał o tym, co tu kolega prelegent nam przedstawił. Są to fakty sumiennie spostrzeżone i barwnie opowiedziane. Fakty, dodam od siebie, bardzo smutne. Co się tycze stosunków francuskich, to, rzecz prosta, kwestię muszę zostawić na uboczu, gdyż jej nie badałem specjalnie. Wiem jednakże z pewnością, iż cele miłosierdzia pochłaniają w Paryżu dziesięć milionów, wyraźnie, dziesięć milionów franków rocznie. Nie jest to sumka mała. Wiadomo również, że istnieją tam całe stowarzyszenia łotrów żebrzących, całe syndykaty utrzymujące baby, które na ulicach symulują porody, rozsyłające mniemanych epileptyków, obłąkanych, wszelkiego rodzaju kaleki — itd. W ogóle nie należy zapominać, kiedy się te sprawy roztrząsa, o wiecznym mądrym zdaniu Herberta Spencera<sup>68</sup>: „Wymawiając słowa — biedny człowiek, nie myślimy wcale — zły człowiek”. Nie chcę przez to powiedzieć, że lekceważę takie zjawisko jak *Cité de Femme en Culotte*...

Przejdźmy do stosunków naszych. Kolega prelegent ubolewał tutaj nad dolą parobków, żydostwa itd. W istocie rzecz się ma i tu, i tam nieświeźnie, ale z naciskiem to muszę sformułować, choćby się kolega Judym miał na mnie gniewać, że to nie są rzeczy lekarza. *Amicus Plato, sed magis amica veritas*<sup>69</sup> — to darmo. Tak to wygląda, jakby lekarz pogotowia ratunkowego wezwany do dwu szewców, którzy się skłuli nożami, zamiast ich opatrzyć, rozpoczął prelekcję o szkodliwości bójek. Co tu mogą zaradzić lekarze? Oświecać, oświecać ciemny motłoch folwarczny i wpływać na jego chlebobawców — to i wszystko. Ale to się robi, robi się na pewno, jak stwierdzają koledzy praktycy z prowincji. Robi się więcej, niżby sądzić można z daleka, z wysokości takich czy innych paradoksów<sup>70</sup>. Jak wszędzie, tak i tutaj najlepszą częśćkę obiera sobie, a przynajmniej powinna obierać filantropia, owa siostra miłosierdzia ludzkości. Patrzymy na stan rzeczy. Mamy przed oczyma wzrost ducha miłosierdzia, ofiarności, istnego zapału klas wyższych do spieszenia z pomocą tam, ku tej nizinie, którą dr Judym z taką swadą maluje. Ileż to ofiar spłynęło do sakwy jałmużniczej w ciągu tego roku, ile łez otartych zostało bez żadnego frazesu, w sekrecie nawet przed obrońcami „ludu”. Nie będę nazywał, nie będę wytykał palcem

<sup>67</sup>co się tycze — dziś popr.: co się tyczy [przypis edytorski]

<sup>68</sup>Herbert Spencer (1820–1903) — angielski filozof i socjolog pozytywistyczny. [przypis redakcyjny]

<sup>69</sup>*Amicus Plato...* (łac.) — „Wprawdzie Plato jest przyjacielem, lecz większą przyjaciółką prawda”. Wyrażenie przypisywane wybitnemu filozofowi greckiemu Arystotelesowi (IV w. p.n.e.), który będąc uczniem Platona, odrzucił i poddał krytyce jego idealistyczną teorię idei jako pierwowzorów rzeczy. [przypis redakcyjny]

<sup>70</sup>paradoks — sąd wyrażający myśl sprzeczną (czasem tylko pozornie) z ogólnie uznanymi zasadami. [przypis redakcyjny]



tych spomiędzy kolegów tutaj zebranych, którzy spieszą na każde wezwanie cierpiącej niedoli, którzy czas swój, zdrowie i życie niosą w ofierze, bez myśli o tym, że spełniają jakąś tam misję. Po prostu czynią, co trzeba, co wskazuje obowiązek serca, sumienia... źle mówię, przyzwyczajenia albo wprost — nałogu.

— Brawo! brawo!... — słychać było żywe okrzyki ze wszystkich kątów lokalu.

— A teraz rzućmy jeszcze okiem... Czy w istocie tak źle jest z nami? Oto powstają wystawy higieniczne, towarzystwa przeciwbębracze, urządza się przytułki noclegowe, funduje kąpiele dla ludu, zabawy — a wreszcie towarzystwo higieniczne, nic nie mówiąc o dziełach miłosierdzia dokonywanych w ciszy. Panowie, nie mamy potrzeby rumienić się wobec zarzutu kolegi dra Judyma, jakoby lekarz dzisiejszy był lekarzem ludzi bogatych. We wszystkich tych sprawach, na które patrzymy, stan lekarski nie tylko dawał inicjatywę, ale może z dumą o sobie mówić: *magna pars fui*<sup>71</sup>. Kolega Judym jest młodym człowiekiem. Serce podyktowało mu słowa goryczy, bo samo, widać, wiele cierpień zniosło. Dziś on się może jeszcze do zawziętości, do stronniczego uprzedzenia względem medyków warszawskich nie przyzna, ale gdy mu szron włosy ubieli, na pewno potwierdzi moje słowa, że wydał dziś sąd zły i krzywdzący. My mu to wszystko już dziś szczerze i zupełnie z serca odpuszczamy...

Judym uczuł w sobie ni z tego, ni z owego coś w rodzaju skruchy. Nawet w myśli nie powstało mu nigdy przypuszczenie, że to, co mówił o rzeczach higieny, można mu będzie z serca odpuścić. Zanim jednak zdołał zorientować się w gąszczu nowych, a tak niezwykłych uczuć, wstał doktor Płowicz, który był jednocześnie z drem Kaleckim o głos prosił, i ostrym, donośnym tonem rzekł, co następuje:

— Szanowny kolega Kalecki sformułował wszystko, co o materiach przez prelegenta poruszonych rzec by można. Według mnie kolega Kalecki w jednym tylko miejscu użył barwy zbyt nikłej na odparcie zarzutów doktora Judyma. Mówię o tym punkcie, gdzie autor odczytu narzuca lekarzowi dzisiejszemu obowiązek ulepszania stosunków społecznych. Jest to pretensja dzika, a przemienia się w napaść formalną, gdy surowy krytyk twierdzi, że praca lekarza polega na udoskonalaniu życia bogaczy, ażeby pospołu z nimi dzielić się okruciami zbytku. Ja tu wiele rzeczy pominię pełnym milczeniem. Nie będę się rozwodził nad tym, że rdzeniem życiowym, istotą spraw ludzkich niezwalczoną jest dążność każdego człowieka do kultury, wyższości, życia w pięknym mieszkaniu, nawet, *horribile dictu*<sup>72</sup>! dążność do bogactwa. Nie wiem, dlaczego lekarz miałby być wykluczony od uczestnictwa w podziale tych zresztą marnych bogactw tutejszego padolu. Chyba dlatego, że, jak sam przyznaje nasz srogi zoil<sup>73</sup>, harujemy ze wszystkich zawodowców najciężej i w najpodlejszych warunkach. Ale, jak zaznaczyłem, nie będę się nad tym rozwodził, bo, co tu w bawełnę obwijać, nie ma nad czym. Gdy doktor Judym zawiesi na swych drzwiach tabliczkę z godzinami przyjęć, gdy będzie miał do okrycia i wykarmienia nie tylko swe studenckie ciało, ale także osoby drogiej kobiety i dziecka, wówczas da Bóg doczekać, może usłyszymy od niego mniej surowe słowo na temat przywar stanu lekarskiego.

Chcę tu podnieść rzecz inną, mianowicie zwrócić uwagę kolegi Judyma na tę okoliczność, że jego myśli i wzloty altruistyczne nie mają silnego gruntu. Lekarze nie trzymają wcale w rękę władzy, jaką im kolega przypisuje. Gdyby najszczerzej i najusilniej chcieli zmusić szynkarza z Château-Rouge do zastosowania tak zwanych wymagań higieny, to im się to w żadnym razie nie uda. Świat jest to chytry przemysłowiec, który nie myśli wcale pieniędzy zebranych wydawać w tym celu, ażeby biedny pracowniczek mógł sobie lepiej a wygodniej przepędzać życie. Dla sprawdzenia, że tak jest, trzeba zstąpić z wyżyny na padół. Kazania, choćby i bardzo piękne, nic tu nie poradzą.

To powiedziawszy doktor Płowicz usiadł. Nastąpiło milczenie trwające czas pewien, milczenie kłopotliwe i przykre.

— Chciałem dorzucić parę wyrazów... — rzekł Tomasz głosem wątłym, chwiejnie dźwigając się ze swego krzeselka.

— Prosimy... — szepnął ktoś z głębi.

<sup>71</sup>*magna pars fui* (łac.) — brałem wielki udział (zwrot przysłowiowy). [przypis redakcyjny]

<sup>72</sup>*horribile dictu* (łac.) — strach się przyznać. [przypis redakcyjny]

<sup>73</sup>*zoil* — złośliwy, małostkowy krytyk; nazwa pochodzi od imienia greckiego mówcy Zoilosa (II w. p.n.e.), autora zjadliwych krytyk skierowanych przeciwko Homerowi. [przypis redakcyjny]

— Otóż, otóż... nie myślałem, że mój wywód, to jest... moje przedstawienie rzeczy sprowadzi tak niespodziewane opinie. Nie miałem myśli obrażania stanu lekarskiego, owszem, pragnąłem go uczcić za pomocą tego, com mniemał o jego roli w społeczeństwie ludzkim. Zdaje mi się to być dziwnym, że szanowni koledzy znaleźli w tym właśnie kamień obrazy. Przecie ja nie wymagałem od lekarzy ani filantropii, broń Boże! ani tego, żeby nie byli ludźmi bogatymi. Czyż ja nie mówiłem? Mówiłem i powtarzam, że lekarz dzisiejszy jest sługą, lekarzem-sługą ludzi bogatych. Czy sam jest bogaczem, to rzecz drugorzędna. Ponieważ zaś moja myśl zrozumianą nie została, więc ją rozwijam w inny sposób. Lekarz dzisiejszy nie chce nawet zrozumieć, a raczej usiłuje nie zrozumieć tej prawdy, że sprowadzając do zera posłannictwo swoje współdziała z chytrym, jak mówi dr Płowicz, światem-przemysłowcem. Nie należy służyć „mamonie”. Mieć ją można — mnie to ani grzeje, ani ziębi. A teraz co do mieszkań, przytułków i tych pocziwych kąpieli... Sądzę, że szanowny kolega Kalecki źle zapatruje się na znaczenie tych instytucji. Fundowanie kąpieli dla ludu przez osoby postronne, przez filantropów, uważam za dążność chybioną...

— Paradne! — zawołał ktoś na sali.

— ...gdyż odwraca naszą uwagę od tego, czym obowiązkiem jest kąpiel dla swoich pracowników urządzić. Jeśli dyrektor kopalni węgla wychodzi z podziemia, to ma do dyspozycji wannę urządzoną przez właściciela kopalni. Cóż byśmy sądzili, gdyby dla takiego dyrektora fundował wannę kolega doktor Płowicz z własnych, krwawo zapracowanych, a jednak marnych funduszków? Tymczasem gdy chodzi o jakiegoś człeczynę poniżej sztygara stojącego na drabinie socjalnej, nic nie mamy przeciwko temu, ażeby doktor Płowicz z własnego majątku fundował mu sposób ablucji<sup>74</sup> zabrudzonego siedliska duszy. Oto gdzie leży kwestia. Utyskujemy, łamiemy ręce nad brudami miast, nad niechlujstwem ludu, my, lekarze, a gdy nastęrcza się możność od jednego zamachu skasować niechlujstwo...

— Ciekawa rzecz, gdzie się ta możność nastęrcza?

— ...żądając otwarcia łaźni przez tego, w którym interesie potem i brudem okryli się ludzie — my na miasto, do filantropa. To samo...

— Ale kto ma nastawać, kto? Jaki organ, jakim sposobem?

— My, lekarze! My, sól ziemi, my, rozum, my, ręka kojąca wszelką boleść...

— Jakim sposobem, jakim cudem?

— Zmówmy się między sobą, naradźmy, wydajmy uchwałę i walcmy z głupotą społeczeństwa, które nie widzi, co to jest ulica Krochmalna albo Kazimierz krakowski...

— Kpisz pan czy o drogę pytasz!

— Bynajmniej! Jeżeli przychodzą do mnie po radę, to niech jej słuchają! W przeciwnym razie nie leczę, nie leczę wcale! Jeśli nie niszczyć źródeł śmierci...

Mówiąc to wszystko Judym tracił stopniowo a szybko poczucie pewności siebie. Formalne, kategoryczne a śmiałe zaprzeczenia wydarły mu z głowy najsilniejsze argumenty. Chciał mówić jeszcze o mnóstwie kwestii, ale podobnie jak przedtem — stracił odwagę. W tej samej chwili, gdy on nie wiedział, co właśnie dalej mówić, nastąpiło w sali zupełne milczenie. W przeciwległym kącie grono zebrane przy stoliku zaczęło głośno rozmawiać o czym innym. Gospodarz uniósł się ze swego miejsca i oczyma dał znać żonie, że czas prosić do kolacji. Większość zebranych wstawała...

Judym usiadł na swym miejscu spocony, z uczuciem, jakby miał głowę pełną suchego piasku. Widział, że goście przechodzą grupami do sali jadalnej... Nie był pewny, czy ma wyjść, czy zostać. Gdy się wahał, usłyszał obok siebie głos dra Czernisza:

— Kolega będzie łaskaw... Proszę...

Wtedy wstał ze swego miejsca i wraz z innymi przeszedł do pokoju stołowego. Przy kolacji, która dla niego była prawdziwą męczarnią, miał w sąsiedztwie doktorową Czerniszową, która zadawała mu jakieś uprzejme pytania, zmuszała do wypowiedzania bezmyślnych zdań o literaturze, malarstwie, nawet o jakimś bilu angielskim<sup>75</sup>... Chwilami czuł dziką wściekłość; miał formalny impuls, żeby powstać i dzielić tę piękną kobietę

<sup>74</sup>ablucja — obmycie. [przypis redakcyjny]

<sup>75</sup>bil angielski (z ang. *bill of rights*) — ustawa przyjęta przez parlament angielski i zatwierdzona przez króla. [przypis redakcyjny]

pięścią między oczy. Jak na urągowisko nie tylko trzymał, ale ze wszystkich stron widział w umyśle racje swoje, głębokie fikcje obmyślane w samotności. Nikt nań uwagi nie zwracał, więc mógł w przerwach między pytaniami gospodyni ćwiczyć do woli swój *esprit d'escalier*<sup>76</sup>. Kiedy niekiedy tylko zatrzymywało się na nim w przelocie czyjeś spojrzenie i wówczas widział w nim drwinę, której bezlitosne oblicze zakryte było kapturem towarzyskiej przyzwoitości.

Późno w nocy skończyła się kolacja. Część zgromadzenia wróciła do salonu. Inni z cygarami wędrowali do gabinetu, niektórzy zaś po angielsku wymknęli się za drzwi. Do szeregu ostatnich należał Judym. W bramie kamienicy, która była od dawna zamknięta, kilku z uczestników zebrania „wypukiwało” stróża stękającego przed opuszczeniem izdebki. Grono to milczało i gdy się drzwi otwarły, pożegnano Judyma szybkim „dobranoc” i uchyleniem kapeluszków. Został i siedł w tę samą stronę tylko jakiś otyły, niski, wiekowy eskulap, którego Judym zauważył na zebraniu. Była to figura rozlana, o żydowskich rysach i ruchach.

— Kolega w którą stronę? — spytał Judym.

— Ja? W stronę Krochmalnej... A kolega?

— Na Długą.

— No to idziemy w jednym kierunku.

— Niekoniecznie.

— Owszem. Dlaczego? Ja mogę zbroczyć. Przyznam się zresztą koledze, że milej mi będzie iść razem. O tej godzinie... po prostu strach jest iść piechotą. W naszej okolicy niech Bóg zachowa!

— A, jeżeli tak.

Judym szedł wielkimi krokami. Grubas biegł przy nim, sapiąc i wydmuchując dym z cygara, którego niedopałek żarzył się w samych niemal jego wąsach.

Gdy już oddalili się znacznie od mieszkania doktorostwa Czerniszów, dr Chmielnicki rzekł:

— Szczerze dziś współczułem koledze...

Judym miał inne wyobrażenie o tym współczuciu, zauważył był bowiem przypadkowo tuściocha, jak prześcigał innych we wzgardliwym nadymaniu ust i w obfitości min ironicznych.

— Dlaczegoż to kolega miał mi współczuć?...

— Jak to dlaczego? Czy kolega może dziś czuć przesyt z nadmiaru krytyki życzliwej? U nas, niestety, tak zawsze. Jeżeli kto wyrasta nad głowy tłumu, zaraz go...

— Szanowny kolego, ja nie marzyłem o wyrastaniu nad jakiegokolwiek głowy.

— Ja wiem, ja rozumiem! Mówię nie o zamiarze, lecz o fakcie...

— Żałuję teraz, że czytałem moją elukubrację<sup>77</sup>...

— Ależ dlaczego?

— Dlatego, że ten wyskok sprowadził między innymi takie oto drwiny szanownego kolegi.

— Kolega się mylisz! Na honor... Mnie imponują ludzie odważni. A co znaczy być wyśmiewanym, być zadreżczonym tym wiecznym śmiechem, jak chory indyk przez stado, to ja wiem najlepiej.

— Jak to?

— Proszę kolegi, od pierwszej klasy przez całe gimnazjum, przez cały uniwersytet, przez całe życie jestem śmieszny. Dlaczego? Ja nie wiem. Oczywiście przede wszystkim dlatego, że mam przyjemność być z Żydów, a po wtóre dlatego, że się nazywam Chmielnicki. Przodkowie moi, nawiasem mówiąc wcale nie lichwiarze ani nie oszuści, pochodzili z miasteczka Chmielnika, więc ich zwano Chmielnickimi. Gdyby byli wiedzieli, ile z racji tego nazwiska wycierpi ich potomek, wcale niegłupi doktor, byliby wybrali dla siebie i dla mnie nie tyle kozackie nazwisko. Mogliby się byli przecież nazwać Staszowskimi, Stopnickimi, Oleśnickimi, Kurozweckimi, Pińczowskimi, Buskimi. Byłoby to im, a i mnie najzupełniej obojętne. Ze mnie drwili nawet profesorowie. Pamiętam, w Dorpacie nasz nieboszczyk prosektor<sup>78</sup> pyta mię pewnego razu przy całym audytorium:

<sup>76</sup>*esprit d'escalier* (franc.) — odpowiedź przychodząca poniewczasie, spóźniony dowcip. [przypis redakcyjny]

<sup>77</sup>*elukubracja* — mozolnie wypracowany utwór, ale bez talentu. [przypis redakcyjny]

<sup>78</sup>*prosektor* — kierownik prosektorium. [przypis redakcyjny]

— Panie Chmielnicki, czy aby wierzysz w nieśmiertelność duszy?  
Pytanie było żartobliwe, ale kategoryczne. Odpowiedziałem:  
— Panie profesorze, tak jest, ja wierzę.  
— A gdzie ona jest ta pańska dusza?  
— Jak to gdzie? Jest w ciele człowieka.  
— W całym ciele czy w jakiej części siedzi pańska dusza, panie Chmielnicki?  
— W całym ciele siedzi, profesorze.  
— A jeżeli człowiekowi urzynają nogę, cóż się dzieje z duszą? Czy urzynają również kawałek duszy?

Pomyślałem chwilę i mówię:

— Nie. Wtedy zapewne dusza podnosi się cokolwiek wyżej.

Ten dialog szeroko i daleko uczynił mnie sławnym. Gdybym dziś dał światu nieomylny sposób leczenia gruźlicy, zawsze pamiętano by, że to ten „Czerkies” Chmielnicki, co ma nieśmiertelną duszę, która w miarę okoliczności podnosi się wyżej.

— Proszę kolegi, czyliż jest choć jeden człowiek, który by nie dźwiżył na plecach takiego kosza śmieszności? My sami każdemu z przechodzących wrzucamy jakąś bryłkę ciężaru. To samo czynią z nami bliźni nasi. Nic darmo...

— Nie, nie! Co innego jest to, o czym kolega mówisz, a co innego specjalne brzemie moje. To nie kosz, który można zrzucić, lecz garb. Niosę zawsze taki, jakiego ciężar poznałeś pan dzisiejszego wieczora.

— Ależ to co innego.

— Tak, co innego, bo to było, daruje kolega, zasłużone, cokolwiek zasłużone, moje zaś jest to śmieszność, którą się niesie bez własnej winy.

— Więc ja dziś zasłużyłem...

— No, nie! Ja się mało znam. Ale, proszę kolegi, jak można... Takie ostre wystąpienie przeciwko uznanym prawdom, a nawet, powiem sumiennie, przeciwko... oczywistości. Medycyna to jest medycyna, to jest fach. Ja się nauczyłem, wydałem pieniądze, włożyłem ogrom pracy, ja umiem, mam patent — więc leczę. Dlaczego medycyna ma być związana z filantropią, a inżynieria nie, prawo nie, filologia nie!

— Nic nie chcę słyszeć o filantropii!

— No, to z tymi obowiązkami społecznymi. Dlaczego nie ma obowiązków społecznych rzeźnik, stolarz, poeta, tylko lekarz?

— Wie pan co, nie mówmy o tym.

— Możemy nie mówić, jeżeli kolega nie życzy sobie mówić o tym ze mną. Ale mnie kolegi żal.

— Ech, jeszcze stoję na nogach.

— Kolega wspomniałeś o tych biednych szajgacach<sup>79</sup> z Parysowa... Ach, Boże! To była krótka wzmianka, ale w niej malowało się coś takiego... Dzisiaj już mało kto mówi u nas o Żydach jak o ludziach. Jeżeli się o nich mówi, to po to tylko, żeby ich przyrównać do „robactwa”, które oblaźło i żre „ludzi”. Kiedy czytam dzisiejsze pisma, pisma, które jawnie wzywają do nienawiści, do wygładzania, wyrzucania, tępienia Żydów, dzisiaj, i to w imię zasad Jezusa Chrystusa...

— Proszę kolegi...

— Proszę kolegi, ja każde niedzielne wydanie pism... tych pism antysemitycznych odchorowuję...

— Po cóż cię wzruszać byle czym!

— Byle czym!

— No tak. Pisma takie wydają szuje, nędzne łajdaki, które na szerzeniu nienawiści między ludźmi, na niszczeniu solidarności robią majątki. Z tego zatrutego posiewu budują sobie kamienice. Ale czy wy sami dużo zrobiliście dla podniesienia żydowskiej masy?

— Czy wiele zrobiliśmy! Życie w to kładziemy. Pracujemy dzień i noc.

— Więc dlaczego, kolego, mówisz, że nie mam racji wzywając medyków do roli, jaka im się należy?

— Bo tamto robimy dla Żydów, my, Żydzi. Tu gra rolę miłość.

<sup>79</sup>szajgacach — nieżydowski (chrześcijański) chłopiec [przypis edytorski]

— Właśnie, właśnie. Miłość! Mało też zrobiliście nadymani przez waszą „miłość”. Ja chciałem udowodnić lekarzom, co powinni czynić pod naciskiem nie miłości bynajmniej, lecz wskazań zimnego rozumu.

Byli na Długiej, przed bramą domu, w którym mieszkał dr Tomasz. Na odgłos dzwonka dr Chmielnicki zorientował się dopiero, że gawędząc przycwałował aż tak daleko. Właśnie przejeżdżała dorożka, więc ją zatrzymał i gramoląc się na stopień perorował:

— Kolega się mylisz! Medycyna — to fach.

Zlął raptem znowu, potknął się w rynsztoku, chwycił Judyma za kłapę paltota i mówił mu w sekrecie: Medycyna to interes jak każdy inny. Nie zapomnij kolega o tym...

— Dobrze, dobrze. Nie mam możliwości o tym zapomnieć, nie mam nawet środka. Ale gdyby mi danym było przeżyć na tym świecie pięćdziesiąt lat jeszcze, ujrzałbym wszystko to, o czym dziś mówiłem, jako fakty zrealizowane. Medycyna będzie wykreślała drogi życia masom ludzkim, podniesie je i świat odrodzi.

— Mrzonki...

— Tak samo z pewnością mówili w zeszłym wieku ci „medycy”, co to z narzędziami swego „fachu” objeżdżali dwory pańskie pokornie wypytyując się, czy kto nie jest słaby, gdy im kto twierdził, że stan lekarski będzie zajmował to ogromne stanowisko, jakie już ma dzisiaj. Kolega się żalisz na szyderstwa, które cię spotykają. Pomyśl, co by cię czekało, ciebie, Żyda-lekarza, sto lat temu?...

Doktor Chmielnicki wwałił się w dorożkę i krzyknął na woźnicę pragnąc zagłuszyć wzmiankę o żydostwie:

— Krochmalna!...

Lekarz

#### SMUTEK

Piątego października doktor Judym wyszedł na spacer w Aleje Ujazdowskie. Był to dzień piękny. Słońce rozlewało ciepło łagodne i blask jeszcze jasny, ale już odchodzący za dziewiątą górę, za dziesiątą rzekę. Szereg drzew w Alei, których widok tak dużo wspomnień nasuwał, okrył się już rdzą czerniejącą. W dali, spomiędzy koron kulistych jeszcze, wysuwały się gałęzie bez liści jak smutny jakiś drogowskaz. Ze szczytów sączyły się barwy trupie, zgniłe, czerwonorude i coraz niżej wsiąkało w ciemną zieloność jasnożółte zniszczenie. Tu liść jeszcze żywy otoczył płomień śmierci jakby obwódka dziwnej żaloby, gdzie indziej strawił go do rdzenia, pozostawiając tylko prążki zielone. Błękit niebieski rozciągnięty<sup>80</sup> nad tą wąską smugą przestrzeni był już nikły, zasnuty przedziwem chmurek zwianych i płynących wiotkimi pasmami w dal niedościgłą dla oka.

Doktor minął bramę i wolno schodził w głąb parku. Ogromne liście klonów płynęły z drzew i migwały przed oczyma nad ziemią to tu, to tam, jak złote ptaki. Liście orzechów włoskich i drzew octowych plamiły zieloność trawników niby krew rozlana i skrzepła. Na dnie pustego parku, w cieniu sokor królewskich niedostępnym dla słońca, spoczywał i wyciągał się mrok chłodny. Daleko, w przecięciach szpalerowych, oświetlone czuby żółtych kasztanów buchały płomieniami jak jęzory żywego ognia. Wszędzie stał rozlany w chłodnym powietrzu miły, ostry zapach liści zwiędłych.

Unikając miejsc ludnych Judym szedł dawną aleją na koniec parku. Rosły tam najściślejsze, prawdziwie niebotyczne topole, szeleszczące jeszcze twardymi liśćmi; cicho szumiały srebrne, długowłose wierzyby, co patrzą w obumarłe wody kanałów — i świerki jak posępne mnichy w czarnych habitach, zamykające odległe widoki, marzyły w samotności. Powiew śmiertelny obszedł już wokoło te drzewa i na straży ich postawił wyłękłą ciszę.

Dalekie głębie wydawały kiedy niekiedy szmer prędko gasnący, który i człowieka zmuszał do cichego westchnienia.

Gdy w pewnej chwili rozległ się gwar i śmiech dziecięcy, wydał się czymś dziwnym i rażącym wśród surowego szeptu, który mówi o śmierci.

Na gładkie łączki, niby jeziora śniące między kępami zarośli, zstępowały smugi światła prawie białego i ostrymi rysami przerzynały chłodne murawy. Tuż obok drogi zasłanej liśćmi tały się baseny wody nieruchomej, ślepej i głuchej, która przyjmując w siebie

Drzewo, Jesień

<sup>80</sup>rozciągnięty — dziś popr.: rozciągnięty [przypis edytorski]

poszarpane plamy firmamentu dawała jakieś kłamliwe ich odbicie, brząsk srebrzący się a niepochwytne. Rysowały się tam czarne pnie i gałęzie olch nachylonych. Każdy ptak siadający dla wypoczynku strącał z nich mnóstwo liści. Chłodne oddechy jesienne niosły te zwłoki skurczone i osadzały na zawsze w cichej powierzchni. Zielona woda płaszczyzn bardziej otwartych pieściła w łonie swym gałęzie kasztanów z liśćmi tak żółtymi, że się wydawało, jakoby płynna jasna farba sączyła się z nich i w głębi odmiennej tonęła. Liście te były zwieszane, przejrzyste, delikatne, a rzucały na środek wody ruchome odbłaski, które z jej barwą zlewały się w podobiznę przepysznie lśniącego brązu. W jednym miejscu słońce, znalazłszy wśród przeredzonych liści obszerną drogę, rzuciło się w głąb wody jak wytrysk roztopionego złota o barwie zbyt trudnej dla źrenicy. Między drzewami co chwila migają błyszczące pudła powozów pędzących na gumowych kołach. Głuchy turkot ich przerywający milczenie był głosem, który z zimnem przyrody harmonizował. To był wyraz bogactwa, czegoś tak obojętnego jak ona sama. W umyśle budziły się skojarzenia, które milczą, chociaż istnieją, podobnie jak dźwięk w natężonych strunach.

Bieda, Bogactwo,  
Dorosłość, Marzenie,  
Pozycja społeczna, Walka

Doktor Tomasz w powszedniej trosce życiowej nie roztrząsał ich ani kształtował, ale one z dnia na dzień jak miriady niewidzialnych mikrobów asymilowały się z umysłowością. Teraz spajały się w silne sylogizmy<sup>81</sup> i od zjawiska przechodziły do zjawiska, sięgając do głębin treści. Były to myśli parweniusza, który trafem stanął u drzwi pałacu kultury. Tkwiła w nich przede wszystkim skryta pod maską miłości ubogich drapieżna zazdrość indywidualna względem cudzego bogactwa. Od wieków płonęła jak piekielny ogień w sercu przodków, była najsilniejszym, choć najszybszym ich uczuciem. W duszy ostatniego potomka nie zionęła już z niej śmiertelna, ślepa zemsta, tylko wysnuwał się głęboki, rozległy żal. Niegdyś, za czasów dzieciństwa i młodości, wytryskiwała z tego samego źródła potężna energia człowieka z ludu, który cwałem biec musi tam, gdzie wszyscy inni „dobrze urodzeni” równo, systematycznie i bez trudu idą. Później wyłamywały się z tej zazdrości złudy oryginalne, hipotezy, plany i gwałtowne marzenia, które nieraz przeradzają się w namiętności i łamią siłę nawet pieniędzy. Teraz, w dniu spaceru, wszystko pierwszy raz owiał jak gdyby chłód jesienny. Judym uczuł w sobie nie dającą się określić jasnymi słowami agonię tych właśnie dawnych marzeń. Uczucie jego znosiło proces podobny do lotu strzały rzuconej z tęgiej cięciwy i pędzącej jeszcze w przestrzeń, kiedy na wielkiej wysokości zwalnia biegu, uczuwa nagle swój ciężar, który ją wkrótce, choć nie wiadomo kiedy, odwróci grotem na dół i porwie ku ziemi. W którąkolwiek stronę rzuciła się dusza młodego lekarza, wszędzie uderzała w jakąś siłę zdradziecką podobnie jak pływak, z męską mocą wyrzucający ramiona wśród wodnej przestrzeni, zajęty zwalczaniem tylko jej słabego oporu, gdy się z nagłą uderzy piersiami o pał nieznaną. Judym uczuł pierwszy raz w życiu, że pał mocniejszy jest niż piersi ludzkie. I pierwszy raz zastanowił się nad tym, że można pływać tylko po wiadomej, przez wszystkich sprawdzonej toni. Z cichego szelestu liści płynęło do jego serca rozumienie, że się na świecie nie jest niczym osobliwym, że się będzie jednym z wielkiego szeregu. Był to jakby bezwiedny rachunek z samym sobą, zbieranie do kupy rzeczy już zdobytych dla sporządzenia skrzętnego ich rejestru. Wypadało z tych obliczeń, że to, co już zostało zdobyte, to jest los bardzo wielki. Ale zarazem nie ginął jeszcze z oczu przestwór dawny, owszem, roztwierał się daleki, nieobeszły... To, co chce uczynić, co mógłby, za co życie swe gotów jest położyć człowiek nowoczesny, doktor Judym widział w głębi swego serca. I czuł, że od tych prac musi cofnąć ręce.

Wszystko, czym dusza jego żywiła się, tak samo jak ciało chlebem, w czyn się zamienić nie mogło, musiało pozostać sobą, tym samym, marzeniem. Ze wszystkich tych zazdrości i pragnień ofiarnego działania na dużym polu, z żarłocznych egoizmów, które się przeistoczyły w czucia nadindywidualne, wolno teraz idących drzemać w przymusową bezsilność, sączył się smutek jak pałace krople trucizny. Napojone nim serce obejmowało świat, ludzi i rzeczy jakby w minucie pożegnania.

Smutek, smutek...

Rozkuwał marzenia z kajdan myśli i przenikał duszę na wskroś, jak noc przenika wodę. Zostawał z człowiekiem sam na sam niby ulotny a niewątpliwy cień jego postaci.

<sup>81</sup>sylogizm — wnioskowanie pośrednie polegające na wyprowadzeniu nowego sądu, zw. wnioskiem, z dwóch innych sądów, zw. przesłankami. [przypis redakcyjny]

W którąkolwiek stronę, do jakiej rzeczy wzrok było obrócić, wił się po ziemi niedocieczony a wszędzie obecny.

Doktor Judym szedł pustym szpalerem, z głową zwieszoną, z rękami w kieszeniach paltota. Czasami potęrał nogą kasztan świeżo wylusknięty, błyszczący wśród suchych liści, albo świstał przez zęby aryjkę gdzieś niegdyś słyszaną i licho wie dlaczego trzymającą się pamięci. Stał u końca alei nad wodą i chciał przejść na drugą stronę szosy, ażeby skierować się ku pałacowi, a potem ku wyjściu. Karety jedna za drugą pędzące wstrzymały go na miejscu. Leciała jedna, tuż za nią druga, trzecia... Judym ścisnął zęby i zmrużonym okiem przeprowadzał te pojazdy. Do melodii jego aryjki przyczepiło się słowo:

— Powozy, powozy, powozy...

Trzeba było jeszcze stać na miejscu, gdyż z oddali pędził ostrym klusem czwarty, lśniący wolancik.

Doktor wsparł się na niskiej barierze i ociężałym wzrokiem spotykał jadące osoby. Nagle doznał takiego wrażenia, jakby go ze wszech stron otoczyło promienne światło wiosny i zapach róż. W powozie siedziały trzy panienki, z którymi swego czasu zetknął się w Paryżu i jeździł do Wersalu. Starsza z nich, panna Natalia, odwróciła głowę i poznała doktora. Gdy nieśmiałym ruchem niósł rękę do kapelusza, skinęła mu głową i rzekła coś do towarzyszek. Wówczas odwróciła się panna Joanna i Wanda zajmująca przednią ławeczkę. Doktor zobaczył tylko twarz i uśmiech pierwszej, gdyż konie porwały wolant i uniosły go między drzewa. Uśmiech ten snuł się przez mgnienie oka w jego źrenicach jak błysk światła. Potem z wolna rozwiął się w nicość.

Promienie słoneczne gasły na wodzie i zamierały w głębinie liści, jakby ustępując przed ostrym chłodem, który się z wody i z ziemi dźwigał. Sennie i z posłuszeństwem, niby na rozkaz tych martwych fal niewidocznych, płynęły żółte liście i kołysały się na powietrzu. Zdawało się, że wybierają dla siebie mogiły zstępując z ciemnych schodów. Judym szedł w swoją drogę ze spuszczonej powiekami, zatopiony w marzeniach.

Jesień

## PRAKTYKA

Proroctwo doktora Płowicza co do dalszych losów Judymowych spełniło się o tyle, że istotnie tablice z wyszczególnieniem godzin przyjęcia umocowane zostały nie tylko na drzwiach mieszkania doktora Tomasza, ale także u wejścia do sieni kamienicy, w której zamieszkał. Szylidy te opiewały, że doktor przyjmuje w godzinach popołudniowych, między piątą a siódmą. Całe ranki spędzał w szpitalu na oddziale chirurgicznym, gdzie pełnił obowiązki asystenta. Stołował się, jak za czasów studenckich, na mieście, a od godziny piątej, stosownie do wskazań spiżowymi literami wyrytych na tablicach, siedział w „gabiniecie” aż do siódmej. Nie pozwalał sobie ani najdrobniejszego przekroczenia godziny piątej, tym mniej wydalania się przed siódmą. Już w chwili wynajęcia lokalu zdecydował, że trzymać się będzie tego przepisu jak najściślej, toteż wykonywał go ze skrupulatnością nieubłaganą, odtrącając wszelkie impulsy i mamidła przez wzgląd na kształcenie w sobie charakteru, a osobliwie wytrwałości. Prawda, że w ciągu miesiąca września, października, listopada, grudnia, stycznia i lutego nie zjawił się w tym mieszkaniu ani jeden pacjent, ani jeden „kulawy pies niosący w zębach rubla”, jednak nie upoważniało to wcale do zrywania tablic, a tym mniej do jakichkolwiek przerw i uchybień w kształceniu woli. Było i jest rzeczą wiadomą, że początki praktyki... itd. Toteż doktor Tomasz czekał niezachwianie.

Lekarz

Lokal składał się jak gdyby z trzech pokojów. Największy z nich (właśnie „gabinet”) oddzielony był sienią od znacznie szerszego, który stanowił „poczekalnię”. Zarówno sieni, jak poczekalnia przepołowione były forsztowaniami, pierwsza na sieni i pseudokuchnię, druga na poczekalnię właściwą i, jeżeli godzi się tak go nazywać, pokój sypialny. Cały apartament mieścił się na dole, od frontu, co zaopatrywało go wprawdzie w turkot ulicy Długiej oraz w wilgoć, ale za to pozbawiało światła dziennego. Co się tyczy umeblowania, to doktor Judym żywił i wprowadzał w czyn mniemanie radykalne: „Po co — myślał — mam meblować mieszkanie, *cui bono*<sup>82</sup>? Czy mój pacjent zyska co na tym? Czy może ja za pomocą kanap i obrazów zyskam pacjentów? Bynajmniej!”

Co postanowił, to wykonał, a raczej nie wykonał w tym mieszkaniu nic prawie. W „gabiniecie” stał stolik przykryty bibułą, na nim kałamarz, pióro i papier do pisa-

<sup>82</sup>*cui bono* (łac.) — w imię czyjej korzyści? po co? [przypis redakcyjny]

nia recept. Obok stolika czekały cztery drewniane stolki. Przy ścianie nudziła się stara sofa obita czymś wzorzystym.

W „poczekalni” mogło się rozsiąść wygodnie co najmniej pięciu pacjentów. Była tam kanapa, dwa fotele, parę stołków, „Tygodnik Ilustrowany”, pojedyncze numery różowego czasopisma „Głos” i jakiś impresjonistyczny rysunek w ramkach na ścianie. Wszystkie te meble, z wyjątkiem naturalnie „Tygodnika”, „Głosu” i rysunku, kupione zostały za gotówkę na ulicy Bagno w pewnym bardzo renomowanym składzie bardzo „hrabskich” mebli. Podłogi zostały świeżo pomalowane olejną farbą, w przedpokoju umieszczono lustro (wszystko ku wygodzie i niezbędnej potrzebie pacjentów). Co prawda lustro miało właściwości szczególne. Pacjent najbardziej trzeźwo usposobiony mógł dostać pomieszczenia zmysłów ujrawszy w tej tafli szklanej swe oblicze... Nos ukazywał się tam zawsze rozdęty jak kolba dubeltówki, jedno oko w czole, a drugie tuż przy prawej dziurce nosa, usta literalnie od ucha do ucha i nad podziw imitujące buzię nosorożca. Obowiązki gospodyni mieszkania, służącej a zarazem portierki, która by na pierwszy odgłos dzwonka otwierała drzwi pacjentom, przyjęła niejaka pani Walentowa, małżonka wędrownego bednarza. Mieszkała w suterenie tego samego domu, a tuż pod „gabinetem” doktora Judyma, co w znacznej mierze ułatwiała komunikowanie się za pośrednictwem walenia obcasem w ziemię. Pani Walentowa było to babsko stare, grube, skręcone przez rozmaite suterenowe *łamania*, niewątpliwie żłowiące *monopol* w dużej ilości, aczkolwiek w sekrecie — jednym słowem *grzmot* warszawski.

Jako wyręczycielka *mamy* spełniała czynności mniej więcej piętnastoletnia córka, dosyć ładne dziewczątko, czekające tylko odpowiedniego wieku, ażeby wyjść na ulicę z ciemnicy suterenowej.

Te białogłowy zagospodarowały się w mieszkaniu doktora Tomasza z taką wszechwładzą, że mowy być nie mogło ani o ukróceniu ich praw, ani tym mniej o jakiejś zmianie trybu postępowania. Wyrzec się ich usług nie było możliwości, gdyż zaczynały obydwie ryczeć jednym strasznym bekiem, wzywając na świadectwo głód, chłód, nędzę, ból, łamanie... Procesować się o wszelkie rzeczy ginące nie wypadało, gdyż zaklinały się z miejsca na tyle i takich sakramentów, że chyba człowiek wyzuty ze wszelkiej delikatności mógłby je podejrzewać o krzywoprzysięstwo. Co się działo ze świecami, z naftą, węglem kamiennym, cukrem, chlebem, herbatą, masłem, ze składowymi częściami garderoby męskiej itd. — to jest wieczną tajemnicą. Każdy prawie przedmiot kupiony za pieniądze tyle istniał w świecie zjawisk rzeczywistych, o ile figurował w rachunku. Poza tym bytował tylko w imaginacji Judyma podsycanej przez niektóre ze zmysłów. Świec nabytych nigdy, literalnie nigdy nie było. Wstępując nocną porą w progi domowe doktor Tomasz zawsze laził omackiem i nadaremnie szukał zapalek, lichtarza, lampy... Że jednak świece rzeczywiście w mieszkaniu egzystowały i płonęły, o tym świadczyła wielka obfitość kropel zastygłej stearyny nie tylko na lichtarzu, na podłodze, na obiciu kanapy, stołków, na prześcierałkach łóżka, ale także dziwnym zbiegiem okoliczności na ineksprymablach<sup>83</sup> i żakietach wiszących w szafie na klucz zamkniętej. Lampa była wiekuiście wewnątrz pusta, z upalonym knotem, ale za to niewątpliwie naftą pooblewana ze strony zewnętrznej i cuchnąca tym szlachetnym paliwem z odległości pięciu kroków, co w każdym razie wskazywało, że co kupiono, to wylewano ze *szczodrobliwością*. Cukru i bułek dr Tomasz nigdy w szafie nie znalazł, choćby się z głodu wił pod jej drzwiami, natomiast nie zamiecione okruszyny słały się wszędzie, a szczególnie w łóżku... Jedna poręcz wyściełanej otomany, kupionej za gruby pieniądz, wkrótce okryta została jakimś szczególniejszym tłuszczem, a druga uczerniona *szuwaksem* i zwałana błotem, jak to mówią, do cna. Wyobraźnia doktora widziała niby w biały dzień na jednym z wałków cennego mebla wypomadowaną głowę panny Zośki, a na drugim oparte tejsze Zośki *kopyta* (wyobraźnia widziała mianowicie *kopyta* — nie nogi). Stolik świeżo „na moje sumienie” politurowany, kiedy go kupowano w sklepie, był wkrótce zbiorowiskiem okrągłych śladów (wymownie świadczących o tym, że jednakże samowar doktorski produkuje znakomity wrzątek). Z początku dr Tomasz usiłował wytworzyć stosunek pełen życzliwości, braterski. Nim upłynął miesiąc, już walczył, a w listopadzie był zwyciężony i wzięty do niewoli. Odtąd, jeżeli nawet zastał Zośkę wylegującą się na kanapie z *kopytami* obarczonymi błotem, jeżeli nawet spostrzegł

Bieda, Córka, Kobieta,  
Matka

<sup>83</sup>*ineksprymable* — kalesony [przypis edytorski]



Walentową złopiącą herbatę z arakiem przy stole obficie zastawionym jego wiktuałami, stosował jedynie możliwą aczkolwiek mało skuteczną metodę włoską: *guarda e passa*<sup>84</sup>. Nie było innej rady... Zamykał się w swym „gabiniecie”, a resztę mieszkania oddawał *in direptionem*<sup>85</sup>...

W godzinach przyjęcia doktor Tomasz nie ośmielał się czytać książek. Siedział za swym stolikiem wyprostowany i czekał. Tak było we wrześniu, w październiku... Z czasem pozwolił sobie na czytanie gazet w pozie już to siedzącej, już leżącej. Przy końcu grudnia tegoż roku czytanie gazet odkładał w ciągu doby na godziny przyjęć, a po Nowym Roku zaczął znosić do gabinetu na te właśnie godziny rozległe utwory Zoli, Jokaja, Dumasa, Lama. W sieni zawsze o tej porze siedziała Walentowa na wyścielonym krzeselku, z nogami okręconymi jakimś grubym wołokiem. Z początku tak zwanej wizyty baba kaszlała, stękała, wzdychała na świadectwo czuwania — w środku stopniowo zacihała, a wkrótce potem dawało się słyszeć tęgie chrapanie. Bywały dni takie, że w ciągu drugiej części programu rozlegał się rumor i łoskot. Walentowa w trakcie drzemki zlatywała z chwiejnego krzesła. Po każdym takim wypadku doktor musiał jej dawać kopiejki na arak, gdyż przysięgała na wszelkie świętości, że to słabość z głodu i czczości tak nią rzuca o ziemię. Kilkakrotnie wzywano młodego eskulapa do mieszkańców domu w raptownych wypadkach zasłabnięć, przeważnie poniedziałkowej natury. Raz w jesieni przyszedł stary intrologator z sąsiedniej kamienicy, zadzwonił, zbudził Walentową i narobił istnego piekła. Judym badał go, stukał, pukał, wyginał, kładł na sofie, gniótł, oglądał ze wszystkich stron i wypuścił, rozumie się, bez pobrania honorarium. Po tym zdarzeniu nastąpiła cisza trwająca dobre dwa miesiące.

Pewnego dnia w marcu, znowu w godzinie przyjęć, dał się słyszeć cichy głos dzwonka. Walentowa otwarła drzwi i wpuściła małą, chudą damę w czerni, o twarzy wywiędłej, suchej i mizernej.

Przybyła spytała o doktora Judyma i powziąwszy wiadomość, że jest u siebie, weszła do gabinetu.

„Pacjentka, jak mi Bóg miły!...” — jął myśleć doktor Tomasz i doznał ciepłego uczucia na samą myśl o pierwszym rublu zapracowanym we własnym apartamencie.

Dama wśród ukłonów obustronnych zajęła miejsce i rozejrzała się po umeblowaniu.

— Pani dobrodziejka jest cierpiąca? — zapytał doktor.

— O, tak, panie konsyliarzu... Od lat, od całego szeregu lat...

— I jakież to cierpienie?

— Gdybyż to jedno! Cały szereg chorób, które inną osobę, mniej wytrzymałą, dawno by wpędziły do grobu.

— Ale główna, zasadnicza?

— Czy ja wiem, panie konsyliarzu. Zapewne wątroba...

— Wątroba... Otóż...

— Bo to jakaś duszność, bezsenność, kaszel, bóle...

— Więc są bóle? I to w tej okolicy?

— Ach, jakie bóle! Język ludzki wyrazić tego nie jest w stanie!

— Bóle... rozdzierające, uczucie rozdzierania, nieprawdaż?

— Tak, bywa i to. Nieraz budzę się rano, to jest, podnoszę się rano przepędziwszy noc bezsenną i jestem tak upadająca...

— Proszę pani, apetyt?

— Ale któż by na to wszystko zwracał uwagę, panie konsyliarzu, któż by przykładał swoje cierpienia do tego, co znosi nieszczęśliwa ludzkość.

„Patrzajcież... — myślał Judym — a to co znowu?”

— Zapewne pan konsyliarz słyszał... — zaczęła dama poprawiając się na krześle i przyciskając do piersi swoją torebkę — o naszym stowarzyszeniu, którego celem jest nawracanie dziewcząt, pojmuje pan konsyliarz, złego prowadzenia się.

Tu dama spuściła oczy i zaczęła patrzeć w kąt gabinetu.

— Nic a nic nie słyszałem... — rzekł Judym.

— Otóż... celem naszego stowarzyszenia jest — po pierwsze...

<sup>84</sup>*guarda e passa* (wł.) — spojrz i idź dalej (cytat z *Boskiej Komedii* Dantego). [przypis redakcyjny]

<sup>85</sup>*in direptionem* (łac.) — na rozgrabienie. [przypis redakcyjny]

I jazda! Minęło pół godziny, trzy kwadransy, godzina... Dama bez przerwy mówiła o celach stowarzyszenia. Na początku drugiej godziny zaczęła mówić o środkach, a właściwie o braku środków.

Gdy upłynęło mniej więcej sześć kwadransów od chwili zaczęcia tej dyskusji, nastąpiła wreszcie prośba o wsparcie zasiłkiem stowarzyszenia, które itd.

Doktor bez wahania wyjął rubla papierowego, położył go na stole i rozprostował palcami. Dama niezwłocznie wzięła datek, zapisała coś w karneciku i znowu wśród słów biblijnych, ukłonów, uśmiechów i dziękczynień wionęła za drzwi.

Walentowa po wyjściu kwestarki dostała wściekłego kaszlu. Doktorowi, gdy stał na środku gabinetu i świstał przez zęby, wydało się, że *grzmot*, który, rozumie się, podpastrywał przez dziurkę od klucza, pęka ze śmiechu, że się dusi i parska...

Takie były w krótkim zarysie dzieje początkowe kariery doktora Judyma. Resztki funduszu zostawionego przez ciotkę wyczerpały się, kredyt u sklepikarzy był poderwany, a przyszłość nadchodziła mglista. Od chwili wypowiedzenia niefortunnej lekcji o pauperyzmie w salonach doktora Czernisza Judymowi było w świecie lekarskim nijako. Nie mógł się skarżyć na to (nie miał prawa), żeby ktokolwiek odsunął się od niego czy świadomie stronił, ale czuł dokoła siebie próżnię i wyzięble miejsce. Starsi i młodszy koledzy witali go, jak dawniej, uprzejmie; byli tacy, co może nawet niżej kłaniali mu się kapeluszanami, ale w powietrzu drgała rada: bierz manatki, filozofie, i ruszaj w świat, bo tu nic nie wysiedzisz...

Doktor Tomasz rozumiał to sam znakomicie, że w organizmie żywym uczepił się jak obce ciało, które tamuje krążenie krwi pulsującej. Gdyby się był zbliżył do ludzi wybitnych, zasięgnął ich wskazówek, odwiedzał ich jako gość i domownik, stałby się wkrótce jednym z trybów tej maszynierii i zyskał klientelę. Rozumiał to wszystko bardzo pięknie, wiedział, jak by być mogło, co by należało zrobić, ale dzikie myśli i uparte trzymanie się tego, co one już spłodziły, powstrzymywały go od zmiany trybu postępowania.

Zdecydował się iść drogą, którą sobie był obrał, no i szedł, rzecz prosta, w niezupełnie całych butach.

W tym czasie (przy końcu marca) wczesnym rankiem przybiegła Wiktorowa z wiadomością o mężu. Rozповідаła, jak co było, głosem z płaczu oślizgłym blisko godzinę, a później, wymieniwszy wszelkie szczegóły skrupulatnie, zabrała się i odeszła do swej fabryki.

Doktor długo siedział w mieszkaniu, pełen myśli iście marcowych. Wszystko szło dziwnie źle, opacznie, piętrzyło się, jak zator kry na rzece, tamując bieg życia. Rozmyślał o tym, że musi obecnie pomagać bratowej, utrzymywać i ją, i całą rodzinę w zastępstwie Wiktora, gdyż zostawić ten obowiązek wyjątkowo na barkach biednej kobiety nie było możliwości. Tymczasem finanse były w stanie oplakany. Pełen gorzkich myśli udał się Judym do swego szpitala. Wyszedł stamtąd wcześniej niż zwykle, czuł bowiem w sobie jakąś niemoc wewnętrzną przeszkadzającą mu w pracy. Ze wstrętem powlókł się do mieszkania Wiktora. Zastał tam tylko ciotkę, która coś pod oknem ścibała, i dzieci dokazujące w sąsiedniej izbie. Ciotka miała oczy przekrwione od płaczu, usta zacięte, nos jeszcze bardziej ostry. Przywitała go wzrokiem pełnym niechęci, prawie odrazy. Zawsze na niego krzywo patrzyła jako na pupila i spadkobiercę siostry swej, którą przed laty okropnymi słowami wykleła... Teraz, widać, zawziętość wzmogła się i dosięgła ostatniej granicy.

Judym nie zwracał na starą uwagi. Usiadł w kącie i sennym okiem przypatrywał się izbom dotąd nie uporządkowanym. Widok zdziczałych dzieci nasunął mu myśl, żeby teraz, kiedy nic lepszego nie ma do roboty, zająć się edukacją tych siostrzeńców. Wziął na spytki chłopca i przekonał się, że urwis czyta jako tako, choć z ciężkim stękanieniem, ale poza tym ani be, ani me. Owa sztuka czytania było to dzieło ciotki, która teraz spod oka patrzyła na praktyki Judymowe. Karola zaledwie umiała rozróżnić litery.

Był prawie zmrok, kiedy doktor stamtąd wyszedł. Brnął z nastawionym kołnierzem, ze wzrokiem upadłym, pełen wewnętrznej nudy i lenistwa. Odruchowo, nie widząc ani ludzi, ani ulic, żeglował w stronę cukierni, gdzie czasami czytywał dzienniki. Na rogu, szybko skręcając w dzielnicę ludniejszą, zetknął się z doktorem Chmielnickim.

— O, cóż to kolega tak siarczyście maszeruje? — zawołał grubas — o małościę mię nie uszkodzili...

— Ja? Ale gdzież tam — idę...

Lekarz

Rodzina

— Widzę, widzę — do chorego.  
— Akurat! — parsknął Judym na całe gardło.  
— Nie do chorego? — spytała chluba miasta Chmielnika z odrobiną ironii w głosie.  
— Nie mam wcale chorych! — rzekł Judym i wyciągnął rękę na pożegnanie.  
— Zaraz, czekajcie chwileczkę! Jeżeli wam do zdechlaków nie pilno, to dlaczegoż nie uciąć gawędki?

— Kiedy zimno. Chodź kolega na kawę, to będziesz gadał, a ja posłucham.

— Dobra! Idę na świeżego „Kuriera”, akurat mam odrobinę czasu.

Poszli ulicą i wkrótce zasiedli przy marmurowym stoliku w pięknej cukierni. Dr Chmielnicki wyładowywał ze siebie półgłosem rozmaite świeże *kawały*, z wielkim obiektywizmem wciągając do tej serii *kawały*, gdzie jego rodacy prezentowali się nieszczególnie. Judym śmiał się z anegdot, ale tym uśmiechem warg, w którym oczy nie biorą żadnego udziału i który zbyt przeczulona subtelność narratora mogłaby pochytywać za impertynencję. W trakcie jednej ze szczególnie jakoby paradnych historyjek „Czerkies” znieścacka zapytał:

— Ale, ale, może byście wyjechali na prowincję?

— Czego? — krzyknął dr Tomasz.

— Nic, nic! Ja tu mam misję wyszukania asystenta dla mojego kolegi Węglichowskiego, który jest dyrektorem zakładu w Cisach. Jeśli wy nie chcecie, to trzeba będzie szukać kogoś innego. Na śmierć zapomniałem...

— No, to ja nie pojedę na prowincję.

— To nie jest jakaś ordynarna prowincja, jakieś Kurozwęki (choć to stamtąd niedaleko) ani tym podobny Łagów. Uchowaj Boże!

— Nie jadę do Kurozwęk ani nawet do Łagowa.

— Ach! Czy ja was biorę za kołnierza i ciągnę do Łagowa? Mówię tylko, *relata refero*<sup>86</sup>. Niezwłocznie obraza! Rozumie się, że wy nie możecie tam jechać. Jak to? Być w Paryżu u Lucasa Championiera<sup>87</sup> i potem jechać do Cisów. To przecie *nonzens*.

— Spodziewam się, że to nie tylko „nonzens”, ale nadto nonsens.

— Bez wątpienia. No, ale nie idzie za tym, żebyśmy nie mieli deliberować nad kwestią obsadzenia asystentury u tego kochanego „Węglicha”.

— Co to znaczy słowo „Węglicz”?

— Węglichowski jest moim kolegą z Dorpatu. Mieszkaliśmy razem. Tęgi lekarz... mógłby z niego być, gdyby nie to, że ten człowiek zawsze wszystko brał lekko. Nie lubi czytać — ot, co jest. A od chwili znanego przewrotu w medycynie warszawskiej, kto nie czyta, kto nie pozuje na uczonego, ten musi szukać jakichś Cisów. Znasz kolega Cisy?

— Nie znam. Słyszałem o tym coś... To w Kieleckiem, zdaje się...

— Aj, „zdaje się”... Jak można takich rzeczy... „Cudze rzeczy znać dobrze, a swoje potrzeba”<sup>88</sup>

— Kolega mi aplikuje niniejszą sentencję w sensie admonicji<sup>89</sup> czy tylko jako wzór krajowego przysłowia?

— Doskonale, paradnie! Ale wracając do „Węglicza”...

— Ach, z tym „Węgliczem”...

— Ależ posłuchajcie! Wy tam młodzi znacie się między sobą, łatwiej możecie wskazać odpowiedniego człowieka. Miejsce wcale niezłe. Dają tam sześćset rubli...

— Fiu-fiu...

— Pyszny lokal i całkowite utrzymanie.

— A cóż trzeba robić?

— Zwyczajne rzeczy. Głupstwa. Latem zjeżdża się dosyć chorych, więc pospołu z innymi lekarzami trzeba się nimi zająć. Kąpiele, uważacie, wanny, natryski — o, takie rzeczy. Figle w gruncie rzeczy, a w okolicy praktyka jak sto tysięcy diabłów. To nie jest byle co. Może kto z waszych znajomych skusi się na te Cisy.

<sup>86</sup>*relata refero* (łac.) — zwrot przysłowiowy; powtarzam to, co mi powiedziano. [przypis redakcyjny]

<sup>87</sup>Just Lucas-Championiere (1843–1913) — znakomity chirurg francuski. [przypis redakcyjny]

<sup>88</sup>*Cudze rzeczy znać dobrze, a swoje potrzeba* — w *Przysłowiach mów potocznych* Andrzeja Maksymiliana Fredry (1621–1679) przysłowie to brzmi następująco: „Cudze wiedzieć rzeczy ciekawość jest, a swoje potrzeba”. [przypis redakcyjny]

<sup>89</sup>*admonicja* — napomnienie, nagana. [przypis redakcyjny]

Judym zamyślił się, kazał sobie podać jeszcze jedną filiżankę kawy, wypił ją duszkiem, odstawił i rzekł do Chmielnickiego:

- No, dobrze, ja mogę jechać na to miejsce.
- A co? Nie powiedziałem? Pyszna myśl!
- Gdzież jest ten doktor Węglichowski?
- Jest właśnie w Warszawie i jutro zgłosi się do was.
- No, to już może ja do niego?
- A dlaczego? Przyjdzie do was. O której godzinie?
- Między piątą a siódmą.
- Tam u was, na Długiej ?
- Na Długiej.
- Dobra!

Dr Chmielnicki zapisał sobie coś w notesiku patrząc do jego wnętrza lewym okiem jak przez lupę, złożył gazetę na sąsiednim stoliku, gdzie właśnie jakaś „piękna Iza” szczyrzyła zęby do wymokłego lowelasa, i podał Judymowi prawicę.

- A więc do jutra! Świetna myśl...
- Zobaczymy... — mruknął doktor Tomasz zwieszając głowę.

Gdy dr Chmielnicki zniknął, pogrążył się w rozmyślaniach:

„Tak, tak... Trzeba dokądś iść, to darmo. Wiktorowa się nie wyżywi, a i ja czyż długo bym potrwał z taką sumą pacjentów jak obecnie. Pojadę. Może nie na zawsze, może na rok, na dwa. Może gdy wrócę, będzie, do stu tysięcy diabłów, co innego”.

Za powrotem do domu, w nocy i następnego dnia bez przerwy myślał o wyjeździe. Żałował Warszawy całym sercem. Porzucenie jej było dla niego tym przykrzejsze, że sam był z urodzenia łykciem, mieszcuchem, znającym wieś z wycieczek letnich, z romansów, opowiadań ustnych, z rysunków. O tym, jak to się zimą mieszka wśród tych pól olbrzymich, po których zamieć tańczy, nie myślał nigdy. Teraz to wszystko snuło mu się przed oczyma i przynębiało.

Nazajutrz o godzinie piątej zasiadł w swym fotelu i spokojnie oczekiwał kataklizmów mających nastąpić. Minęły zaledwie dwa kwadranse, gdy dzwonek mocno szarpnięty zadrział jakby ze strachu i począł krzyczeć na starą o roztwieranie drzwi co rychlej. Wszedł do mieszkania i zapytał o Judyma pan niskiego wzrostu w zniszczonych bobrach. Gdy doktor Tomasz wybiegł na jego spotkanie, usłyszał oczekiwane nazwisko:

- Węglichowski.

Był to człowiek lat pięćdziesięciu kilku, niski, bodaj za mały, chudy, kościsty. Należał do rasy jędrnych, zdrowych, zwinnych staruszków, którzy prawie nie zmieniają się w ciągu piętnastu, dwudziestu lat od czasu, gdy posiwili. Twarz miał przyjemną, o rysach regularnych, ze skórą rumianą koloru wypieczonego chleba. Z natury krótka, kędzierzawa broda, bieluteńka jak mleko i także wąsy zdobyły ją harmonijnie i dopełniały mile barwę twarzy, nadając obliczu wyraz szczególnego wdzięku. Mimo woli witało się tę głowę myślą: „Jaki to przystojny, jaki ładny staruszek!” Włosy na jego skroniach, zupełnie tak samo białe jak broda, srebrzyły się dokoła łysiny. Nade wszystko uderzały oczy. Właśnie uderzały. Czarne jak tarki, błyskotliwe, mieniły się od postrzeżeń, znamionując rozum, a raczej spryt pierwszorzędnym. Dr Węglichowski ubrany był w skromne, czarne suknie, które na nim dziwnie dobrze leżały. Jego zwykły stojący kołnierzyk, czarny, niemodny krawat były w harmonijnej zgodzie z całą postacią, a jednocześnie wskazywały na dbałość o siebie daleką od elegancji, na czystość, które stało się przywarą, nałogiem, prawem.

Wszedłszy do gabinetu doktor Węglichowski zmierzył badawczym spojrzeniem (wcale nie ukradkiem ani przelotnie) wszystkie sprzęty, usiadł na podanym krześle z dala od stolika, strzepnął jakąś prószynkę z kłapy surduta, zmrużył powieki i wlepił w Judyma swe mądre oczy. Ten doznał bardzo nie milego uczucia przymusu, a raczej podwładności wobec tego człowieka, którego pierwszy raz w życiu widział i z którym był mocen rozejść się bez zwłoki. Poznanie wewnętrzne mówiło mu, że nie mógłby władać tym staruszkim za pomocą żadnej siły: ani za pomocą pieniędzy, ani za pomocą siły nauki. Jakby dla skasowania tej obserwacji twarz dra Węglichowskiego rozwidnił grzeczny uśmiech:

Miasto, Wieś

Starość

Władza

— Przyjaciół mój z czasów dorpaczkich, doktor Chmielnicki, mówił mi, że kolega zgodziłbyś się wyjechać z Warszawy w charakterze asystenta...

Słowa te brzmiały miękko i cicho.

— Tak, wspomniałem koledze Chmielnickiemu... — odrzekł Judym bez własnej woli i wiedzy tym samym tonem — chociaż zależałoby to od wielu okoliczności.

— Zależałoby od wielu okoliczności... Kochany panie... Czy znasz kolega Cisy?

— Nie, ani trochę, tak dalece, że wczoraj nie umiałem powiedzieć, gdzie, w jakiej guberni, w jakiej okolicy kraju leżą te Cisy.

Dyrektor Węglichowski milczał przez taką akurat chwilę, jaka mogła w sobie zawrzeć zdanie: Dziwi mię, że się tym chwalisz...

— Czemu chcesz wyjechać z Warszawy, kochany panie? — rzekł głośno.

— Dla bardzo prostej przyczyny: nie mam tu z czego żyć.

— Z czego żyć... — powtórzył doktor Węglichowski jak echo, takim głosem, jakby nie tylko racja wydała mu się zupełnie wystarczającą, ale nadto jakby położenie młodego lekarza bez praktyki uważał za całkiem wzorowe i z prawem zgodne.

— Zresztą — ciągnął doktor Tomasz niechętnie — są jeszcze inne powody. Nie chcę ich ukrywać przed panem. Miałem tu w jesieni roku zeszłego odczyt, który jest wyrazem moich stałych i niezmiennych przekonań, a który nie podobał się ogółowi lekarzy. Nie mam nadziei, żebym kiedykolwiek mógł tutaj stworzyć sobie możliwość jakiejś szerszej działalności.

Dyrektor nie spuszczał z Tomasza oka, gdy ten mówił frazesy powyższe. Oczy jego nie tylko przypatrywały się twarzy mówiącego, ale wywłóczyły zeń prawdę, jak magnes rusza i ciągnie z ich miejsc martwo leżące opilki żelaza. Po długiej chwili takiego indagowania wzrokiem dr Węglichowski rzekł:

— Wiem o tym. Opowiadano mi tę historyjkę ze wszelkimi szczegółami. Wiedziałem o niej, gdy się tu wybierał. Kochany pan byłeś w Paryżu?

— Byłem.

— Rok z górą?

— Tak jest.

— No i mówisz po francusku?

— Mówię.

— Płynnie, wykwindnie, po parysku?

— Czy tak znowu po parysku, tego twierdzić nie mogę. Mówię z zupełną swobodą.

— Z zupełną swobodą... Czy nigdy nie zdarzyło ci się widzieć za granicą urządzeń kąpielowych? Na przykład hydropatycznych<sup>90</sup> wanien?...

— Owszem, widziałem to w Paryżu, a szczególnie w Szwajcarii, w Albis, w Baden, na Righi i w innych miejscach. Jeździłem tam ze znajomym, pewnym inżynierem z górnictwa, który tułał się po takich zakładach. Wyciągnąłem go z ogródka systemu Kneippa<sup>91</sup> w Zurychu i woziłem z miejsca na miejsce. Znudziło mnie to prędko, więc zostawiłem go na pastwę kąpielowym w doskonałym Righi Kaltbad.

— Kaltbad... Doskonałym... Proszę kochanego pana, czy możesz mi określić, jakie jest twoje usposobienie: czy lubisz towarzystwo, tańczysz, bawisz się?

Judym musiał powtórzyć sobie w myśli to pytanie, ażeby przede wszystkim samemu sobie zdać sprawę, jakie właściwie jest jego usposobienie.

— Zdaje mi się... — rzekł ze śmiechem — że dosyć lubię towarzystwo, tylko nie bardzo umiem być człowiekiem milej zabawy, gdyż pochodzę...

— Kochany panie, wiem, skąd pochodzisz, i dlatego tu przyszedłem... — przerwał dyrektor głosem szorstkim i patrząc mu w oczy tak prosto, jakby w tym wzroku i brzmieniu mowy istotna prawda zamknięta była. — Lekarz, kochany panie, ma w herbie lancet. Zresztą, o czymże to mówimy! Czy znasz warunki utrzymania w Cisach?

— Nie znam.

— Otóż są takie: lokal, światło, opał, całkowite utrzymanie, usługa, konie itd. Pensji sześćset rubli rocznie. Prócz tego możesz czynić użytek z gabinetu i narzędzi do praktyki osobistej zimą, latem zaś urządzisz sobie ambulatorium w specjalnym budynku poza

<sup>90</sup>hydropatyczny — wodolecznicy. [przypis redakcyjny]

<sup>91</sup>ogródek systemu Kneippa — zakład leczniczy, w którym stosuje się system wodolecznictwa wprowadzony przez ks. Sebastiana Kneippa (1821–1897). [przypis redakcyjny]

Lekarz, Miasto

Pozycja społeczna

parkiem. Istnieje tam nadto mały szpitalik, także poza parkiem, w dominium pani Niewadzkiej. Bo nie wiem, czy wiesz, że egzystuje zakład Cisy i majątek tegoż nazwiska, własność pani Niewadzkiej.

— Pani Niewadzkiej? — zapytał Judym, oszołomiony mnóstwem tych wiadomości.

— Tak jest. Stara babina, bardzo uczynna, kochany panie, bardzo... Matrona...

— Czy ta pani nie podróżowała w roku zaprzyszłym, czy nie była we Francji?

— Była, a jakże, z wnuczkami.

— Z dwiema wnuczkami i nauczycielką?

— Tak, z panną Podborską. Skądże wiesz o tym, kochany panie?

— Ależ bo je spotkałem... Jeździłem z nimi do Wersalu.

Staremu dyrektorowi oczy się zaświeciły.

— Widzisz, kochany panie, to ładnie się składa. Nasza dziedziczka będzie zadowolona, gdy w nowym asystencie pozna towarzysza wycieczki. Co się tyczy lekarskiej strony Cisów, to ta przedstawia się jak następuje.

Tu dr Węglichowski rozwinął przed Judymem historię tej instytucji: pierwsze lata istnienia, rozkwit, później prawie zupełny upadek, bliskość ruiny całego przedsięwzięcia, zmiany różnych zarządów, a wreszcie swój w całej sprawie współudział. Na odchodnym wydobyl z bocznej kieszeni surduta sprawozdanie roczne na ozdobnym welinie, z widokami, mapą, tablicą i wręczył je Judymowi.

— To wszystko, co mogę powiedzieć na razie. Rozważ to, panie kochany, rozpatrz się. Kiedyż mógłbyś mi dać decyzję ostateczną?

— Dam ją, dam ją... jutro.

— Jutro o tej samej porze?

— Tak, ale to już ja zgłoszę się do szanownego kolegi.

— Proszę, proszę... W mieszkaniu Chmielnickiego. Więc o tej porze?

— O tej porze...

— Żegnam cię, kochany panie, i życzę: przynieś mi jutro zgodę.

Doktor Węglichowski wyciągnął rękę z życzliwym uśmiechem i przez chwilę zatrzymał w niej dłoń Judyma. Później prędko się oddalił.

Było ciemno. Judym nie kazał babie przynosić światła i po wyjściu dyrektora błędził zamyślony z kąta w kąt gabinetu. Już się zdecydował na wyjazd. Rozpoczynał jak gdyby nową stronę życia. Czasami błąkał się w jego myślach zgryźliwy frazes: „Filister zabiera się do robienia kariery, filister, filister” — lecz szybko ta gorzka nuta ginęła w cichej rozkoszy, jak tęsknota ściskająca piersi. W mroku napływającym do pokoju zdawały się być z nim uśmiechy dziewicze i śliczne twarze, już prawie zapomniane, uparcie wymykające się od schwycenia ich wyobraźnią, jakby między ciemnymi drzewami szły w przestworze. Ukazywały się i cofały w ciemny obłok. Tam jedna z nich w ramie bujnych czarnych włosów, twarz biała, tak biała, że zdaje się światło naokół rozlewać.

Oto druga — szczupła, delikatna. Chowa w sobie milczącą a szaloną namiętność, która porywa, która wypełnia duszę zapachem, rozkoszą i westchnieniami...

## SWAWOLNY DYZIO

Jednego z ostatnich dni kwietnia dr Judym ukończył wszelkie rachunki z miastem Warszawą, spakował manatki do walizy, którą bez żadnego zgoła wysiłku mógł nosić z miejsca na miejsce, wręczył honoraria i napiwki starej, Zośce, stróżowi — wsiadł do powozu i kazał się zawieźć na dworzec. Uregulowanie rachunków odbyło się na konto przyszłej pensji w Cisach. Dr Węglichowski nadesłał był Judymowi listownie rodzaj zaliczki w kwocie stu rubli i uprzejmie żądał przyjęcia jej celem spłaty długów i opędzenia kosztów podróży. Dr Tomasz burzył się w duchu na wydawanie pieniędzy, których jeszcze nie zarobił, ale koniec końców nie tylko zużytkował tę sumę, ale zużytkował tak gruntownie, że po opłaceniu biletu klasy drugiej w wagonie dążącym z Warszawy do ostatniej stacji kolejowej przed Cisami została mu w kieszeni trocha łupaków<sup>92</sup> miedzianych i dwie marki po siedem kopiejek każda. Gdy pociąg ruszył, Judym wsunął się do przedziału, gdzie służący ulokował jego walizę, i znalazł miejsce w rogu sofy. W *coupé*<sup>93</sup> siedziały już trzy osoby:

<sup>92</sup>łupaki — drobne monety. [przypis redakcyjny]

<sup>93</sup>coupé (franc.) — przedział w wagonie. [przypis redakcyjny]

jakiś wiekowy oficer i dwie panie. Osoby te miały dużą ilość kufrów, a zabierały się do drogi systematycznie: pan umieścił swą szablę i czapkę w rogu, panie rozstawiły obfity zbiór koszyków, skrzynek, pudeł, nesesorów itd. Gdy przebyto most, Pragę, resztki zabudowań, gdy nasunął się pierwszy las, brzozy jak senne marzenia wynurzające się z ciemnej głębinie sosen, pola z ich nikłą runią zbóż jasnych, dr Tomasz nie mógł od okna wzroku oderwać. W niebiosach, gdzie przecudny, dobrotliwy błękit zdawał się rozkwierać ostatnie swoje zasłony, płynęły wiotkie chmurki. Na ziemi wszystko tchnęło życiem, rozrostem i pięknem. Czasami odmykał się przestwór równiny dalekiej, to znowu zasłaniały go wsie, dwory i piękne, prawdziwie czcigodne sylwety kościołów.

Judym nasycił oczy tym krajobrazem, gdy wtem drzwi otworzyły się i nie tyle we-  
szła, ile wdarła się do przedziału dama wysoka i chuda prowadząc za rękę chłopczyka  
mniej więcej dziesięcioletniego. Dama była niepiękna i, jak się rzekło, chuda w sposób  
taki, że widzowi mimo woli przychodził do głowy akt dziękczynienia za to, że istnieją,  
chwała Bogu, szaty damskie i że uwalniają śmiertelnych od widoku dam tego rodza-  
ju — w negliżu. Nowo przybywająca miała spory nos, usta ściągnięte i oczy zmrużone.  
Konduktor i jeszcze jakiś funkcjonariusz wagonowy wrzucili za nią do przedziału kupy  
węzełków, skrzynek, wózków, drewnianych koni wielkości źrebęcia, parę walizek i pu-  
dełek kartonowych. Dama zostawiła to wszystko razem i każdą rzecz z osobna losowi  
naturalnemu. Zepchnęła tylko niektóre meble krępujące swobodę jej ruchów na nogi  
sąsiadom... Ukończywszy to zajęcie padła na sofę i wzięła się do oglądania towarzyszy  
drogi. Mały Dyzio stał pośród sprawunków nawalonych w przejściu między siedzeniami  
i, gwizdząc, również przyglądał się obecnym. W ręce trzymał brudny patyk ze sznurem  
uwiązany do niego w kształcie bata. Włosy tego chłopięcia były szare, a rosły jakoś na-  
przód, w kierunku widza. Cała postać, a szczególnie oczy, włosy i ręce przypominały rysia  
czy żbika. Ubranie było wytarte niepospolicie i świadczyło o jakichś piekielnych walkach  
z ziemią, wodą i smarowidłami. Pończochy wypchnięte na kolanach i przedziurawione  
odslaniały nogi okryte krwią i mnóstwem siniaków.

— Dyziu, usiądź... — rzekła matka głosem omdlewającym.

Mówiąc to patrzyła nie na swego potomka, lecz na Judyma, jakby do niego mianowicie  
zwracała się z tą serdeczną i troskliwą radą.

Dyzio zachował się tak, jakby słowo matki rzeczywiście skierowane było do kogo  
innego. Z żywą ciekawością pochylił się ku oficerowi siedzącemu w kącie przedziału i zaczął  
szczegółowo oglądać guziki munduru biorąc każdy z nich w palce zawałane różnymi  
substancjami. Wojskowy zgodził się bez protestu na tę badawczość młodocianej imaginacji  
i z niejakim uśmiechem czekał końca oględzin. Tymczasem Dyzio dostrzegł pałasz wiszący  
w kącie na haku i sięgnął śmiałą ręką po tę broń między głowy dwu pań. Wówczas oficer  
usunął go od siebie i towarzyszek delikatnie, z uprzejmością i w milczeniu.

— Dyziu, zachowaj się jak należy... — rzekła matka — bo pan oficer wyjmie pałasz  
i utnie ci głowę.

Żywy chłopczyk znowu nie wysłuchał słów matki z należytą uwagą. Zamierzył był  
właśnie dostać się do okna i ruszył w tym kierunku po nogach osób siedzących. Rozległ  
się krzyk dam i pana w mundurze, oskarżający Dyzia, że włazi na odciski. Dyzio z miną  
tryumfatora obojętnego na wszystko przedarł się, dokąd zamierzył. Rozkraczywszy nogi  
stanął na dwu siedzeniach i wychylił się za szybę ruchem tak lekceważącym wszelkie  
niebezpieczeństwo, że obecni w przedziale zobaczyli raptem odwrotną część jego ubrania  
zdartą, kto wie czy nie bardziej niż pończochy. Jedna z pań zwróciła się do stroskanej  
matki i rzekła:

— Proszę pani, synek może wylecieć za okno...

— Dyziu, na miłość boską, nie przechylaj się tak bardzo, bo ta pani mówi, że możesz  
wylecieć za okno!

Znowu żadnego skutku! Przez pewien czas wszyscy byli zaambarasowani tak wypiętą  
pozą chłopczyzny, ale krzyk trwogi buchnął z piersi wszystkich, kiedy malec nachylił się  
jeszcze bardziej, widocznie chcąc dostać rękoma tabliczki przymocowanej pod oknem. Dla  
zachowania równowagi stanął wtedy na jednej nodze, a druga w miarę ruchów tułowia  
wierzgała po przestworze około głów pań siedzących. Oficer zerwał się z miejsca, ujął  
kawalera za pasek i wciągnął do wagonu. Wtedy Dyzio sprezentował, co umie. Przede  
wszystkim wydarł się z rąk i rzucił znowu do okna. Gdy mu to po raz drugi zostało

Kobieta

Matka, Obyczaje, Syn

wzbronione, zaczął szarpać się, kopać nogami na wszystkie strony bez względu na to, czy razy jego obcasów trafiały w kufierki, czy w stopy z odciskami.

— Proszę pani — krzyknął oficer — co to jest! A to ślicznie wychowany chłopak! Może pani będzie łaskawa!...

— Dyziu, zaklinam cię na wszystkie świętości! — wołała zmęczona matka.

Ten nie uznawał się za zwyciężonego: oficera łokciami odepchnął, a w kierunku matki wywiesił język tak długi, że można go było za pieniądze pokazywać. Nie było rady. Zostawiono Dyzia w spokoju, ale i on się jakoś umitygował. Patrzył tylko ze szczególną niechęcią na oficera i słuwał przed siebie. Po pewnym czasie usiadł między matką i Judymem. Nogi wyciągnął aż na przeciwległą ławkę, ręce wpakował w kieszenie kurtki i wlepił w każdą osobę z kolei swe sowe oczy. Była to cisza pozorna, wkrótce bowiem zaczął atakować Judyma. Zaglądał mu w oczy, wpierał się w niego ramieniem, łokciem, kolanem, wreszcie wywłócił spod ławy swój bat, koniec biczyska wtłoczył w nogę doktora Tomasza i zaczął nim oburącz świdrować. Doktor odjął patyk i usunął rękę chłopca. Nie na wiele się to przydało, gdyż wkrótce zaczęła się ta sama historia. Matka Dyzia przyglądała się tej procedurze z kwaśną miną — a wreszcie wyseplenila:

— Proszę cię, nie rób tego... Po co to? Czy grzeczny chłopczyk bawi się w ten sposób, czy to ładnie? Już tyle razy mama cię prosiła, żebyś nie zaczepiał panów w wagonie. Robisz tym mamie ogromną przykrość... Chyba chcesz, żeby nas i z tego coupe pan konduktor wyrzucił jak z tamtego. Co? powiedz otwarcie...

Dyzió skierował na rodzicielkę przelotne spojrzenie i wziął się do nowej czynności. Na ławce leżał kapelusz Judyma. Chłopczyk chwycił go w ręce sposobem cyrkowym, zaczął kręcić, wyrzucać w górę i łapać na patyk.

— Ach, Dyziu, Dyziu... — jęczała dama. — Nie rób tego, bo ręczę ci, że ten pan rozniewia się i znowu zwymyśla mamę tak samo jak pan pułkownik. Chyba chcesz, żeby ten pan zwymyślał mamę. Powiedz otwarcie... Chyba chcesz...

— No, chcę, żeby mamę zwymyślał... — mruknął syn nielitościwy.

Nic tedy nie skutkowało. Dopiero znużenie wzięło górę nad żywością usposobienia. Usiadł na wolnym miejscu, ku powszechnemu zadowoleniu ziewnął raz i drugi... Wreszcie usnął. Judym z całą pieczołowitością umieścił jego kończyny na sofie, a sam wyniósł się z przedziału. Nie wrócił tam aż w Iwangrodzie<sup>94</sup>, kiedy trzeba było zabrać walizkę dla przeniesienia jej do innego wagonu. Ze szczerą satysfakcją myślał o tym, że się z Dyziem rozstaje.

Jakaż była jego złość, gdy ujrzał matkę ze swawolnym synem wstępujących do wagonu, gdzie siedział. Była tam salka drugiej klasy wspólna dla znacznej części pasażerów, toteż Dyzió używał co się zmieści.

Okolo godziny trzeciej po południu zbliżano się do stacji, na której Judym miał wysiąść, i dalszą drogę, to jest pięć mil, odbyć końmi. Wydobywszy się z wagonu i minawszy dworzec drugorzędnej stacyjki zastał duży, parokonnny powóz i furmana w błyszczącej liberii. Walizę przyniósł w ręku bardzo stary Żydek i umieścił ją na koźle. Doktor skoczył jeszcze do bufetu, żeby kupić papierosów. Gdy prędko biegł z powrotem, ujrzał Dyzię i jego matkę sadowiących się właśnie do jego powozu. Ręce mu opadły i dawno nie używane szewskie przekleństwo splamiło mu usta. Znużona matka Dyzia już wiedziała od woźnicy, że ma jechać z jakimś panem, już poznała walizkę i z bardzo ujmującym wyrazem twarzy czyniła zbliżającemu się miejsce obok siebie.

W pierwszej chwili Judym zasadniczo zdecydował się nie jechać za żadne skarby świata. Ale szereg prędkich zestawień i obliczeń funduszu wywołał w jego umyśle inną decyzję, a na oblicze wyraz szczęścia i słodyczy. Z tym piętnem na twarzy zbliżył się do damy i zawiązał rozmowę pełną wykwintnych ogólników. Wkrótce tobołki umieszczone zostały, gdzie się dało, Dyzió, z obawy, ażeby broń Boże nie spadł pod koła, wskutek usilnych próśb matki zasiadł na ławeczce w nogach i landara wwalila się w bagnistą uliczkę żydowskiej mieściny.

Dama ciągnęła dyskurs nieustannie, wtedy nawet, gdy powóz przechodził istne konwulsje w dołach, wybojach, bajorach i suchych grobelkach miejskich. Judyma mdłości ogarniały na samą myśl, że ta zabawka towarzyska trwać będzie na przestrzeni pięciu

<sup>94</sup>Iwangród — nazwa nadana Dęblinowi w okresie zaborów. [przypis redakcyjny]



mil, ze wzmianek bowiem matki Dyzia okazywało się, że jadą do Cisów. Ale wkrótce za miastem doznał pociechy, gdy mu prosto w twarz wionął oddech wilgotny, lecący z niedocieczonego przestworza, z pól, z lasów. Role po długich deszczach rozmiękle, porznięte brunatnymi smugami bruzd mokrych, już tu i ówdzie jaśniały szarozółtą barwą wysychając w miejscach wzniesionych. Nad nimi kurzył się lekki, siwy opar. Niwki ozimin snuły się wzdłuż i w poprzek cudną barwą swoją, która w oddali mieniła się rozmaicie, to zielono, to niebieskawo, jak kolor piórek na szyi pawia. Wysoko stały białe obłoki jakby zaspy śniegów spiętrzonych, pomalowane ślicznymi cieniami. W głębi ich skrzydeł rozlegał się istny chór skowronków. Nad jasną runią pastwisk magwały się czajki, co chwila wydając okrzyk swój wesoły.

Konie rwały ostrego kłusa i spod kół zaczęły się rozlatywać bryzgi tężejącego błota. Wiatr przeszkadzał mówieniu, toteż „konwersacja” stawała się cokolwiek mniej dokuczliwą. Judym tonął oczyma w nowym pejzażu. Był on dla niego nowym prawdziwie. Wsi, a raczej ziemi, gleby, przestworu w tej porze roku doktor nigdy jeszcze nie widział. Budził się w nim święty instynkt pracźlowieczy, mglista namiętność do roli, do siewu i pielęgnowania zboża. Uczucia jego rozproszyły się i błąkały w tych szerokich widokach. Tam pod lasem, który dopiero zaczęły barwić liście, wśród wzgórze otoczonego drzewami leży miejsce na dom. Olchy i sokory jeszcze są czarne. Tylko wysmukła, strzelista brzoza okryła się już cienką mgłą liści tak szczelnie, że nagie pręty już się ukryły. Dokoła pniów uśmiechają się bładniebieskie przylaszczki. Obok lasu ciągnie się wąska dolina, a środkiem niej przepływa strumień. Jakiś człowiek idzie po zboczach górki, schyla się, coś tam robi, nad czymś pracuje, coś sadzi czy sieje...

„Szczęść ci Boże, człowieku... Niech się stokrotnie urodzi twe ziarno...” — myśli Judym i zatapia oczy w tym miejscu, jakby było domem jego rodzinnym. Ale oto staje mu w oczach inny dom: suterena, wilgotny grób, pełen śmierdzącej pary. Ojciec wiecznie pijany, matka wiecznie chora. Zepsucie, nędza i śmierć... Co oni tam robili, czemuż mieszkali w jamie podziemnej, umyślnie zbudowanej na to, żeby hodować w ciele choroby, a w sercu nienawiść do świata?...

I znowu pieści się z oczyma to wzgórze uśmiechnięte do słońca...

Powóz mijał wioski, karczmy, lasy, rozdroża i mknął gościńcem błotnistym. Słupy wiorstowe dość często nasuwały się przed oczy i upalono już ze dwie mile drogi, kiedy Dyzio dał znak życia. Do tej chwili pogrążony był w pewien rodzaj somnambulizmu<sup>95</sup>. Siedział zmartwiał jak bryła soli, wylupionymi oczyma wodząc po rowach. Właśnie Judym tłumaczył matce coś interesującego, gdy uczuł, że go malec zaczyna lechtać po łydkach. W pierwszej chwili sądził, że mu się zdaje, ale wkrótce, rzuciwszy okiem, zobaczył na obliczu łobuza znamię chytrkości i wywieszony język, którym ten pomagał sobie niejako w procedurze lechtania. Dyzio wsuwał rękę między nogawicę spodni Judyma i cholewkę jego kamaszka, odchyłał skarpetkę i wodził po gołej skórze długą, ostrą słomą. Judym nie zwracał na to uwagi, w nadziei że mania psotnicza ominie małego towarzysza drogi. Stało się przeciwnie. Dyzio wynalazł pod siedzeniem jakiś zabłąkany długi, ostry badyl i tym sięgał aż do kolana. I to mu nie wystarczyło: wyskubywał nitki ze skarpetek, usiłował zdjąć kamasz, zawijał ineksprymable, dopóki się dało itd. Poczęło to wreszcie doktora drażnić. Odsunął szorstkim ruchem rękę łobuza raz, drugi, trzeci. Wszystko na nic. Język, wywieszony na bok, coraz bardziej wskazywał, że gotują się nowe eksperymenty. I rzeczywiście: Dyzio zaczął zbierać dłonią duże i lepkie bryzgi błota, które osiadały na wachlarzu powozowym, lepił z nich wielką pigułę i pakował na gołe ciało za cholewkę doktorskiego kamaszka. Judym wyrzucił pierwszą taką bryłę. Gdy malec ulepił drugą i wpakował ją znowu, odepchnął go mocniej, a gdy wreszcie po raz trzeci przygotowywał się do tejsze czynności, rzekł do niego:

— Słuchaj, jeżeli się zaraz nie usatkujejesz, to ci zerznę skórę.

Chłopak uśmiechnął się zjadliwie, zebrał ręką nową garść błota i rozpostarł je na obnażonej nodze. Wtedy Judym kazał furmanowi stanąć. Skoro tylko powóz się wstrzymał, otworzył drzwiczki, jednym zamachem skoczył na ziemię i wyciągnął ze sobą Dyzia. Tam ujął go za kark lewą ręką, przechylił w sposób właściwy na kolanie i wysypał mu prawą

<sup>95</sup>somnambulizm — przypadłość chorobowa: poruszanie się i wykonywanie czynności w głębokim uśpieniu, stan ten nie pozostawia po przebudzeniu śladów w świadomości. [przypis redakcyjny]

około trzydziestu klapsów spod ciemnej gwiazdy. W trakcie tej operacji słyszał rozdzierający krzyk damy, czuł szarpanie za rękawy, nawet drapanie paznokciami, ale nie zwracał uwagi. Matka nieszczęsnego skazańca zerwała Judymowi kapelusz z głowy, rzuciła go w pole i wrzeszczała jak obłąkana. Gdy doktora dłoń zabolęła od razów, wrzucił chłopaka na siedzenie powozu, wyciągnął swoją walizkę, wziął ją w rękę i kazał jechać.

— Proszę pana doktora, jakże to jechać? — rzekł furman — jakże jechać? Niechże pan doktor wsiada.

— Nie wsiadę! Jedź do Cisów z tą panią. Ja idę piechotą...

Furman zafrasował się i zmartwił. Patrzył to na Judyma, to na damę.

— Jedź, kpie, kiedy ci mówię! — krzyknął doktor w pasji.

Woźnica wahał się jeszcze i mruzczał:

— Pan administrator kazał mi jechać po nowego doktora. Jakże tu?... Ładnie to tak, żeby... Ij... u Boga Ojca...

Ruszył ramionami i stanął.

— Jedź, do licha!

— To choć niech pan doktor wsiądzie na kozieł!

— Nie wsiadę! Słyszalesz?

— Słyszałem. Ale żeby na mnie nie było.

Splunął na bok, podciął z lekka konie i ruszył noga za nogą. Jeszcze obejrzał się i zobaczył Judyma idącego z walizą w rękę brzegiem drogi. Wtedy ruszył prędzej i powóz oddalać się zaczął.

Doktor maszerował z ciężarem swoim sapiąc potężnie i klnąc na czym świat stoi. Otwierała mu się przed oczyma najgłupsza pod słońcem sytuacja, ale nie chciał się już cofnąć. Nie był w stanie przywołać furmana i zmienić tonu oświadczenia. Jak na złość nigdzie nie było widać ani wsi, ani ludzi. Gdzieś daleko zza pochyłego garbu wzgórze, z jakiegoś widocznie rozdołu, wznosiły się nikłe, śniade słupy dymów. Doktor szedł w tamtą stronę suchą miedzą wśród pól rozoranych. Rzeczywiście ujrzał z wyniosłości dużą wieś w nizinie. Było do niej jeszcze daleko, ale marzenie o wynajęciu furmanki skracało drogę. Stanął wreszcie u progu pierwszej chaty zmęczony, literalnie w pocie czoła. Mokra i przepadająca rola, w której brnął, ostre powietrze i znużenie wprawiały go we wściekłość. Szedł od chaty do chaty pytając się o konie. Tu nie było ich wcale, tam nie chciano wynająć, gdzie indziej przypatrywano mu się ze śmiechem.

Wreszcie trafił się pewien młody gospodarz, który od razu zgodził się jechać. Zaprzągnął do wasąga parę małych bułanków i bocznymi drogami, przez dziury i wertepy pomknął jak strzała. Dobry humor wrócił, a nawet wstąpiła w eskulapa swada burszowska. Trafił się na rozstajnych, błotnistych szlakach sklep z trunkiem. Woźnica tam utknął, zaczął koniom podwiązywać ogony, majstrować koło wozu, wchodzić do izby, wychodzić stamtąd ociężałe... Judym zrozumiał, że jego towarzysz ma chęć wypić kieliszek „Leopolda”, Zawołał tedy:

— Gospodarzu, weźcie sobie flaszeczkę gorzałki.

— Jakże, proszę wielmożnego pana, wziąć, małą czy dużą? — spytał tamten bez namysłu.

Judym zawahał się. Jakże było powiedzieć, że małą.

— Juści z tych większych.

W chwili gdy to mówił, przypomniał sobie stan kasy i przeraził się, czy aby ma dosyć pieniędzy...

Na szczęście wystarczyło jeszcze kopiejek, ale zostało ich kilka zaledwie w kieszeni. Chłop wyjął korek piorunem i zmusił Judyma do *zapróbowania*. Kiedy ten obrzęd został spełniony, sam wziął się do flaszki. Wypił z połowę, resztę schował do kieszeni i włożył na siedzenie. Teraz zaczęła się prawdziwa jazda! Małe, zwinne konięta rwały jak sarny, wóz wpadał w wyrwy pełne „bajecznego” błota, rozwalal kałuże stojące między opłotkami i leciał w siarczystych bryzgach. Ziemia w tej okolicy była mocno gliniasta, toteż drogi były śliskie. Wóz na pochyłościach zataczał się jak na lodzie i tylko szybkość jazdy wstrzymywała go od wywrotu. Z każdej górki chłop popędzał konie i leciał na łeb na szyję wprost do jamy głębokiej a kisnącej zwykle w takim „dolku”. Orczyki były szkapiny po nogach i zmuszały do wściegłego galopu. Z jednej drogi woźnica zawracał w inną, leciał drózkami wąskimi jak miedze, nieraz do szerszych szlaków jechał w poprzek pola. Judym

Chłop, Pijaństwo, Podróż

nabrał przekonania, że nie dąży w kierunku Cisów. Ale było mu najzupełniej wszystko jedno. Ta wariacka wyprawa była dlań źródłem prawdziwej satysfakcji. Wiatr świszczał koło uszu, błoto pierzchało w nos, w oczy, trafiało do ust i kupami leżało na ubraniu.

Gdy tak przejechali z półtóry mili drogi, chłop zaczął śpiewać. Po każdej śpiewce, zwykle nie nadającej się do druku, wysączał z butelki potężny łyk i zacinał konie. Mijali jakieś wsie, objeżdżali lasy, pędzili przez pastwiska.

— Daleko do Cisów? — spytał doktor. Furman zwrócił na niego białe oczy i coś wybełkotał. Zarazem wrzasnął ochryplym głosem i z szerszego nieco gościńca skręcił co pary w szkapach na boczną drogę. Miejsce było pochyłe i wóz szedł na ukos. W pędzie szturchnął się o przykopę. Judym nagle uczuł, że leci w przestrzeń, i padł głową w miękki zagon. Leżał tam bez ruchu nie mając siły poruszyć ani rączką, ani nóżką. Widział obłoki, głębię firmamentu i gdzieś daleko smugę lasu. Dźwignął się wreszcie, usiadł i zaczął się trząść ze śmiechu. Był cały okryty gliną, gdyż rozwalił po drodze ze trzy zagony. W sąsiedztwie leżał chłop wśród błota, przysypyany słomą siedzeń, i martwym wzrokiem patrzył na wóz wywrócony do góry nogami. Konie zeszyły w rów i z apetytem szczypały młodą trawkę. Od czasu do czasu spoglądały obojętnymi oczyma na gospodarza, jakby mu miały zamiar wyrazić zdanie:

„Widzisz, osłe, coś tu narobił!”

Po długiej bezwładności woźnica ruszył się wreszcie i wziął do dźwigania wasągu. Okazało się wtedy, że wóz ma złamaną rozworę. Gdy go postawiono na koła, wyglądał jak człowiek z przetrąconym kręgosłupem. Chłop krzątając się koło odrobienia złego miał ruchy coraz bardziej mdlejące, a koniec końców wgramolił się na wóz i runął do jego wnętrza z jakimś śpiewnym bełkotem. Judym był w położeniu rozpaczyliwym. Nogi jego aż do kolan tonęły w rzadkiej glinie, palto, kapelusz, twarz, ręce okryte były urodzajną, wymierzwną glebą. Zgnieciona walizka dzieliła losy jej właściciela. Nie było rady...

Zostawił lekkomyślnego woźnicę wraz z końmi i wasągiem na drodze, a sam wziął walizę i ruszył przed siebie. Zbliżał się wieczór. W odległości kilku wiorst widać było wieże kościelne i jaskrawe dachy miasteczka. W tę stronę ciągnął eskulap pogwizdując i co chwila parszcząc śmiechem. Upalił już tym trybem ze dwie wiorsty drogi, gdy nagle usłyszał za sobą tętent kilku koni. Z szerokiej alei przecinającej gościńiec wypadły dwie amazonki, a obok nich dwaj jeźdźcy, i ostrym klusem pędząc zrównały się z Judymem. Konie ich były zmydlone, zbryzgane błotem i buchały parą. Pierwsza z amazonek jechała w szeregu z młodym człowiekiem, który siedział na ślicznym, gniadym koniu. Był pochylony na siodle w stronę swej damy i coś żywo mówił. Zaledwie obydwoje zwrócili swe twarze w stronę wędrowca... Ale dość było dla Judyma tego momentu, żeby poznać pannę Natalię. Ona raz jeszcze odwróciła głowę, ale tylko na sekundę, na jedną sekundę. Widziała go niewątpliwie, uśmiechnęła się, ale wnet skierowała oczy gdzie indziej, jakby nie miała chwili czasu do stracenia, jakby nie miała prawa zajmować się nawet rzeczą tak śmieszną, jak Judym w tej chwili.

On stał zmaltretowany. Słyszał szatański, parszczący śmiech panny Wandy, która w drugim rzędzie z jakimś starszym towarzyszem jechała galopem, ale nie zwrócił na to uwagi. Wszystkłą pochłoneła tamta, przechylona w siodle ku lewej stronie, z mocą i wdziękiem jak w krześle osadzona, podająca się wraz ze skokiem rumaka, cudowna w każdym ruchu...

Stał tak długo w miejscu zgłupiał, śmieszny dla samego siebie i nieszczęśliwy nad wszelki wyraz. W rowie bełkotała woda zbrudzona ilem, jakby i ona śmiała się do rozpuku.

Jeszcze za dnia doktor był w miasteczku i wnet otoczony został przez chmary Żydków, dziadów, włóczęgów, którzy go witali chichotem.

— Co to za miasto? — spytał pierwszego z brzegu.

— Miasto? Dlaczego miasto?

— No?

— To miasto nazywa się Cisy.

— Dobrze! — krzyknął Judym z radością. — *Szajgęc*, weź ten kuferek i nieś go za mną do zakładu. Wiesz, gdzie zakład?

— Jak ja nie mam wiedzieć, gdzie zakład? Pan *dobrodźy* z daleka? Pan *dobrodźy* sze cokolwiek *zabłoczul*...

— To nie twoja rzecz, krajowy cudzoziemcze! Nieś to do zakładu.

Żyd

Długie, starodrzewne aleje, zniżające się ku wielkiemu parkowi, otwały się przed oczyma doktora. Tragarz objaśniał go, gdzie jest zakład, gdzie kursal<sup>96</sup>, gdzie zamek, gdzie pałac „hrabiny”, gdzie czyja willa. W alejach i w parku było pusto, toteż nikt nie spostrzegł przybycia doktora odzianego w gliniany kostium.

W dużym przedsiönku zakładowym Żydziak wynalazł człowieka mianującego się portierem, który z rozdziawioną gębą i niedowierzaniem odprowadził przybysza do pokojów „młodego doktora”. Judym jął co tchu zrzucić z siebie mokre obuwie i ubranie, myć się i przebierać w suchy, czarny kostium. Wkrótce był gotów. Za chwilę miał wyjść, chciał bowiem przedstawić się swoim nowym zwierzchnikom. Czekał tylko na paltot, który portier zabrał do czyszczenia. Skorzystał z tej chwili, żeby przypatrzeć się mieszkaniu. Składało się z dwu pokojów, a raczej z dwu salonów. Za oknami, przy których stał, o jakie pół łokcia wyniesionymi nad poziom, ciągnęła się na prost nich wąska aleja młodych drzew, przeważnie grabowych. Jedne z nich były już tęgimi pniami, kiedy inne trwały jeszcze w okresie pacholęstwa. Gałęzie ostatnich były poobcinane i wyglądały jak urwisy w szkole, ze łbami ostrzyżonymi przy samej skórce. Równoległe z tą aleją ciągnął się duży, kilkułokciowy, stary i gruby mur, nakryty mocnym daszkiem z cegieł. Oblekła go już pleśń, zielona wilgoć powyżerała od ziemi. Teraz z wiosną i na nim puszczał się młody, aksamitny porost. Między szeregami drzew szła w odległą dal parku wąska, wygracowana dróżka. Środkiem była już sucha, ale w zagłębieniach jej grzbiet ograniczających nęciły oko ciemnosiwie pasy wilgoci. Młode listki grabowe, które dopiero co na świat się urodziły, zmarszczone i tak delikatne, jakby się kurczyły nawet od pocałunków promieni słonecznych i od westchnień pachnącego wiatru, zdawały się badać za pomocą delikatnych cieniów swoich żółty piasek, ciemną, pulchną ziemię i mdłe trawki wybijające się z gruntu. Były tak cudne i tak wesołe jak oczy dziecięce. Gruby mur, za którym już się kryło słońce, rzucał na alejkę i jej śliczne tajemnice cień czarny niby drzwi więzienia. Tylko w samym końcu parku, gdzie się mur zwracał pod kątem prostym i przecinał odległy wylot alei, jeszcze chropawa powierzchnia miała na sobie świetlistą suknię. Zdawało się, że ciężka ściana ma w tamtym miejscu jakby swoje oblicze pełne zadumy, że w głąb rozkwitającego parku spogląda niewidzialnymi oczami i że powszechny, radosny uśmiech stamtąd wypływa. Bliżej okien, za murem, rosły dwie kolosalne topole. Pnie ich sękaty wydzierają się z głębi wiotkiej tkaniny młodocianego zadrzewienia jak torsy okute w koczugę kryjącą mięśnie tak silne i nie dające się przebić, jak ona. Skądś z wysoka, nie wiadomo z którego drzewa, leciały na ścieżkę złotoróżowe łuski pęków...

Drzewo, Rośliny

Drzewo, Rośliny

Kondycja ludzka, Natura,  
Pozycja społeczna, Praca

Judym stał przy otwartym oknie. Czuł w sobie zjednoczenie z tym, na co spoglądał. Przez jego ciało zdawała się płynąć siła natury stwarzająca rozrost drzew i wykwitanie liści. Judym uczył w sobie tę siłę i uczył władzę spożytkowania jej w wielkiej pracy. Nadzieja trudów, które przewidywał w tym miejscu, poila go rozkoszą. Patrzył w przestrzeń i uderzał ją silnymi oczyma.

Nareszcie, nareszcie! Oto miejsce, gdzie mu będzie wolno włożyć jarzmo i drzeć starą glebę głęboko sięgającym pługiem. Będzie tu siał, będzie pracował za tłum ludzi, będzie oddawał światu wszystko, co wziął od niego. Nie pożałuje ramion, nie będzie skąpił potu! Niechże wiedzą, jak się wywdzięcza ten z motłochu, kogo przyjmą do swej kultury, komu udzielią cząsteczki swych praw do czynu.

W owej chwili siły jego duszy spoczęły na czymś nieuchwytnym, jakby na dźwięku płynącym w przestrzeni, jakby na szeleście grabowych liści, który pośród drzew zamierał.

Było to krótkie, radosne błogosławienie tajemnych potęg świata za owo święte prawo człowieka do pracy i za siły, za mocne barki, które do niej służą.

## CISY

Zakład kuracyjny Cisy leży w dolinie między dwoma łańcuchami wzgórz porośłych pięknym lasem. Środkiem doliny przepływa strumień tworzący w samym parku dwa stawy, z których drugi jest motorem maszyn zakładowych. Dokoła stawów ściele się olbrzymi park łączący się z lasami na wzgórzach sąsiednich. Zakłady kąpielowe (tj. łaźienki, hydroterapia, natryski etc.) mieszczą się w gmachu zwanym, Bóg raczej wiedzieć dlacze-

<sup>96</sup>kursal (z niem.: *Kursaal*) — dom zdrojowy. [przypis redakcyjny]

go, „Wincentym”, a stoją nad drugim stawem. Z tej samej strony na wzgórzu świeci się wspaniały kursal, otoczony gajem roślin, klombów kwiatowych, gazonów, trawników, alejek zacisznych i szpalerów. W obrębie parku tudzież poza nim, przy drogach dążących w różne strony, a nawet wprost wśród lasu stoją wille. Jedne z nich skupiły się w szereg jak chaty we wsi, inne szukają samotności i odgradzają się od świata gąszczami ogrodów.

Z drugiej strony stawu, w połowie wyniosłości królującej nad okolicą, wznosi się pałac i liczne murowane zabudowania dominium Cisy. Jeszcze wyżej za pałacem, na szczycie góry widać kościół z dwiema strzelistymi wieżami, które ukazują się oczom, wszędzie, gdziekolwiek by się w okolicy było.

Nazajutrz po przyjeździe dr Judym składał wizyty, zwiedzał miejscowość, uczył się tajemnic zakładu — i był oszołomiony. Miał tutaj nie tylko poznać wszystko z dokładnością przed zaczęciem zbliżającego się sezonu, ale nadto brać udział w rządzie...

Dziś tedy obznajmił się ze składem chemicznym źródeł, jutro studiował maszyny wprowadzające wodę do wanien, badał system ksiąg kancelaryjnych, orientował się w procedurze gospodarczej, w prowadzeniu hotelu itd. To tu, to ówdzie ukazywały się przed nim całe perspektywy rzeczy, których wcale nie znał, i nikły, przywalone innym szeregiem zjawisk. Nade wszystko interesował go szkielet przedsiębiorstwa, jego budowa materialna. Zakład leczniczy Cisy był instytucją akcyjną o kapitale stałym wysokości blisko trzechkroć stu tysięcy rubli. Spólników było dwudziestu kilku. Ci wybierali spośród siebie radę zarządzającą, złożoną z prezesa i dwu wiceprezesów, komisję kontrolującą, również z trzech członków, tudzież dyrektora, administratora i kasjera. Obowiązki prezesa rady zarządzającej pełnił wybitny adwokat stale mieszkający w Moskwie. Jednym z wiceprezesów był *honoris causa*<sup>97</sup> wspólnik Leszczykowski zamieszkały aż w Konstantynopolu, a drugim bogaty przemysłowiec warszawski pan Stark. Dyrektorem był dr Węglichowski, administratorem Jan Bogusław Krzywosąd Chobrzański, wreszcie kasjerem oraz szczęśliwym małżonkiem damy, z którą dr Tomasz podróż odbywał z Warszawy, i ojcem swawolnego Dyzia niejaki pan Listwa.

Sporo czasu upłynęło, nim dr Tomasz nauczył się historii tego zakładu, która w Cisach była istotną *magistra vitae*<sup>98</sup>. Historia, a raczej rozmaite minione historie miały tam wpływ dobitny na bieg spraw codziennych. O ile ją dr Tomasz mógł poznać z ust wielu, historia zakładu była następująca:

Cisy znane były ze swych wód jeszcze w początkach zeszłego stulecia. Tu i ówdzie trafiają się w pamiętnikach wzmianki, że w Cisach leczył się taki a taki dygnitarz. Nie była to jednak miejscowość kuracyjna w szerszym znaczeniu tego wyrazu. Korzystały z wód rozmaite osoby, ale tylko dzięki uprzejmości właściciela dóbr Cisowskich, źródła bowiem znajdowały się w parku otaczającym stary zamek rodowy. Od niepamiętnych czasów majątki te należały do rodziny Niewadzkich. Ostatnio był ich właścicielem mąż owej staruszki, którą Judym poznał w Paryżu. W ciągu siódmego dziesiątka lat tego wieku ów pan Niewadzki wyjechał z kraju. Kiedy powrócił do Cisów, był starcem złamanym i nieuleczalnie chorym. Ogrom cierpień przeżytych zmienił zasadniczo jego poglądy. Główną myślą starca było teraz dobro bliźnich, a że sam był chory, więc i uczynki jego miłosierne skierowały się przede wszystkim do wspomaganie ludzi cierpiących. Kąpiele w wodzie ze źródeł w jego parku uznane zostały za skuteczne, więc pan Niewadzki wszystkie siły wyteżył w tym celu, żeby urządzić zakład leczniczy w Cisach. Dla przyspieszenia tej sprawy darował projektowanej instytucji miejscowość obejmującą kilkadziesiąt morgów przestrzeni wraz z parkiem, źródłem, częścią przyległych lasów i z budynkami, jakie się w obrębie terenu znalazły. Sam stworzył spółkę, do której wciągnął przyjaciół, przeważnie po świecie rozsianych. Największą sumę udziałów wziął stary kolega i towarzysz, kupiec znad Bosforu, Leszczykowski. Inne rozebrali adwokaci, lekarze, przemysłowcy. Na czele zakładu stał w pierwszych latach dyrektor nieodpowiedni, który usiłował z tej nowo powstającej miejscowości uczynić od razu kurort europejski. Budowano tedy wspaniałe gmachy i wille, a urządzano je z przepychem, który by mógł zadowolić najdalej sięgające wymagania. Te ryzykowne eksperymenty popchnęły całe przedsięwzięcie ku ruinie.

<sup>97</sup>*honoris causa* (łac.) — określenie honorowego tytułu naukowego bądź godności honorowej. [przypis redakcyjny]

<sup>98</sup>*magistra vitae* (łac.) — popularne łacińskie przysłowie *historia est magistra vitae*: historia jest nauczycielką życia. [przypis redakcyjny]

Do Cisów zjeżdżały z całego kraju; a nawet z daleka familie arystokratyczne dla rozrywki. Zakład usiłował zyskać sobie opinię stacji letniej europejskiej i urządzał się coraz wykwintniej. W tym czasie zmarł założyciel, Niewadzki. Na posiedzeniu rocznym okazało się, że Cisy nie tylko nie dają żadnego dochodu, ale wykazują deficyt. Wobec tego, a głównie, jak to zwykle u nas, wobec ubytku podpory, która tę rzecz dla idei dźwignęła, całe przedsięwzięcie chwiać się zaczęło. Wówczas zgłosił się ów handlarz dywanów z Konstantynopola. Wsparł ducha stowarzyszonych, załatał deficyt swoim groszem, otwarcie wymógł na ówczesnym dyrektorze zrzucenie się z tej godności i znalazł nowego, również kolegę swojego i nieboszczyka właściciela, mianowicie dra Węglichowskiego, który bodaj czy nie więcej od dwu pierwszych świata obszedł. Gdy tylko doktor Węglichowski ster wziął w ręce, zaraz rzeczy poszły innym torem. Przede wszystkim nowy dyrektor zrzekł się prowadzenia części gospodarczej. Mianowano administratorem znowu wspólnego kolegę, Krzywosąda Chobrzańskiego.

Następny rok nie był już wcale szeregiem zabaw, tańców, teatrów, wyścigów, gonitw, strzelań do gołębi, polowań etc, lecz istotnym sezonem kuracyjnym. Wzięto się do reorganizacji łazienek, hotelu itd., słowem, do budowania istotnej stacji leczniczej. Dr Węglichowski projektował wiele nowych rzeczy i przedstawiał je radzie. Jeżeli się nie zgadzała, pisał list do Leszczykowskiego, a ten bez wahania załatwiał sprawę własnym sumptem. Taka stała się niepisana umowa.

Stary Leszczykowski był wdowcem. Miał pasierbów Greków, którzy go ssali jak gąbkę. Był to człowiek bogaty. Burza wyrzuciła go na brzeg Bosforu w jednym obdartym surducie i w krypciach bez podszew. Bywał tragarzem okrętowym, zamiataczem ulic, roznosicielem dzienników europejskich, agentem w pewnym sklepie francuskim, subiektem, komiwojażerem, a wreszcie właścicielem ogromnych magazynów, handlarzem dywanów, przemysłowcem itd. W trakcie tych zajęć z jego pięknego nazwiska zostały tylko pierwsze trzy litery, możliwe dla wymówienia w handlu persko-turecko-angielsko-francuskim. Sam się, nieborak, zwał starym „Les” i odmieniał ten strzępek przez przypadki. Leszczykowski był synem uboższego szlachcica spod Cisów. Już w sławnej szkole wojewódzkiej kieleckiej zbratał się z pankiem Niewadzkim, z Węglichowskim i Krzywosądem. Twarde życie i dziwne jego koleje na zawsze wyrwały go ze strony rodzinnej. Syn rolników od pradziada Piasta — został kupcem. Pracował po kilkanaście godzin na dobę i nigdy sobie nie udzielał świąt ani wakacji. Był to nie człowiek ułomny, lecz jakby zbiorowisko sił maszyny stalowej, zuchwałych i niezwalczonych. A przecież ten „M. Les” wśród wielorakich prac swoich dniem i nocą myślał o czym innym. Trzeźwy, chytry handlarz, którego ani Ormianin, ani Greczyn nie ubiegł w sprycie, którego Anglik nie wyprzedził w żelaznej systematyczności, był w głębi duszy marzycielem i ascetą. Sypiał na twardym łóżku, mieszkał w ciasnej izbie, ubierał się byle jak. Pewną sumę przeznaczał „ssakom” — pasierbom, a resztę słał w różne strony. Co dnia prawie na jego biurku leżał list „w ludzkim” języku, pisany nieraz z dalekich lądów świata. I żaden nie był odrzucony. M. Les był bystry. Nigdy go nie podszedł oszust i nie wyludził grosza, ale ostatni uczciwy fantasta ciągnął zeń tysiące franków. Najukochańszą wszakże myślą M. Lesa był zakład leczniczy cisowski. Stary szczywany kramarz śnił wiecznie o przekształceniu swego zakątka, o ucywilizowaniu go jak najwyżej. Gromadził pieniądze, odkładał żelazne sumy, ciułał jak sknera pewne „ciche kasy” na niesłychane przedsięwzięcia, jakie założy pod Cisami w swoim Zagórzu i okolicy, gdy tylko wróci...

„Ciche kasy” brał pierwszy lepszy inżynier jadący na studia, malarz potrzebujący Paryża, lekarz, technik (zawsze wynalazca *in spe*<sup>99</sup>), wreszcie inny jaki. I znowu zaczynały się specjalne operacje w celu napelnienia próżni. Tak płynęły lata. Gdy Niewadzki ufundował zakład leczniczy w Cisach, który, rzecz prosta, nie mógł pozostać bez dodatniego wpływu na los okolicy, stary Leszczykowski mruknął: „Trzeba to wspierać”. I wspierał po swojemu, ze swoją już nie żelazną, ale stalową wytrwałością i ze swym dziecięcym zaufaniem.

W kilka dni po przyjeździe do Cisów doktor Judym otrzymał z Konstantynopola ogromny list. W piśmie tym stary emigrant rekomendował się młodemu lekarzowi i zawierał z nim znajomość. List pisany był straszną polszczyzną. Płatały się tam wyrazy

<sup>99</sup>wynalazca *in spe* (łac.) — przyszły wynalazca. [przypis redakcyjny]

angielskie, francuskie, greckie, bułgarskie, a częstokroć stały dźwięki zagadkowe, prawdopodobnie tureckie czy perskie. Wewnątrz była gabinetowa fotografia starego Lesa. Ten list i fotografia dziwnie się dopełniały. Zdawało się, że spojrzenie oczu mówi to wszystko, co się w słowach zawrzeć nie mogło, czego język wyłamany w służbie pieniędzy oddać nie miał siły. Trudno było wzrok oderwać od chudej twarzy i od ciemnych, wlepionych w patrzącego oczu. Silnie sklepienie czoła, nos wystający i wąskie usta miały w sobie piętno rezygnacji, niezłomności i uporu. Judym przeczytał kilkakrotnie ten list cudaczny i dziwnie przyzwyczaił się do jego stylu, jakby go uznał nie tylko za zjawisko normalne, ale nawet za konieczne. W zdaniach, powtarzających się to tu, to tam, opisywał się ten człowiek daleki, a tak przecie mocny, że zdawał się chodzić po miejscach, o których w liście mówił. Znał w Cisach wszystko od a do z. Zwracał uwagę młodego lekarza na drobiazgi, których ten wcale jeszcze nie dostrzegł. W końcu listu była prośba o fotografię i częste, bardzo częste listy.

„Kocham — pisał M. Les — młodych, bo oni śmiało biorą się do pracy. Ludzie to są zwykle *lazy*<sup>100</sup>, wiesz pan doktor, jak Anglik powie. A ja nie cierpię! Człowiek nasz, Polak, coś zrobi i wnet się zestarzeje. Po to pracuje, żeby nic nie robić. Wtedy jak nic nie robi, korzysta z pracy młodego, jego krew pije i jego ramieniem się podpira, tego młodego, a sam udaje, że to jego jest *labour*<sup>101</sup>. Nie tak robi Anglik. On wiecznie idzie! *Forward!*<sup>102</sup> Do końca życia. A nie może już nastarczyć, to nie leży innym na drodze, idzie na świeżą trawkę, do spacerowania. Wtedy młody na jego miejsce przychodzi i od tego miejsca rozpoczyna, gdzie tamten stanął. A my to jeszcze wierzymy w *kismet*<sup>103</sup> jak Turcy. Kiedy przecie wszystko leży tu! Wszystko można zrobić! Gdybym ja był jeszcze młody, ja bym wszystko zrobił. Mnie się zdaje, że my będziemy razem się wspierali, mój panie doktor Judym...”

Od chwili ujęcia steru przez doktora Węglichowskiego i administracji przez Krzywosąda upłynęło lat kilkanaście. Cisy stały się zakładem uczęszczanym, renomowanym, znanym powszechnie. Osobą wielce wpływową był administrator Krzywosąd Chobrzański. Był to stary kawaler, przystojny, wysokiego wzrostu i pięknej figury. Nosił długie, spuszczone w dół wąsy, które zarówno jak resztki włosów na skroniach czernił tanią farbą, wskutek czego miały kolor zielonkawoszary. Ubierał się prawie zawsze w długie buty, szerokie hajdawery i coś w rodzaju czamarki. Człowiek ten przeszedł Europę wzdłuż i w poprzek. Mówił chyba wszystkimi językami indoeuropejskimi, a przynajmniej chętnie wygłaszał słowa w najrozmaitszych Gószczyńskich dialektach — i wszystko prawie umiał. Jeżeli była mowa o chemii, wtrącał się do takiej rozmowy częstokroć trafnie. Jeżeli kto zaczął dyskurs o malarstwie, rzeźbie, literaturze, kucharstwie, złotnictwie, rymarstwie, podrabianiu obrazów, handlu starożytnościami, krawiectwie, szewstwie, płatnerstwie, a przede wszystkim o wszelkiego rodzaju mechanice, Krzywosąd z każdej z tych dziedzin zdradzał zapas wiadomości fachowych. Nie dość na tym: znajomość każdego z tych kunsztów umiał czynem potwierdzić. Na wigilię on sam gotował zupę i przyrządzał ryby. Wprawdzie zupa była oryginalna, bo jeśli ją przesolił w sposób żołnierski, to dla złagodzenia ostrości smaku sypał do wazy funt cukru. Wszystkie siodła w zakładzie były jego roboty, a raczej jego przeróbki. Jeżeli jakieś stadło zaręczało się lub pobierało w ciągu sezonu, Krzywosąd wypraszał sobie tę łaskę, żeby on mógł robić obrączki. W całych Cisach pełno było dzieł jego. Sam reparał wszelkie maszyny, murował z mularzami, rąbał i piłował z cieślami, heblował i malował ze stolarzem, kopał z ogrodnikiem.

Dyrektor Węglichowski miał zegarek emaliowany, dar Krzywosąda i jego dzieło. Tak przynajmniej świadczył podpis wydrapany na kopercie tego zegarka jakimś ostrym ryłcem: „*J. B. Krzywosąd de Chobrsanowice Chobrzański eques polonus fecit Lutetiae Parinarum. Anno Domini 1868*”<sup>104</sup>. W sieni kursalu stał zegar szafkowy, grający na żądanie, za pociągnięciem sznurka, ucieszną aryjkę. Zegar ten był jakoby rozbity i odbudowany przez Krzywosąda na podziw.

<sup>100</sup>*lazy* (ang.) — ociężali, leniwi. [przypis redakcyjny]

<sup>101</sup>*labour* (ang.) — praca. [przypis redakcyjny]

<sup>102</sup>*Forward!* (ang.) — naprzód! [przypis redakcyjny]

<sup>103</sup>*kismet* (arab.) — przeznaczenie. [przypis redakcyjny]

<sup>104</sup>*J. B. Krzywosąd de Chobrsanowice Chobrzański...* (łac.) — wykonał J. B. Krzywosąd z Chobrsanowice Chobrzański, szlachcic polski, Paryż, roku pańskiego 1868. [przypis redakcyjny]

Młodość, Polak, Praca

Praca, Szlachcic

W czytelni zakładowej stało jego arcydzieło, tzw. *Groupe allegorique*<sup>105</sup>. Był to stolik, na którym sklejone kamienie, kryształki, ułamki porcelanowe, szkła, korale itp. tworzyły jakieś niby wirchy, jeziora, pieczary. Z głębi tych pieczar miał wychodzić na pogodę zakonnik, ale, co prawda, nigdy nie wychodził. Szczyt zdobiły rozmaite alegoryczne figurki, kogutki, żołnierzyki, chorągiewki, wieńce cierniowe, a w środku siedział biały ptak ze szkła, w rodzaju gęsi, z czarnymi oczami, co mu nadawało pozór, jakby był w okularach. W sali do gry w karty stał inny majstersztyk Krzywosąda. Była nim szafa starożytna kością wykładana, z okuciem tak przecie misternym, że aż słabo się robiło. Na górnym gzemisie<sup>106</sup> tego mebla widniała data utrwalona za pomocą inkrustacji: „A.D. 1527”. Rzecz prosta, że administrator był tylko odnowicielem tego zabytku wieków minionych, aczkolwiek złośliwi twierdzili, że był właśnie twórcą nie tylko szafy, inkrustacji i okucia, ale także owej daty na szczycie.

J. B. Krzywosąd Chobrzański znalazł się w Europie w tym samym czasie, co M. Les. Kiedy jednak drugi udał się na wschód, Krzywosąd poszedł na zachód. Faktycznie poszedł własnymi nogami przez Śląsk, Czechy, Bawarię do Francji. Tułał się w Paryżu, Londynie, Brukseli, zarabiając na chleb, czym się dało. W Paryżu był retuszerem u podrzędnego fotografa na rue Picpus. Do Londynu zwabił go kolega, który tam uczepił się w fabryce broni. Krzywosąd pracował przez czas pewien jako zwyczajny robotnik, nabrał, jak mówiono, wiele wprawy w fachu rusznikarskim. Łatwiej wszakże było przyzwyczaić do tej roboty ręce niż wdroić szlacheckiego ducha. Uciuławszy nieco grosza Chobrzański wraca na kontynent i wędruje do Brukseli. Nie znaczy to wcale, że był próżniakiem. Ani trochę! Umiał on wstać o świcie, dzień spędzić bez wytchnienia przy twardej pracy i późno w nocy skłonić głowę na nędznym posłaniu. Chodził w zniszczonej odzieży, a gotów był i tę oddać biedniejszemu, byleby o tym ludzie wiedzieli. Gdy ktokolwiek zgłosił się do niego o wsparcie, o pożyczkę, każdemu jej udzielił, ale chciał, żeby też jemu wyświadczono to i owo dla zasług. Od warsztatu w Londynie odepchnęła go jakaś siła niewytłumaczona, żądza czegoś lepszego. Krzywosąd nie myślał ani o spokojnym życiu, ani o wielkim bogactwie, choć lubił dostatek. Wśród najcięższych kolei losu dążył zawsze do sławy, do wyniesienia, do znaczenia, do wpływu i rozgłosu wśród swoich. Chętnie podjąłby trud bohaterski, byleby tylko nie stawał się jarzmem codziennym, pracą obowiązującą jego tak samo jak wszystkich, ordynarną i stałą. Mimo to był przez czas dość długi kasjerem w pewnej dystrybucji<sup>107</sup> brukselskiej.

Przywykał już nawet do tego zajęcia, gdy grono kolegów koczujące w Monachium dało znak życia. Monachium, które widział w przejeździe do Paryża, podobało mu się niezmiernie. Ruszył tedy do „Mnichowa”. Znalazł tam całą kolonię. Byli to malarze, studenci, artyści wszelkiego kalibru, rzemieślnicy i sieroty bezdomne, „*die unglücklichen Polen*”<sup>108</sup>. Wrzało tam jak w ulu. Toczyły się spory, tworzyły stronnictwa, partie, odbywały zgromadzenia, sądy, a nawet bójkę. Chobrzański wszedł, rzecz prosta, do jednego ze stronnictw i wkrótce objął tam dowództwo. Był to kierownik energiczny. Zaprowadził w swojej partii taki ład, że częstokroć wykonanie przepisów kończyło się w biurze policji. Adwersarzy, których trafnie nazywał „ptakami płwającymi we własne gniazdo”, zwalczał ręką tak żelazną, że mu grożono wybicciem szyb i skóry. Gdy własnego mieszkania nie miał, groźby redukowały się do nastawiania na całość skóry, co znowu umiał odeprzeć krzyżową sztuką zażywając sękatego kija. Wnet po przyjeździe, nim trafiły się późniejsze roboty pozował malarzom. Jego piękna twarz, pełna dziwnego wyrazu melancholii, dumy i hardości, pociągała artystów. Zyskał sobie opinię ciekawej głowy i znany był dość szeroko jako „*unglücklicher Pole*”. Z czasem ta ściśle etnograficzna nomenklatura przestoczyła się w mniej określoną: „*unglückliche Fratze mit vielen Konsonanten*”<sup>109</sup>, ale też wówczas Krzywosąd tylko swojej braci pozował, i to nie inaczej jak na koniu.

Pielgrzym, Praca, Szlachcic,  
Życie jako wędrownik

Emigrant, Polak, Szlachcic

<sup>105</sup> *Groupe allegorique* — grupa postaci, figur itp. posiadająca znaczenie alegoryczne [przypis edytorski]

<sup>106</sup> *gzems* — dziś popr. *gzymś* [przypis edytorski]

<sup>107</sup> *dystrybucja* — tu: dawna nazwa sklepu z wyrobami tytoniowymi. [przypis redakcyjny]

<sup>108</sup> *die unglücklichen Polen* (niem.) — nieszczęśliwi Polacy. [przypis redakcyjny]

<sup>109</sup> *unglückliche Fratze mit vielen Konsonanten* (niem.) — zwrot nie dający się dosłownie przetłumaczyć, określający w dosadnym, humorystycznym skrócie wrażenie, jakie wywierały na obcokrajowcach melancholiczna fizjonomia Krzywosąda (*die Fratze* - grymas) oraz twarde brzmienie jego rodowitego języka (*mit vielen Konsonanten* - z wieloma spółgłoskami). [przypis redakcyjny]



Stosunki z malarzami pchnęły go do całkowicie innej dziedziny. Naród malarski, zmieniający miejsce pobytu, niedbały, dziś tarzający się w złocie, a jutro głodu bliski, stał się źródłem zarobków Krzywosąda. Oto, dajmy na to, wyjeżdża jakiś malarzyna w górę, opuszcza Monachium i dąży w świat szeroki. „Wójt” kupuje od niego za byle co albo po prostu dziedziczy sprzęty artystyczne, stare ubiory, nieraz jakieś połamane zbroje, draperie, nie dokończone studia, szkice, rysunki, a choćby potłuczone ramy. Dla innego trzeba zreparować stylowe siodło, zeszyć kostium, naprawić mebel, skleić jakiś zabytek. Krzywosąd brał to wszystko w ręce i robił. Raz dobrze, drugi raz źle, ale robił. Przypatrywał się dziwnym procesom tworzenia, podслуchiwał dyskusje, badał ów ogromny kraj, państwo malarza, i zdobywał encyklopedyczne wykształcenie w zakresie antykwarsko-graciarsko-rzemieślniczo-artystycznym. Jeżeli czego nie umiał zrobić, to przynajmniej wiedział, jak się to robi. Gdyby i tu wytknął mu kto brak stanowczości, to w żadnym razie nie mógł zaprzeczyć, że o istnieniu całego mnóstwa rzeczy, zupełnie obcych przeciętnemu zjadaczowi chleba, Krzywosąd potrafił gadać. Z czasem w dużej izbie na Schwantalerstrasse mieścił się dziwaczny zakład. Były tam i narzędzia stolarza, i warsztat ślusarski, tygłe, retorty, kupy ram, flaszki z różnobarwnymi płynami, skóry, żelastwa. Na ścianach wisiały szkice i obrazy, częstokroć dzieła sztuki, pseudoperskie dywany, przeróżne kawalki oręża i zbroi. Po upływie lat kilkunastu spędzonych w Monachium Krzywosąd wyszedł na fabrykanta starożytności. Czasem udało mu się zlepić z ułamków według istniejącego wzoru jakąś podobiznę starożytnego sprzętu czy mebla i odstąpić to antykwariuszowi, wymyć szerniałe malowidło kupione za byle co i puścić w świat jako „szkołę włoską” czy „holenderską”. Szczególniejszą miłością „wójta” cieszył się styl gotycki. Krzywosąd widział ten styl wszędzie, tam nawet, gdzie był inny. Szczytem pochwały w jego ustach było słowo: — gotyk! Stąd zbiory jego zawierały tyle rzeczy spiczastych. Wszystko, co tylko miało kształt ostrołuku, zasługiwało na uwagę, a więc: żelazne ozdoby sztachet, klucze, okucia drzwi, lichtarze chłopskie z okolic Jeziora Bodeńskiego, klamerki u pasków, ramy itd., nie mówiąc już o istotnych ułamkach gotyku.

U Krzywosąda zbierały się nieraz rozmaite grupy burszów<sup>110</sup> i artystów. Stary wąsał częstował tę młodź lekkomyślną niesłychaną szpagatówką „swego chowu”, serem, który sam wyrabiał, i suchym chlebem, którego jeśli sam nie piekł, to przynajmniej osobiście archaizował w swych bezdennych szafach do stanu spleśnienia na kolor biały. W drodze szczególnej łaski pozwalał wówczas byle komu zbliżyć się do „broni” rozwieszanej na ścianach oraz wywłóczył skądś ze spodu stare, zagwazdane rysunki i z wyrazem zupełnej niedbałości, jakby obwieszczając rzecz najobojętniejszą w świecie, mówił wskazując palcem ten lub ów bohomasz:

— Piotr Paweł Rubens<sup>111</sup>...

Albo:

— Szkoła bolońska... Trzeci okres Gwido Reniego<sup>112</sup>...

Po rysunkach takich mistrzów zaczynała się prezentacja innych zbiorów, jak na przykład książeczki pt. *Priapeia*<sup>113</sup>, w oprawie białej, z cielecej skóry. Książeczka ta była w kilku miejscach przebita na wylot. Kiedy zapytywano, co znaczą te rozdarcia, Krzywosąd objaśniał, że to było ulubione dziełko Karola XII<sup>114</sup>, które wszakże służyło mu nieraz za cel

<sup>110</sup>bursz — tu: student. [przypis redakcyjny]

<sup>111</sup>Peter Paul Rubens (1577–1640) — znakomity malarz flamandzki epoki baroku; sztuka jego odznacza się bujnością kształtu, przepychem i soczystością barw. [przypis redakcyjny]

<sup>112</sup>Szkoła bolońska — kierunek w malarstwie włoskim, powstały w Bolonii pod koniec XVI w. Twórcy jego dążyli do zjednoczenia w dziele sztuki właściwości najlepszych mistrzów renesansu, szczególnie Rafaela i Tycjana; w rezultacie tych założeń malarstwo ich nie wносиło do sztuki oryginalnych wartości. Jednym z najwybitniejszych przedstawicieli szkoły bolońskiej był Gwido Reni (1575–1642). [przypis redakcyjny]

<sup>113</sup>*Priapeia* — utwory na cześć Priapa, greckiego bożka płodności; ze względu na frywolność treści i słownictwa pojawiały się zazwyczaj anonimowo. [przypis redakcyjny]

<sup>114</sup>Karol XII (1682–1718) — król szwedzki od 1697 r., ostatni władca absolutny Szwecji, wybitny dowódca wojskowy. Podczas III wojny północnej (1700–1721) wielokrotnie walczył zwycięsko z przeważającymi siłami koalicji Danii, Saksonii, Rosji i Polski. W 1700 r. rozgromił armię rosyjską (pod Narwą), wyparł Augusta II Mocnego do Saksonii i zmusił go do abdykacji (1706), zaś popierającą go w większości polską szlachtę skłonił do elekcji Stanisława Leszczyńskiego. Przeciw Rosji sprzymierzył się z hetmanem kozackim Iwanem Mazepą. Po klęsce pod Połtawą (1709) uciekł do Turcji, gdzie początkowo był internowany, później jednak nakłonił sultana do wojny z Rosją (1710). Zawarcie pokoju turecko-rosyjskiego pociągnęło za sobą wydalenie Karola XII. Wrócił do Szwecji i kontynuował walkę z antyszwedzka koalicją. Zginął w Norwegii podczas oblężenia twierdzy Friedrichshald. [przypis redakcyjny]

do strzałów z pistoletu. Była tam również laska Seweryna Goszczyńskiego<sup>115</sup>, zwana czasami laską Wincentego Pola<sup>116</sup>. Był sztylet Beniowskiego<sup>117</sup> wysadzany muszelkami — mundur oficera z czasów Księstwa Warszawskiego, dopełniony przez Krzywosąda w ten sposób, że spłowiałe wypustki zastąpione zostały innym, mniej więcej zbliżonym kolorem, a guziki i szlify odpowiednimi guzikami i szlifami uniformu piechoty francuskiej z czasów Napoleona III. Za szkłem wisiał żupanik atlasowy ześcibany z nie pasujących do siebie kawałków — stał dziwny, pokruszony sprzęcik, zwany apteczką Stanisława Augusta, leżała faja z terakoty na zgiętym cybuchu, zwana fajką Stefana Batorego itd.<sup>118</sup>

Nie wszystkim jednak i nie zawsze „wójt” pokazywał swe zbiory. Było na przykład kilku ludzi wśród młodej kolonii, którzy go irytowali i wpędzali w zły humor. Jeden z takich, zetknąwszy się z antykwariuszem, zaraz po stereotypowym pytaniu o zdrowie dodawał:

— A cóż Van-Dycki<sup>119</sup>, jakże tam? W robocie, co? No, i jakże, udają się?

Drugi wymoczek udawał głuptasa i kiedy Krzywosąd pokazywał zbiory, wtrącał ślamazarne pytanie:

— A ja gdzieś czytałem, tylko nie pamiętam, w jakim dziele, że Szczerbiec<sup>120</sup>, miecz Bolesławowski, to podobno jest w pańskich rękach, tylko pan unika o tym rozgłosu, żeby go panu stańczycy<sup>121</sup> przez nastawionych zbirów nie wykradli. Nam by go pan mógł pokazać... Złożylibyśmy przysięgę, że ani mru-mru...

Miał jednak Krzywosąd i swoich wielbicieli. Tym pokazywał wydobyte z dna inkrustowanej szafy kawałki haftowanej materii i zapewniał, że jest to urywek szaty, której druga część znajduje się w Cluny — jakąś miniaturkę w szerniałej ramce... O tym obrazku szeptem i z mruganiem mówił, że jest przez pewnego handlarza ukradziony z Brery<sup>122</sup> w Mediolanie...

Gdy zarząd Cisów przeszedł w ręce doktora Węglichowskiego, Krzywosąd począł się przed M. Lesem uskarżać w listach na tęsknotę i pisywał te listy tak często, że to wnet uderzyło chytrego kupca. M. Les mruknął do siebie:

<sup>115</sup>Seweryn Goszczyński (1801–1876) — poeta romantyczny zaliczany do szkoły ukraińskiej (autor m.in. *Zamku Kaniowskiego*, *Króla zamczyska* oraz licznych wierszy głoszących radykalne hasła społeczne, np. *Uczta zemsty*), pisarz (*Dziennik podróży do Tatrów*, *Dziennik Sprawy Bożej*); uczestnik powstania listopadowego (gorący zwolennik dokonania zamachu na W. Księcia Konstantego, członek sprzysiężenia Piotra Wysockiego, brał udział w ataku na Belweder, walczył pod Stoczkiem i Nową Wsią, wydał liryki powstańcze *Pobudka* 1831); zakładał następnie organizacje stawiające sobie cele demokratyczne i rewolucyjne (Związek Dwudziestu Jeden we Lwowie w 1832 r. i Stowarzyszenie Ludu Polskiego w Krakowie w 1835 r.). W 1838 r. znalazł się na emigracji w Paryżu, gdzie nawiązał znajomość z Mickiewiczem i Słowackim. W 1842 r. przystąpił do Koła Sprawy Bożej Andrzeja Towiańskiego. W 1872 r. powrócił do kraju, zamieszkał we Lwowie, gdzie pozostał do końca życia. [przypis edytorski]

<sup>116</sup>Wincenty Pol (1807–1872) — poeta, twórca wierszy o tematyce i stylizacji ludowej, także patriotycznych (zob. *Pieśń o ziemi naszej* wyd. 1843; *Mohort* 1855); uczestnik powstania listopadowego; ciężko poturbowany podczas rabacji galicyjskiej (1846) porzucił wcześniejsze poglądy na romantyczną modłę chłopomańskie i demokratyczne i stał się zwolennikiem konserwatywnego programu społecznego; największe zasługi położył jako przyrodnik i geograf. [przypis edytorski]

<sup>117</sup>Maurycy August Beniowski (1741–1786) — słowacki podróżnik, awanturnik i żołnierz, autor barwnych pamiętników; w 1768 r. dołączył do konfederacji barskiej (dzięki temu epizodowi stał się tytułowym bohaterem poematu dygresyjnego J. Słowackiego, a następnie powieści W. Sieroszewskiego), schwytany przez Rosjan i zesłany, urządził na Kamczatce spisek i bunt więźniów, którzy opanowali miasto, uciekli na zdobytych przez siebie statku „Św. Piotr i Paweł”; Beniowski tułał się następnie po morzach (Aleuty, Ameryka Płd., Japonia), aż w 1772 r. dotarł do Francji, gdzie swymi opowieściami zainteresował króla Ludwika XV. Zaciągnął się do wojska fr. w stopniu podpułk. Wysłany przez rząd w 1773 r. z misją kolonizacyjną, przybył na Madagaskar, gdzie został w 1776 r. przez rdzennych mieszkańców uznany królem. W 1782 gościł w Stanach Zjednoczonych, utrzymywał znajomość z Benjaminem Franklinem. W 1785 r. powrócił na Madagaskar, odbił stolicę kraju z rąk francuskich, przejęcie władzy rozpoczynając od budowy fortów; zginął w potyczce z Francuzami. [przypis redakcyjny]

<sup>118</sup>*ulubione dziełko Karola... faja... Stefana Batorego* — Krzywosąd posiadał zbiory „pamiętek historycznych”, w dużej części związanych z dziejami Polski; zdradzają one nostalgiczny charakter i romantyczną manierę właściciela [przypis edytorski]

<sup>119</sup>*Van-Dycki* — odwołanie do Antona van Dycka (1599–1641), malarza flamandzkiego, znakomitego portrecisty. [przypis redakcyjny]

<sup>120</sup>*Szczerbiec* — miecz koronacyjny królów polskich, który Bolesławowi Chrobremu miał wręczyć Otton III, zaginął za Augusta II; za Augusta III wykonano jego kopię, przechowywaną w Skarbcu Królewskim na Wawelu. [przypis redakcyjny]

<sup>121</sup>*stańczycy* — konserwatywne stronnictwo w Galicji reprezentujące program ugodowy wobec Austrii, skierowany przeciwko ruchowi wyzwolenicznemu. [przypis redakcyjny]

<sup>122</sup>*Pinacoteca di Brera* — słynna galeria sztuki w Mediolanie. [przypis redakcyjny]

— Ta zielona mała coś knuje.

Miał on dziwną predylekcję<sup>123</sup> do Krzywosąda. Bardzo często kupował jego bezcenne antyki, jego Rubensy i Ruysdaele<sup>124</sup>, buławy hetmańskie i pamiątki autentyczne po królach. Składał to wszystko w pewnym zielonym kufrze i nazywał go „gabinetem zielonej mały”.

Nareszcie pewnego razu Krzywosąd wyznał w liście, że ma zamiar wracać. M. Les nie sprzeciwiał się i biedny wędrowiec wrócił do Warszawy, a wkrótce potem objął administrację zakładu w Cisach.

Lokal jego tutaj mieścił się na dole starego „zamku”. Prowadziła do tego mieszkania brama (rozumie się: gotycka), a właściwie jej resztki grożące ruiną, które Krzywosąd starannie podpierał. Dalej szły na prawo wąskie i strome schodki aż do drzwi mieszkania. Przed progiem wisiał krużganek otoczony żelazną balustradą. Zarówno schody, jak krużganek były świeżo dobudowane przez administratora. Dla przyśpieszenia procesu archaizacji tych gotyków nie zamiatano tam nigdy śmieci i nie sprzątano śladów pobytu wróbli, które całymi stadami pod drzwiami wysiadywały. Krzywosąd kochał ptaki. Rozmawiał z nimi i sypał tyle okruszyn chleba, że wróbłe miały tam istną synekurę<sup>125</sup> i nie odlatywały z krużganku.

Kiedy doktor Tomasz zbliżał się z uszanowaniem wolnym krokiem do drzwi administratora dla złożenia mu pierwszej wizyty, zobaczył scenę tego rodzaju. U wejścia na schody tłoczyło się, wrzeszczało wniebogłosy kilkanaście sztuk dzieci folwarcznych, Żydów z miasteczka i innej hołoty. Wysoko stał Krzywosąd w pantoflach i reniferowej szerniałej kurcie. Na poręczy ganku siedział chowany sokół, o którym słyszał już doktor Tomasz całą historię. Sokół ten chorował przez całą zimę i ulegał kuracji. Krzywosąd lał mu w gardło oliwę i sadzał go przy kaloryferze w takim gorącu, że biedne ptaszysko dostawało, widać, czegoś w rodzaju pomieszania zmysłów, bo palacze znajdowali je częstokroć leżące obok drzwiczek wielkiego pieca, wśród węgla i popiołu. Tylko błyskanie oczu wskazywało wówczas, że jeszcze żywot kołacze się w nieszczęsnym pacjencie. Teraz, gdy słońce wiosenne świeciło tak jasno, sokół pierwszy raz wyniesiony został na dwór. Siedział na balustradzie mocno ściskając pręt żelaza, rozglądał się, ruszał i dawał wielostronne znaki zdrowia. Krzywosąd pragnął widocznie pokazać chłopakom nie tylko ptaka, ale i jego sztuki. Schylił się tedy i tkał mu pod dziób swą głowę przemawiając jednocześnie:

— *Kąsi pana, kąsi...*

Chodziło o to, że sokół powinien był pieszczotliwie szczytać dziobem resztki farbowanych włosów. Czy świeże powietrze, czy może lepszy stan zdrowia wpłynął na sokoła tak fatalnie, dość że kiedy administrator ukląkł i podstawił coraz bliżej łysinę, ptak dźwignął się na łapy, nasrożył i z całej siły huknął „pana” dziobem w czerep, aż szczęknięło. Zgromadzeni wydali okrzyk radości, zaczęli klaskać w ręce i podskakiwać. Tymczasem Krzywosąd przyniósł długi pręt i przemówił do sokoła:

— To ja do ciebie, łajdaku, jak do rodzzonego siostrzeńca z pieszczotami, a ty mię będziesz kuł po łbie! *Vat-e'n!*<sup>126</sup>

To mówiąc zrzucił ptaka na ziemię i zaczął go okładać prętem, aż pierze leciało. Sokół rozpuścił skrzydła i na piechotę z wrzaskiem uciekł w głąb mieszkania, do którego drzwi zostały zatrzasknięte.

Judym otwarł te ciężkie podwoje i wszedł ostrożnie do wnętrza. Składało się ono z dużej, sklepionej sieni o kamiennej posadzce tudzież z dwu izb mieszkalnych. Z przedśionkiem sąsiadowało pomieszczenie na kaloryfer, gdzie właśnie sokół znosił w tej chwili tak bardzo zasłużoną karę. Dawały się stamtąd słyszeć jego zuchwałę wrzaski. Judym wkroczył do izby na lewo i zaraz w progu szepnął:

— Twardowski! Jak mi Bóg miły, Twardowski...

W istocie mieszkanie to przypominało do złudzenia lokal mistrza. Mury tu były ogromnie grube, okna zakratowane, sufity sklepione. W pobliżu okna stały warsztaty

Zwierzęta

Dziecko, Żyd

<sup>123</sup>predylekcja — skłonność, predyspozycja. [przypis edytorski]

<sup>124</sup>Ruysdael — Jakub Ruysdael (1628–1682), znakomity pejzażysta holenderski. [przypis redakcyjny]

<sup>125</sup>synekura — płatne stanowisko nie powiązane z żadnymi obowiązkami; tu: żart. [przypis edytorski]

<sup>126</sup>Va-t'en! (franc.) — idź precz! [przypis redakcyjny]

gospodarcze i krzesło z wysokim oparciem, skórą obite. W głębi było szerokie, drewniane, starożytne łóżko z baldachimem opartym na słupkach misternie rzeźbionych. W kątach leżały stopy żelastwa, rzemieni, klepek. Na ścianach wisiały owe sławne obrazy, o których Judym tyle już słyszał.

Gdy Krzywosąd po egzekucji przyszedł wreszcie do izby, zajął się gościem z żywością. Posadził go w fotelu, co na Judyma wywarło taki urok, jakby go zanurzono w wannie, i puścił się w dyskurs uprzejmy. Gdy rozmowa zesłała na Cisy, Krzywosąd wyrażał się o całej instytucji z taką samą niedbałością, jaka cechowała jego mowę w trakcie pokazywania rysunków Rubensa. Judym zauważył również, że administrator używał takich tylko zwrotów stylowych, które by dobrze malowały jego władzę w tym miejscu. Mówił tedy:

— Kazałem przebudować cały zamek... Muszę wziąć się jeszcze do urzędzenia parku. Mam na myśli całkowite odrestaurowanie łazienek, tylko że oto jak na złość brak mi czasu...

Mówił ciągle:

— To się zrobi, to się każe zrobić.

Szczególnie często powtarzał zdanie:

— To mi, wie pan doktor, pasowało... To mi dobrze robiło... Bawiło mi oko, więc kazałem zbudować...

Judymowi ten rodzaj pewności mącił nieco wyrazistość spostrzeżeń. Wiadomą było skądinąd rzeczą, że na przykład przebudowanie gmachów zależało nie tylko od tego, czy administratorowi „dobrze” albo „źle robiły”, ale również od innych przyczyn, głównie zaś od decyzji rady zarządzającej.

Później przekonał się, że jednak taki sposób wyrażania gustów i wpływu tych gustów na bieg spraw Cisowskich — wcale nieźle malował istotny stan rzeczy.

Kasjerem zakładu był pan Listwa, którego Krzywosąd w oczy i za oczy nazywał starym niedołągą albo jeszcze złośliwiej — przedętą fujarą. Pan Listwa był mężem matki Dyzia i ojczymem tego chłopczyka. Niedołągą w ścisłym znaczeniu tego wyrazu, a tym mniej „przedętą fujarą” kasjer cisowski nie był, ale też i do rodu farysów<sup>127</sup> już się nie mógł kwalifikować. W gruncie rzeczy był to człowiek zgipsiały w ciężkich warunkach, a osobliwie w kajdanach małżeństwa. Żona i Dyzio tak urozmaicali życie pana Listwy, że praca w kancelarii zakładu, zimnej i wilgotnej, wysiadywanie tam wśród ksiąg, kwitów, rachunków — była dla niego jedyną wprawdzie, ale za to istotną rozkoszą. Kasjer czuł, że żyje wtedy dopiero, gdy wychodzi z domu. W obrębie progów rodzinnych przypominał coś w guście złamanego parasola: krył się w ciemnych kątach, ustępował z placu i milczał. Mimo tak skromnej postawy był kozłem ofiarnym we wszelkich zatargach z Dyziem, który na wiekowym ojczymie wprawiał się w dowcip. Były chwile, że pan Listwa próbował opozycji. Ale te eksperymenty miały szybko i trafiały się coraz rzadziej. Wszystko sprowadzał do absolutnego poziomu jeden jedyny dźwięk padający z „jej” ust:

— Hipolicie!

## KWIAT TUBEROZY

Poznanie Cisów zajęło Judymowi tyle czasu i tak go absorbowało, że o zwiedzeniu szpitala nie było mowy. Co dnia prawie obijał się o jego uszy ten wyraz: „szpitalik”. Dr Węglichowski kilkakrotnie wspominał mu wśród innych wiadomości:

— Pamiętaj, kochany panie, że masz pod sobą szpitalik...

— Może byśmy go mogli obejrzeć... — gorączkował się Judym.

— Nic pilnego! Poznaj no kolega zakład, tamto rzecz uboczna. Mówię dlatego, że i tamto...

Tak schodziło. Nareszcie pewnego dnia doktor nie mógł wytrzymać. Rozpytywał się detalicznie, gdzie ów szpital się mieści, i poszedł sam, żeby przynajmniej zobaczyć rozmiary i jakość budynku. Nadzieja pracy samoistnej w swoim, niemal własnym szpitalu nęciła jego entuzjazm.

Za bramą parku rozchodziły się pod kątem prostym dwie ogromne aleje lipowe. Jedną z nich przybywało się do Cisów ze świata, od strony kolei — druga prowadziła do

<sup>127</sup>farys — w krajach arabskich zaszczytny tytuł rycerski; tu w znaczeniu: człowiek o szlachetnych ideałach i wyższych dążeniach. [przypis redakcyjny]

pałacu, kościoła i szpitala. Było tej drogi więcej niż wiorsta, drogi szerokiej, ale bagnistej. W chwili kiedy ją Judym przebywał, podsychała już, ale jeszcze tu i ówdzie gładko z wierzchu zmulona i wymyta glina pod nogą rozstępowała się i lgnęła do niej bryłami. Wielkie drzewa stojące nad tą drogą już okrywały się liśćmi; w rowach szumiały strumienie płynnego iltu, szybko z góry biegnące.

W duszy Judyma było takie wesele jak chyba nigdy jeszcze w życiu. Gdy się zbliżał do zabudowań folwarku rozrzuconych na dużej przestrzeni, serce silnie biło mu w piersiach. Wiatr wiosenny owiewał go jakimiś marzeniami, po prostu uczniowskimi. Śniły mu się na jawie zdarzenia, bohaterstwa, szalone operacje i niewysłowione pocałunki czyichś ust pachnących. Z obojętną miną, jak na trzeźwego eskulapa przystało, wyminał kilka domów, mieszkań rządcy, kasjera, ekonoma, i szedł na lewo ku kościołowi, zostawiając po prawej stronie szeroką drogę wjazdową w stronę pałacu.

Obok kościoła świeżo wzniesionego z czerwonej cegły — budowy pięknej, z dwiema strzelistymi wieżami w stylu gotyckim — mieściło się probostwo. Dalej krył się w drzewach znacznie dawniejszy, obszerniejszy dom: szpital.

Judym nie miał zamiaru wchodzić do środka. Pragnął to uczynić w towarzystwie swego zwierzchnika. Poszedł najprzód obejrzeć kościół, który właśnie był otwarty. Brakowało tam jeszcze posadzki, bocznych ołtarzów w nawach, konfesjonałów, malowideł, ławek. Ceglane filary stały w piasku. Tu i ówdzie mieściły się ławy zbite naprędce z tarcic. Tylko w prezbiterium były już stalle rzeźbione. Panowało tam światło różnobarwne, przyćmione przez kolorowe witraże. Właśnie ksiądz odprawiał mszę cichą. Przed głównym ołtarzem stała gromadka ludzi. Judym obszedł lewą nawę i wolno, bez żadnego szelestu, po piasku, który zupełnie tłumił odgłos jego kroków, zbliżył się do prezbiterium. Gdy tam stanął, ujrzał w ławkach kolatorskich trzy swoje znajome paryskie — panny: Natalię, Joannę i Wandę. Z brzegu siedziała panna Natalia. Doktor poznał ją bardziej przez słodkie zemdlenie zmysłów, przez jakiś chłód wewnętrzny ściekający po twarzy i piersiach niż siłą wzroku. Miała na głowie lekki kapelusik, a twarz zasłoniętą woalką barwy rudawordzawej. Tło ciemnych, brązowych tafli rzeźbionego drzewa otaczające jej głowę sprawiało, że wyglądała jak precudny rysunek sangwiną<sup>128</sup>. Ostre, medalowe rysy jej nosa i brody znaczone były w tkaninie woalki, podczas kiedy oczy znać było tylko jak ciemne wgłębienia. Judym przez chwilę miał wzrok do tej głowy wprost przykuty. Nie wiedział, czy ma się uklonić, gdyż nie był pewien, czy go spostrzeżono. Za chwilę dopiero złożył ukłon. Panna Natalia ledwie widocznym ruchem schyliła głowę. Wtedy także oczy Judyma spotkały się z oczami panny Joanny i oddały sobie w przelotnym błysku przywitanie dusz młodych i czystych, tułających się na ziemi we wzajemnej tęsknocie. Twarz panny Joanny pełna była uśmiechów, pomimo że oczy i wargi jej starały się nie wyrażać ich szczerze.

Nabożeństwo skończyło się wkrótce i garstka mieszczek gwarząc opuszczała kościół. Doktor szedł pospołu z tłumem, aby nie było śladu, że czeka na wyjście panien. Ale za drzwiami kościoła krążył to tu, to tam, niby dla poznania architektury pięknej świątyni. Gdy tak stał z głową zadartą obserwując kamienne łuki, otworzyły się boczne drzwiczki prowadzące do zakrystii i wyszedł tamtędy ksiądz jeszcze młody, który dopiero co mszę odprawił, a z nim trzy panny.

Nastąpiło spotkanie. Doktor przywitał panienki i przedstawił się księdzu. Ten wziął go wnet pod ramię i wszczął miłą rozmowę, pełną życzliwości i smaku. Był to księżyna zażywny, z oczami siejącymi blask wesoły, z ustami do śmiechu. Ledwie kilka srebrnych włosów płątało się w jego bujnej czuprynie, a czerstwa twarz sprzeczała się nawet z tymi nitkami.

— Kto nogą stąpił na księżę terytorium, ten idzie do księdza na śniadanie! — zawyrokował młody pleban.

— Z wyjątkiem panien! — protestowała panna Podborska.

— Bez żadnych wyjątków. Ksiądz, panna i anioł trzeci — to rodzone dzieci. Zresztą ja tu rozkazuję, nie jakieś tam młode panny. A to mi się podoba! Nieprawdaż, doktorze?

— A, skoro takie prawo... Muszą się panie poddać.

<sup>128</sup> *sangwina* — kredka czerwono-brunatna. [przypis redakcyjny]

— No? I cóż teraz? Ksiądz i doktor, to jest, źle mówię, doktor i ksiądz zdecydowali, więc już jesteśmy na plebanii... — mówił proboszcz otwierając furtkę w nowym murze, który otaczał cmentarz kościelny.

W dużych, wygodnie umeblowanych pokojach księzego mieszkania pełno było kwiatów, obrazów (oleodruków), pism, ilustracji. W sali jadalnej mieściła się szafka z wydawnictwami dla ludu, w ustronnym gabinecie leżały na stole pisma tygodniowe, miesięczne, gazety i stała spora biblioteka. Ksiądz bawił gości swym jowialnym humorem, który wszakże usiłował być humorem lepszego tonu, i dopytywał się u zgrabnej gospodyni o śniadanie. Wkrótce je podano. Proboszcz znał już historię paryską dziewczyc i doktora. Ciekawy był przede wszystkim drogi do Lourdes, wybierał się tam bowiem od lat kilku. Panny egzaminowały go, czy duże zrobił postępy w języku francuskim. Przy końcu śniadania proboszcz wywołał Judyma do gabinetu na papierosa, a dziewczyc przeglądają tymczasem w salonie świeże pisma. Okna gabinetu wychodziły na drogę lipową. Proboszcz mówił żywo i tak rozumnie, że Judym co chwila myślał: „Patrzajcież jaki to mądry i jaki miły *pomidorek*...”

Ksiądz z ciekawością pytał się doktora o różne rzeczy wielkowiejskie, gdy wtem rzucił okiem na drogę i skrzywił się brzydko. Tą drogą szedł właśnie prędkim krokiem młody człowiek w eleganckim demi-sezoniku<sup>129</sup> i jasnym kapeluszu. Dr Tomasz poznał w zbliżającym się młodzieńcu kuracjusza, którego był widział jadącego konno w dniu swego przybycia do Cisów, a później dostrzegł przy ogólnym stole w zakładzie. Nazwiska nie pamiętał, więc spytał o nie księdza.

— A to jest pan Karbowski, wasz przecie kuracjusz. Choć taki on chory, jak ja ap-  
tekarz!

— Dlaczegoż to?

— Widzi pan... to jest łobuzina. Pochodzi, jak mówią, z bardzo dobrego rodu, odziedziczył po ojcu majątek — no i puścił go we dwa lata, ale to co do gronia. Bywał w Monte Carlo, w Monaco, w Paryżu, gdzie kto chce. Gra w karty, ale to nie tak po naszemu, tylko z premedytacją. W tym sęk!...

— Nie spostrzegłem...

— No, to doktor jeszcze zdąży. W sezonie, co tylko przyjedzie bogatszego, a z fiu fiu w główce, młodzież złotą, a nawet rozmaite damule, ogrywa tak, że z płaczem wyjeżdżają. Z tego żyje.

— Czyż tu bywają tacy?

— Bagatela! Ten pan Karbowski — ho-ho... Zimą, gdy się urwie kompania bogatsza, siedzi jak suseł. Czasem wyjedzie, znowu wraca... Gdy go nędza przycisnie, pożyczka od lokajów, od kąpielowych, od Żydków, felczerów, od każdego, kto na placu. Mówię dlatego, że i doktora nie ominie.

— Ech, ode mnie trudno pożyczyć, szczególnie w tym czasie... — zaśmiał się Judym.

— No, no... Straciłem do niego serce, bo umie oszwać biednego człowieka. Przychodzi, dajmy na to, do falczera, który przez sezon uskładał sobie pewną sumkę, i prosi go o zmianę dwudziestu pięciu rubli. Głupi Figaro<sup>130</sup> zachwycony poufałością „takiego pana” wywleka z szuflady rubeliansy i rozkłada na stoliku. Ten zgarnia to do pugilaresu, później udaje, że zapomniał wziąć ze sobą dwudziestopięciorublowego papierka, i każe felczerowi przyjść do hotelu. Zajdziesz, mówi, to sobie weźmiesz, bo mi się teraz nie chce lecieć po pieniądze — idę akurat do zamku... Lokaje nauczeni nie dopuszczają golibrody do „pana hrabiego”, a on tymczasem rżnie w karty licząc na to, że wygra owe dwadzieścia pięć rubli i odda.

— Ale czy oddaje przynajmniej?

— Dziś jeszcze oddaje, gdy go nacisnąć. Ale co zrobi jutro? Za numer w hotelu nie płaci chyba od roku. A zresztą teraz on tu ma co innego na myśli.

Gdy to dobrodziej mówił, dało się słyszeć lekkie stukanie we drzwi prowadzące z przedpokoju do salonu. Ksiądz coś mruknął i wyszedł pociągając za sobą doktora. W drzwiach przeciwnych stał ów pan Karbowski.

<sup>129</sup>demi-sezonik — płaszcz wiosenny. [przypis redakcyjny]

<sup>130</sup>Figaro — bohater komedii Beaumarchais'go (1732–1799) *Cyrulik sewilski* i *Wesele Figara*; w przeciwieństwie do wspomnianego felczera, literacki Figaro odznaczał się sprytem i inteligencją. [przypis redakcyjny]

Był to wysmukły, blade brunet. Małeńki, nie podkreślony wąs ocieniał jego czerwone wargi. Ciemne, mgliste oczy zdawały się nie widzieć nikogo w pokoju. Gładko od lewego kąta czoła przyczesane włosy harmonizowały z całą osobą pełną szczególnego czaru. Modny smoking leżał na nim i uwydatniał zgrabność powolnych ruchów. Karbowski przywitał młode panienki ogólnym ukłonem, ksiądz cmoknął w ramię. Judymowi z miłym skinieniem głowy podał rękę i usiadł obok panny Wandy, a naprzeciwko Natalii.

Ta od chwili wejścia do salki młodego człowieka była blada jak papier. Usta jej przykneły się w sposób szczególny, jakby miała za chwilę wybuchnąć płaczem, a cała twarz stała się tak piękna, że niepodobna było oczu oderwać. Karbowski mówił do panny Joanny o książce, którą ta trzymała w ręku.

W czasie tej rozmowy pewnym, jakby ociężałym ruchem uchyliły się jego powieki i oszalałe, bezmyślne, dzikie z miłości oczy wlepiły się w twarz panny Natalii. Ona także nie miała już siły ukrywać wyrazu swoich. Panna Joanna pełna trwogi i wzburzenia mówiła żywo do Karbowskiego, ale słowa jej płątały się i więzły w gardle. On pytał się, uśmiechał, rozumował, z pozoru sądząc, trzeźwo i chłodno, ale tylko na przelotne i bolesne chwile odrywał wzrok od tamtej. Mówił wolno i dźwiękami tak widocznie obcymi jego mowie, że wydawały się nie tylko jemu, ale i wszystkim przytomnym czymś dalekim i kłamanym.

— Pan długo jeszcze zabawi w Cisach? — zapytała go panna Natalia.

— Tak, jeszcze dosyć długo. Nie wiem... Może umrę... — rzekł z uśmiechem prawdziwie śmiertelnym.

— Umrze... pan? — szepnęła.

— Tak długo, tak dawno... tu lecę się bezskutecznie... Straciłem nadzieję.

— Może by panu jaki inny kurort pomógł... — wtrącił ksiądz oglądając swe paznokcie.

Karbowski musnął wąsika i przelotnie dotknął proboszcza spojrzeniem, które, zdaje się, mogłoby zabić. W tej chwili rzekł jak gdyby do siebie:

— Ach, tyle czasu... Tak, tak... Ksiądz proboszcz ma rację, inny kurort... Może być, że pojedę.

— Kiedy? — zapytała znowu panna Natalia.

Po tym słowie niewinnym panna Joanna drgnęła i wstała ze swego miejsca.

— Jedźmy już! — rzekła do towarzyszek — babunia będzie niespokojna.

Panna Natalia udawała, że nie słyszy tych wyrazów, tylko źrenice jej zaszklily się białym blaskiem okrutnego gniewu jak żywe srebro. Panna Wanda, która przerzuciła ułożone z całego roku numery jakiejś ilustracji, podniosła głowę i zapytała:

— Więc jedziemy?

Nikt nie odpowiadał. Ksiądz siedział przy osobnym stoliku i bębnił weń palcami. Oczy jego patrzyły w przestrzeń, a wargi były odęte. Taki wyraz twarzy nie zdradzał wcale zadowolenia z wizyty pana Karbowskiego ani z toku rozmowy. Ale panna Natalia i Karbowski tego nie widzieli. Było rzeczą jasną, że chodziło im o wyzyskanie tych sekund *per fas et nefas*<sup>131</sup>, o napatrzenie się sobie wzajem w oczy, o przypomnienie w uśmiechach i dźwięku słów obojętnych, mórz bezdennych tęsknoty. Słowa płynące z ust młodego człowieka panna Natalia witała dziwnymi, pełnymi boskiego wdzięku ruchami warg i nozdrzy, jakby czuła zapach każdego wyrazu i na każdym niby na różę przysłanej składała pocałunek.

Panna Joanna żegnała się z proboszczem. Za jej przykładem uczyniły to obydwie towarzyszki. Gdy nadeszła kolej pożegnania Judyma i panna Natalia stanęła przed nim, ujrzała jej srogie oczy skamieniałe z żalu, a jednak wydające jak gdyby krzyk rozpacz. Przez chwilę myślał, że oddałby życie, gdyby te oczy jedną godzinę tak za nim tęskniły... Ale zahuczał w duszy jego diabelski śmiech i coś złamało się wśród głuchego bólu.

Obydwa z Karbowskim wyszli jednocześnie z probostwa.

Przed gankiem stał lekki odkryty wolant, do którego wsiadły wszystkie trzy panny. Konie szybko z miejsca ruszyły...

Panna Natalia nie obejrzała się ani razu. Za to Karbowski patrzył w stronę oddalającego się pojazdu wtedy nawet, gdy ten znikł już na skrócie alei. Oczy jego miały wyraz dziwnej sennałości, a twarz była skrzywiona cierpieniem, którego nie mogła pokryć ani maska dumy, ani uśmiech towarzyski.

<sup>131</sup>*per fas et nefas* (łac.) — godziwym i niegodziwym sposobem. [przypis redakcyjny]

Judym zazdrościł temu młodzieńcowi wszystkiego, nawet cierpień, jakich tamten doświadczał. Tą samą drogą szedł przed godziną z sercem pełnym ognia. Rwał się do pracy w szpitalu, silnie pragnął przynajmniej ujrzeć mury tego budynku, gdzie będzie kładł duszę w twardą pracę lekarską, a oto teraz cały ów szpital tak nie istniał dla niego, jakby się w ziemię zapadł. Co więcej, aspiracje odczuwane przed godziną wydawały mu się w owej chwili jak coś głupiego do absurdu, jak coś z nie istniejącej krainy dubów smalonych. Rzeczywistością było to, że panna Natalia jest zakochana w Karbowskim.

Judym przypatrywał się z ukosa postaci tego franta, jego ruchom, gestom, z natury i wystudiowania zgrabnym i w smutku tak bezbrzeżnym, jego ubraniu pełnemu smaku i elegancji. Nie byłby pewno wyznał tego przed nikim ani nawet przed sobą, ale czuł to, że całe życie, wszystkie wysiłki, plany, dążenia, jest to jedno wielkie głupstwo w stosunku do życia Karbowskiego. Po cóż to wszystko? Po co zabiegi, idee, trudy? Czyliż Karbowski nie zrozumiał życia tak, jak je rozumieć należy? Być człowiekiem pięknym, wykwiintnym i dla tych przymiotów być kochanym przez najcudowniejsze zjawisko ziemi, przez taką pannę Orszeńską. Wszystko w Karbowskim zdało się Judymowi doskonałym i logicznym, nawet jego karciarstwo i szacherki. Nie przywiązywał do tego wszystkiego wagi, jak nie przywiązujemy wagi do niczego oprócz piękności patrząc na tajemniczy kwiat tuborezy.

„Przecie — myślał Judym — taki kwiat jest owocem Bóg wie jakich trudów, wydatków, zachodów, jest bezużyteczny i szkodliwy, gdy go porównać ze źdźbłem tymotejki, kłosem żyta albo kwiatem koniczyny, a przecież komuż by przyszło do głowy deptać go za to nogami...”

Z głębi duszy młodego lekarza wychylił się znowu żal gorzki i nienasycona zazdrość, czemu i on, czemu i ona...

Szlachcic, Zazdrość

## PRZYJDŹ

Burza już przeszła... Zdawało się, że wszystko ucicha, gdy wtem zaczynały trzepać nowe bicze kropel ogromnych, ciężkich, sznurem idących na ziemię. Wzdłuż ścieżek wypukłych, rumianych od starej cegły, płynęła bez ustanku lśniąca woda. Po placach nieco głębszych stały jeziora pełne baniek szklanych a wzdętych jakby przez usta swawolnych dzieci. W cieniu kasztanów chowały się zielone smugi, a w nich widać było pnie wywrócone. W górze, między ogromnymi kępami wierzchołków jaśniał wyimek nieba o tle pozłocistym, świecącym niby owe niebiosy, które oglądać można w ołtarzach kościołów wiejskich. Po nim pędziły kłęby chmur pierzastych, rozwianych, cienkich, fioletowych, tak prędko jak dymy. Co chwila odzywał się jeszcze grom daleki, grom wiosenny...

Deszcz, Żywioty

Najbliżej stała akacja o pniu grubym i czarnym a gałęziach jakby wykręconych z żelaza. Te potworne konary roztrącały zasłonę delikatnych, jasnych liści. Z cieniów starego muru biły w górę tysiączne gałązki młodych akacji, które jeszcze krzewem być nie przestały. Młode pędy osnute żywymi liśćmi, a na samych końcach maleńkimi ich śladami, wyciągały się ku chmurom, gdyby pieszczone ręce dziewicze, których dotąd słońce nie skalało. Czasami przylatał<sup>132</sup> wiatr, rozbijał ten krzew lekko, równo, cicho — i wtedy cudowne strofy liści kołysały się w ciepłym, wilgotnym powietrzu sennymi akordami niby muzyka, która oniemiała i, przybrawszy na się kształt tak przedziwny, zastygła.

Drzewo

Judym siedział u otwartego okna w swoim mieszkaniu. Płonął od głębokiej radości. W pewnych sekundach wznosiły się w jego sercu jakieś tchnienia uczuć podobne do tych, co kołysały wierzchołki drzew. Wówczas na jego usta wybiegały dźwięki pieszczotliwe a zapalające, jakby z ognia. Mówił nimi do drzew wielkich, do młodych krzewów, do jaskółek szybujących wysoko nad szczytami po świetlistej otchłani. Tajemnicza radość pociągała wzrok jego ku końcowi alei, a serce ulatywało z głębi piersi jak zapach. Na coś niesłychanego czekał, na przyjście czyjeś...

## ZWIERZENIA

17 października.

Dziecko, Praca, Robotnik

<sup>132</sup>przylatał — dziś popr.: przylatywał [przypis edytorski]



Dziś rocznica mego przyjazdu do Warszawy. Więc to już sześć lat upłynęło! Sześć lat! Ogromny tydzień mojego wieku. Wtedy miałam siedemnaście, dziś już dwadzieścia trzy „wiosny”. Jeżeli porównać tamtą Joasię z dzisiejszą — jakież to deficyt! Joasiu, Joasiu...

Postanowiłam pisać dziennik na nowo, a raczej wskrzesić z martwych dawny. Uczyla nas przecie wszystkie tej sztuki Stacha Bozowska<sup>133</sup>. Ona pierwsza w Kielcach pisała dziennik umiejętny, to jest dziennik szczerych uczuć i „prawdziwych” myśli.

Biedna po stokroć Staszka... W jednym z ostatnich listów pisała do mnie: „Właściwie byłam w tym życiu uzdolnioną autorką mojego dziennika — i niczym więcej. Teraz napaliłam w moim szkolnym piecu trzynastoma księgami oprawionymi w grubą tekturę i czarne, zrudziałe sukno. Żegnaj, dzienniku...”

Źle zrobiła! Dlaczegoż tępic zwierzenia, które nikomu wadzić nie mogą, a dla nas samotnic zastępują (wielki Boże!) kochanków, mężów, braci, siostry i przyjaciółki? Nie — będę pisała w dalszym ciągu! Czuję do tego nałóg taki, jak np. mężczyźni do palenia tytoniu. Pod wpływem szyderstw frazesowicza S. przestałam pisać, a teraz niewymownie żałuję. Odmawiałam sobie przyjemności przez lat sześć — i dlaczego? Dlatego, że S. na ten temat dowcipkował? Mniejsza zresztą...

Ileż to zmian! Henryk w Zurychu, Wacława nie ma, Staszka już dawno w grobie... A u mnie? Ileż to zmian!

Jak dziś pamiętam tę noc ostatnią, gdy przyszedł telegram od pani W. W ciągu czterech godzin zdecydowałam się opuścić Kielce, jechać do Warszawy — i pojechałam. Telegram brzmiał (umiem na pamięć te słowa): „Miejsce u Predygiarów jest. Przyjeżdżać niezwłocznie. W.”

Ach, ten dzień, ten popłoch! Zbieranie rzeczy, bielizny, drobiazgów, szybko, szybko, drżącymi rękoma, wśród łez i wybuchów odwagi... Pocziwa pani Falikowska „użycza” mi pieniędzy na drogę — i wyjazd! Głęboka, ciemna noc w jesieni... Jak to wówczas dorożka dudniła w pustych ulicach kieleckich, jakie dziwne wywoływała echa i wrzaski między ścianami starych kamienic! Sama jazda koleją była to już czynność co się zowie. Pod sekretem mówiąc, przecie to pierwszy raz jechałam wówczas „koleją żelazną”. Pierwszy raz — i prosto w świat! Nie zmrzyłam oka, tylko z głową wspartą o deski wagonu marzyłam bojaźliwie o życiu. Tyle akurat o nim wiedziałam, co człowiek idący do lekarza pod naciskiem nękających go a zagadkowych cierpień. Jak on nic nie wie o istocie samej choroby, nie rozumie, co ona jest, co z niej może wyniknąć, dokąd rzuci jego ciało, losy, myśli, uczucia — i tylko marzy ostrymi a przebiegłymi wiedzeniami, usiłując wszystko zrozumieć — tak samo ja wtedy... Walałam w życie z kapitałem składającym się: z biletu kolejowego, z tobołka rzeczy, pięciu złotych „grosza gotowego”, no i z telegramu pani W. Za sobą zostawiałam dwu braci, ciotkę Ludwikę, która (w braku kogoś bardziej odpowiedniego) zastąpiła mi matkę, gdym „uczęszczała” do gimnazjum, która dzieliła się ze mną małym kawałeczkiem swego chleba — i chyba nic więcej... Ach, nie, nie „nic więcej”! Kochałam Kielce, różne tam osoby, braci, Wacka i Henryka, Dąbrowskich, Multanowiczów, Karczówkę, Kadzielnę<sup>134</sup> — i tak w ogóle wszystkich. W tych latach tak łatwo człowiek właśnie wszystko miłuje! Cóż dopiero Kielce! Tej nocy w wagonie było mi tak żal! Koła uderzające o szyny wołały na mnie okrutnymi słowami. Zgrzyty ich kruszyły mą wolę i siłę na jakąś mgłą trwogi. Przypominam sobie te chwile przestachu, kiedy nim jak płomieniem objęta postanawiałam wysiąść na pierwszej stacji i wrócić. Wrócić, wrócić! Ale wagon mój rwał w nocy jesiennej wskroś jakichś miejscowości ponurych i żelazną, dziką mocą swoją precz mię unosił od wszystkiego, com czule kochała. Zresztą, czyż mogłam? Wrócić do biednej ciotki utrzymującej stancję uczniowską? Mieszkać znowu w nędznej, ciemnej i ciasnej izdebce! Sypiać na starej kanapie, wśród zaduchu sosów, wśród wiecznego deficytu ciotycznego, trosk o masło i żalów na drożyznę kartofli, ach, i wśród afektów ósmoklasistów, zepsutych, niemądrych i rozpróżniaczonych? Nie mogłam, żadną miarą nie mogłam...

Zresztą musiałam przecie, według ślubu tak solennie złożonego u świętej Trójcy,

<sup>133</sup>Stacha Bozowska — bohaterka noweli Żeromskiego *Silaczka*; typ nauczycielki-społeczniczki, niezłomnej idealistki. [przypis redakcyjny]

<sup>134</sup>Karczówka, Kadzielnia — góry w pobliżu Kielc. [przypis redakcyjny]

przygotować drogi dla Wacława, który był wówczas w siódmej klasie, pomagać Henrykowi. Dawne, dawne dzieje...

Ranek dnia przy końcu jesieni, ranek chory i jakby splakany, gdy drżąca z zimna i (powiedzmy szczerze, co tam!) — ze strachu, trzęsłam się jednokonną dryndulą do pani W. Przybywam, trafiam na tę uliczkę Bednarską, co niby jakaś figura czy bestia wila się w moich uczuciach — i wkrótce idziemy we dwie z panią Celiną do Predygierów. Mijam ulice, które pierwszy raz widziane w taki dzień (przez oczy struchlałe z niedołęstwa) są zimne, obmokłe, niegościnnie, niby owa „skorupa”, w której „plywa jakiś płaz”...<sup>135</sup> Wchodzimy. Zmierzone jak łokciem okiem lokajskim, wyczekujemy w pysznym gabinecie. Po długim udręczeniu słyszę wreszcie jedwabny szelest sukien. Ach, ten jedwabny szelest sukien...

Ukazuje się pani Predygierowa. Nos wprawdzie żydowski, ale za to spojrzenie arystokratyczne, całkowicie według wzorów sarmackich. Mówimy o mnie, o moim patencie, o tym, co mam wykładać Wandzie, mojej przyszłej uczennicy, wreszcie przerzucamy się mimo woli z języka polskiego we francuski. Koniec końców — pytanie: ile żądam miesięcznej pensji? Minuta wahania się. Później ja, kielczanka, zdobywam się na heroizm i własnym uszom nie wierząc wygłaszam maksymalną cyfrę, jaka kiedykolwiek powstała w mojej imaginacji: piętnaście rubli.

Pokój osobny, utrzymanie całkowite i piętnaście rubli miesięcznie! Czy słyszycie wy, które oświecacie głupie dzieci między rogatkami biskupiej stolicy?

Pani Predygierowa nie tylko się zgadza, ale „z chęcią”... Tej samej nocy już spałam w zacisznym pokoiku od ulicy Długiej. Niech będzie błogosławiony rok, który tam przeżyłam! Nie znająca Warszawy tak dalece, że mogłam pod tym względem z artyzmem reprezentować ciele (gdyby Warszawę porównać do wrót malowanych), wzorowo siedziałam w domu, pracowałam nad Wandą i czytałam. „Biblioteka pana Predygiera stała przede mną otworem”... Nigdy w życiu, ani przedtem, ani potem tyle książek nie wchłonęłam. Czegóż to wówczas nie miałam w ręku! Ale co tam! Byłam wówczas dobra jak cukier lodowaty... „W tym rzecz!” — jak mówił zacny pan Multanowicz. Kochałam Wandzię, moją uczennicę, kochałam ją szczerze jak rodzoną młodszą siostrzyczkę. Kochałam nawet panią Predygierową, choć była względem mnie zawsze twarda, wyniosła i z góry wielkością olśniewająca jak latarnia gazowa. Byłabym może szerokim sercem miłowała i pana Predygiera, gdyby nie to, że był bogatym, niezrozumiałym, obrzydliwym, tłustym mężczyzną, w którego oczach widziałam przez cały rok tylko dwa uczucia: albo chytrość, albo tryumf. Stopniowo wszystkie afekta zgasły. Nie zakwitła w tamtym mieszkaniu między mną i tymi ludźmi nawet przyjaźń, nawet życzliwość. Dziś już wiem, że nie ma w tym nic dziwnego... Bo czyliż najnędnniejszy ze wszystkich, najlichszy kwiatusek może się rozwinąć w lodowni?

Pamiętam moją pierwszą bytność w teatrze, na koncercie „Lutni”<sup>136</sup>, na odczytach. Dziś tylko słabą reminiscencją poznaję te uroczę, prawie mistyczne wzruszenia, kiedy zobaczyłam na scenie... *Mazepę*. Gdy usłyszała świetnych aktorów głoszących cudowne wiersze Słowackiego, które umiałam na pamięć, „moje” wiersze... Wówczas także los dał mi możliwość „ujrzenia” kilku literatów, których miałam w prostactwie moim, z miasta Kielc importowanym, za wiodących ród swój od Apollina. Później, ale dopiero później, przekonałam się, że daleko częściej wywieść by się mogli od Bachusa i Merkurego. Teraz już wiem, że talent to w większości wypadków — torba, czasem cennych klejnotów pełna, którą na plecach nosi z przypadku byle *facet*, a nieraz byle rzezimieszek. Wtedy! Ta groza wielka, kiedy wchodziłam do pokoju, gdzie zaproszony przez pana Predygiera na pieczęć siedział on, sam on...

Ale swoją drogą... I dziś jeszcze tak bym pragnęła zobaczyć z jakiegoś kącika: Tolstoją, Ibsena, Zolę, Hauptmanna. Chciałabym także słyszeć mówiących: Przybyszewskiego, Sieroszewskiego, Tetmajera i jednego tylko *icza* (rozumie się — Witkiewicza<sup>137</sup>).

<sup>135</sup> „skorupa”, w której „plywa jakiś płaz”: — aluzja do tekstu *Ody do młodości* Mickiewicza: „Patrz, jak nad jej wody trupie Wzbil się jakiś płaz w skorupie. [przypis redakcyjny]

<sup>136</sup> „Lutnia” — warszawskie towarzystwo śpiewacze, założone w 1887 r. przez Piotra Maszyńskiego. [przypis redakcyjny]

<sup>137</sup> Stanisław Witkiewicz (1851–1915) — malarz, krytyk artystyczny (zwolennik realizmu), publicysta; Żeromski poznał go w Zakopanem w r. 1892. [przypis redakcyjny]

Miasto

Sluga

Szlachcic, Żyd

Praca

Miasto

Młodość

Od tych wielkich wołę dziś świat, z którym zetknęłam się tutaj. Ten, co mię najmniej rozczarował, środowisko czujące bez afektacji, nasze „matki-panny”, ludzie pokornego serca, o wykrzywionych butach i zrudziałych mantylach. Zdawało mi się niegdyś, że świat z nich się składa. Reszta, sądziłam, są to czasowo zaniedbani, którzy otrzymawszy prawdę zwrócą się ku niej i zaczną nowe życie.

Utwierdzały mię w tych rojeniach listy Staszki Bozowskiej pisane z zapadłej dziury, dokąd pojechała. Te listy było to nic więcej tylko wzniosłe nieprawdy, obcowanie dusz łatwo wiernych. Dziś oto już Staszka umarła. Ja mam łez pełne serce i oczy...

18 października.

Kiedy zaczęłam pisać, chciałoby się uprzytomnić sobie i to, i tamto. Tyle nasuwa się szczegółów, tyle osób, zdarzeń i uczuć. Wszystko to nie daje się objąć i złączyć, rozpierzcha się jak żywe srebro i leci w swoje strony. Takie jest nasze życie: ruchliwe, prędkie, bez steru...

Myślałam dziś w nocy o Waclawie i znowu mam ten ucisk serca. Jest to rzeczywiście jakaś szydercza fatalność: Henryk, który został wyrzucony z szóstej klasy, siedzi w Zurychu, chodzi sobie na „filozofię” i ma się dobrze, a Wacek, który opuścił gimnazjum ze srebrnym medalem, świetnie pracował tutaj na przyrodzie, był przez wszystkich poważany — tak bezużytecznie skończył. Potworna jest logika tych faktów. Ciotka Ludwika rzekłaby pewno: „To wszystko dlatego, że jesteście za mało religijni...”

Często mi się zdaje, że ludzie mają jakieś ukryte podobieństwo ze zwierzętami: osobniki wyróżniające się prześladowają jednomyślnie, a bez porozumienia między sobą, jakimś odruchem stadowym.

24 października.

Byłam w teatrze. Grano *Nauczycielkę*<sup>138</sup>, utwór wyróżniony przez gremium krytyków. Dziwi mię, dlaczego autor przedstawia swą heroinę jako uwiedzioną, kiedy takie fakty nie mają chyba miejsca. Prawda życiowa jest z pewnością brutalna. Wiem np., jakich tentacji<sup>139</sup> doświadczała Hela R. albo panna Franciszka W. Cnotliwi mężowie spod pantofla są w tych szrankach stokroć bystrzejsi od kawalerów. Guwernantki bywają mądre albo głupie, złe albo dobre, brzydkie albo ładne, ale wszystkie muszą być pod tym względem bez zarzutu. Może cudzoziemki — tego nie wiem. Tam zachód podobno łatwiej się oplaca. Ale żywioł miejscowy...

Guwernantka, jako istota obca, zazwyczaj społecznie niższa, jest ciągle na cenzurowanym. Gdyby dała tylko powód do wzmianki — już po niej! Cenzura może być łaskawą, nawet życzliwą, nawet pochlebną, ale nie ustaje nigdy. Przy tym już to samo, że się zajmuje stanowisko trudne i niższe, a jest się częstokroć znacznie wyżej — tworzy i udelikatnia uczucie dumy, szlachetne uczucie, które jak kij służy do podparcia w chwili znużenia i do obrony przed wrogiem. Ono samo już jest hamulcem niemalym, kto wie, może całkowicie wystarczającym.

26 października.

Czytam Ludwikę Ackermann<sup>140</sup>. Ona mówi w pewnym miejscu, że kobieta pisząca poezję jest śmieszna. Zdaje mi się, że ma rację. Dlaczego?

Poezja jest to szczerzy głos duszy ludzkiej, wybuch pewnej formy namiętności. Ten rzut ducha musi być walką o rzeczy nowe, głoszeniem tajemnic nieznanych.

Kobieta dotychczas za twórcę uważać się nie ma prawa. Śmieszna jest, gdy przeoczy całą, a tak ogromną wyrwę, która ją dzieli od człowieka szczerzego. Jakież to nowe prawdy duszy kobiecej jej poezja zawiera? Tylko miłość (notabene męską). Czasami wrzask rokосу, to jest czegoś przejściowego, co raczej uboży, niż z bogaca...

Dość często bunt o prawo głoszenia tego, co już zostało powiedziane przez mężczyzn. Najczęściej zaś obłudę albo pięknie, ciekawie, zagadkowo (dla mężczyzn) czujące niedołęstwo miłosne. Wszystkie prawdziwe poetki osobistość swoją rzeczywistą zоста-

Idealista, Nauczyciel,  
Nauczycielka, Społecznik

Brat, Rodzina

Nauczycielka

Poeta, Poetka

Kobieta, Mężczyzna

<sup>138</sup>*Nauczycielka* — sztuka Władysława Koziębrodzkiego (1839–1893), drugorzędny komediopisarza i publicysty. [przypis redakcyjny]

<sup>139</sup>*tentacja* — pokusa. [przypis redakcyjny]

<sup>140</sup>Ludwika Ackermann (1813–1890) — poetka francuska; utwory jej przesycane były filozoficzną refleksją o pesymistycznym zabarwieniu. [przypis redakcyjny]

wiają w cieniu (np. Ada Negri<sup>141</sup>). Jeżeli Safo<sup>142</sup> nowoczesna chce mówić zrozumiale jako człowiek, musi mówić jak mężczyzna.

W rzeczywistości wszystkie te same uczucia ona posiada, może nawet serce jej zawiera ich więcej i daleko subtelniejszych, ale nie może ich, nie śmie wyrazić szczerze. Myśli jej biegną odmiennym łożyskiem, mianowicie są czystsze, a raczej nie tak brutalnie zmysłowe, namiętności zaś zgoła inne, wcale nie takie, jak je przedstawiają dzisiejsi autorowie, i to nie tylko mężczyźni, ale i kobiety. Mężczyźni wszyscy są zmysłowi w sposób ohydny, na przykład, dla młodego dziewczęcia. Tak się malują w sztuce, którą stworzyli. I tacy są naiwni w tej swojej zwierzęcości, że litować by się trzeba nad nimi jak nad małymi dziećmi. Co tylko w ich sąsiedztwie „caca”, to zaraz do buzi! Nie uważają sobie wcale za obowiązek z większą ostrożnością wyrażać swych brutalstw, choćby przez grzeczność, przez wzgląd, że może „pleć słaba” inaczej to samo czuje...

Wszystko zaś, co w wielkiej sztuce mogłoby wyjść od kobiet (rozumie się: równie silnego), dotychczas przynajmniej, musi się wpierw ukształtować na modłę męską. Toteż można czasami czytać utwory pisane przez kobiety i malujące niby to uczucia niewieście, utwory skłamate świadomie od a do z. Jest to kokietowanie przez damy rodzaju męskiego za pośrednictwem literatury. Mężczyźni tymczasem doskonale bronią swego stroju i potępiają wszelkie próby wyodrębnienia się duszy odmiernej i nowego, jeszcze nie znanego rodzaju sztuki wraz z jej bezgraniczną sferą tajemnych sposobów. Panowie świata musieliby ulec nowej, z gruntu *inkaszej* krytyce, co nie mogłoby być mile. Toteż sądy dzisiejsze w tej dziedzinie nie tylko mężczyzn, ale w ich szkole wychowanej masy kobiet, bardzo są zbliżone do pojęć Indusów, którzy uważali białogłową za nieczystą, gdyż... bywa taką czasami. Jedno i drugie nie od jej woli zależy, ale traktowane jest z prostotą prawdziwie indyjską jako fakt, który sam w sobie jest rozważany.

Czyliż mężczyźni uczuć najbardziej wzniosłych, poeci, szanują w kobietach ducha ludzkiego? Wydaje mi się, że nie. Oni uwielbiają piękną istotę, o ile jest skarbnicą własności dla nich rozkosznych, chociaż posiadanie tych cnót nie może być liczone na karb jej zasług. Najbardziej zawsze sławiony był typ kobiety wywierającej jakiś wpływ demoniczny. Może mniej, ale szczerze i ślicznie wychwalano dusze czyste, cierpiące bez skargi, słodkie istoty, które nie myślą bronić się ani mścić, jak Ofelia. Istoty korzystającej z praw do szczęścia osobistego, użytkującej z sił przyrodzonych ducha i zdolności umysłu — prawie nie ma. Daleko łatwiej znaleźć w literaturze szlachetne dążenie mężczyzn do rehabilitacji kobiety winnej niż oddanie praw i szacunku pokrzywdzonej. To drugie nie jest ani sielanką, ani tragedią, więc nie może budzić „estetycznego” wrażenia. Dopiero Ibsen<sup>143</sup>, nieśmiertelny prawdomówca, ten, co postacią Jadwigi w *Dzikiej kaczce* śmieje się jak szatan, jak nieczłowiek z kultury ludzkiej — zaczął przezierać istotę rzeczy. Ale i on nie może się powstrzymać od hołdowania prawom kierowniczym sentymentu męskiego. Istotna poezja kobieca drgała może, ale w pieśni niewolnicy, gdy na tarasie rzymskiego magnata, wobec tłumy rozwalonych patrycjuszów musiała śpiewać dla ich zabawy pieśń swego kraju...

My jej nie znamy. Kiedy się wmyślam w ten śpiew i chcę go odgadnąć, zda mi się czasami, jakbym słyszała go gdzieś za czwartą ścianą. Niekiedy sięga do mego serca i wówczas przez cały dzień słyszę w sobie dźwięk tych strun szarpanych w boleści przez zakrwawione palce. Wtedy poetka mówiła prawdę: „Oto jest, co ja czuję! To jest w mym sercu! Wszystko mi jedno, co powiesz o mojej pieśni. Ja sobie samej, sobie jedynej śpiewam...”

Ale dziś... I dziś istnieje ten sam płacz kobiety oszukanej, sprzedanej przez rodzinę niewolnicy męzowskiej, która kocha innego, upadłej i wzgardzonej przez obłudną cnotliwość gromady. Istnieją marzenia zakochanej niewinnie i namiętnie, tej, co poczęła i pod sercem nosi dziecko... Cóż znowu! Takich dźwięków nie można wydobywać z „liry”! Byłoby to niemoralne, szerzyłoby zepsucie...

Małżeństwo, Miłość  
tragiczna, Niewola

<sup>141</sup>Ada Negri (1870–1945) — poetka włoska, autorka wierszy o tematyce społecznej. [przypis redakcyjny]

<sup>142</sup>Safo — wielka grecka poetka liryczna z VI w. p.n.e. [przypis redakcyjny]

<sup>143</sup>Henryk Ibsen (1828–1906) — wybitny norweski pisarz, sławny twórca dramatów (*Nora*, *Upiory*, *Wróg ludu*, *Dzika kaczka* i in.), w których poddaje ostrej krytyce społeczeństwo mieszczańskie. Wyrazem głębokiego protestu wobec obłudy jego moralności i kultury w życiu codziennym jest m. in. postać Jadwigi w *Dzikiej kaczce*, wrażliwej i utalentowanej dziewczynki, tragicznie osamotnionej w egoistycznej i zakłamej atmosferze najbliższej rodziny. [przypis redakcyjny]

27 października.

Przeczytałam, co tu stoi od wczoraj i nadal będzie *stoją* ku oświeceniu wieków. Chciałabym pisać prawdziwie i szczerze, a to jest trudność niesłychana. Mam dużo myśli na pół świadomych, jakby zablakanych z cudzej okolicy, które, jeżeli nawet sama sobie zechcę sformułować, już się zmieniają pod piórem i nie są takie... Jak to zapisywać? Tak jak nadchodzi, czy też jak się w słowie zmienia? To drugie przypomina mi z *Nieboskiej komedii* tę chwilę, kiedy Mąż, rozpaczający pięknymi zdaniami nad niedolą żony obłąkanej, słyszy obcy głos: „Dramat układasz”...

30 października.

Pisałam dwa dni temu o większej czystości kobiet. Zdarzyło mi się już nieraz, że gdy jestem jakąś myślą szczerze i głęboko zajęta, w świecie otaczającym znajduję jeśli nie rozwinięcie dalsze, to w każdym razie szczegóły i ułamki, które do niej należą. Prawdopodobnie to skupiona myśl jak światło w ciemności wyławia z otoczenia wszystko, czego by w innych warunkach nie dostrzegła, gdyby nie wiem jak nasuwało się przed oczy.

Byłam u Maryni. Rzadko się z nią widuję, a lubię ją — jak by to wyrazić? — odruchowo, wbrew, a może na przekór woli. Ona jest do gruntu niewinna, czysta, bielutka i bardzo prostego serca, a przecież bardzo lubi więcej niż jednego, niż dwu lub trzech mężczyzn. Pierwiastek erotyczny stanowi w tym wszystkim tylko pewną domieszkę. Nie chcę powiedzieć, żeby nie grał żadnej roli, ale jest to daleko bardziej coś w guście manii wielkości. Gdy jej *fundowałam* delikatną uwagę, odrzekła mi ze szczerą naiwnością, że nie wie, czemu by nie można było kilkoma na raz być „zajętą”. („Nie zakochaną — cóż znowu!”)

Te sympatie są w zupełności odrębne, łączą się przecież między sobą, podobnie jak na przykład warstwy w torcie. Każda z osobna jest inna i bardzo dobra, a czyliż z tego wynika, żeby wszystkie razem wzięte miały źle smakować? A przecie, mimo tej łobuzerskiej filozofii, Marynka nie byłaby zdolną wyładować ze siebie ani krzty tej „bezbożności”, na którą skarży się w swej piosence Ofelia.

4 listopada.

Jeden z tych dni ciężkich, co to wydają się być podobnymi do istot srogich i nikczemnych. Dzień taki trwa długo i nie chce odejść, jak lichwiarz, który wszystko swoje musi w tym terminie wydusić. A gdy już wreszcie zdechnie, zostawi po sobie czarny cień, noc bezsenną, pełną łez, widzeń i strachów. Jedna z „życzliwych mi” osób, pani Laura, w której domu od trzech lat daję lekcję dziewczętom, z emblematami żywej jakoby litości zakomunikowała mi smutną wiadomość. Czerpie ją od współplotkarki świeżo przybyłej z *wojażu*. Oto — Henryś podobno nie „robi doktoratu”, jak mię tysiące razy upewniał, ale robi długie, skandale i awantury. Miał jakiś pojedynek, uczestniczył w burdach knajpiarskich, siedział w kozie miejskiej, był przez policję zrąbany szablami. Jest tego wszystkiego tyle, że trudno wyliczyć, a najważniejsze ze wszystkiego — kłamstwo. Jakoby wcale od dwu lat nie chodził na wykłady. Brak mu minimalnej ilości semestrów<sup>144</sup> potrzebnych do egzaminu — słowem, plugawe bagno faktów. Słuchałam tego cierpliwie, z uśmiechem, jednocześnie mówiłam ustami: — Wiem, wiem, proszę pani, jaki to łobuz...

W duszy miałam co innego.

Musi w tym być sporo prawdy, jeżeli mu cofnięto stypendium muzealne. Wszystko to zresztą nic, ale kłamstwo, „nabieranie” głupiej siostrzycy. Gdyby opisał, jak jest, ani bym mu robiła wymówek, ani bym nawet nie uważała za złe. Od tego jest tęgi bursz, żeby robił skandale. Tylko to dowiadywanie się z boku, od ludzi obcych, którzy pomimo woli wyładowują na mnie gnijącą w każdej duszy człowieczej *Schadenfreude*<sup>145</sup>...

5 listopada.

Mało snu, bo dopiero nad ranem zapadam w stan drzemania i dziś łączę z wdziękem zmożonej kury. Lekcje odbywałam jak ciężkie roboty. Zgnębienie dusi, sprawia, że człowiek usuwa się, kurczy, nędznieje. Postanowiłam z tej dusznej ciasnoty, gdzie była zatarasowana przez gorzką wiadomość, siłą się wydobyć. Nie, nie opuszczę Henryka! Będę dwa razy więcej pracowała, wezmę nowe lekcje, może nawet ranne. Niech skończy

<sup>144</sup>*semestr* — rok akademicki dzieli się na semestry, obejmujące określone wykłady i ćwiczenia, których zaliczenie jest niezbędne przy zgłoszeniu się do egzaminu. [przypis redakcyjny]

<sup>145</sup>*Schadenfreude* (niem.) — złośliwa radość z cudzej szkody. [przypis redakcyjny]

choć jakiegokolwiek kursa, to przecież będzie mógł tutaj lżej pracować. Nigdy nie odżałę, że nie zdał do politechniki — ale to trudno. Te „freifachy”<sup>146</sup> trwały już rzeczywiście nieco za długo.

6 listopada.

Dla oszczędności biorę do siebie pannę Guepe. Zagrozi mi to życie więcej niż o polowę, ale trudna rada. Już moja izba będzie tylko w części kryjówką, nawet ten dziennik będzie się tylko dorywczo pisało. Wpłynie wszakże tym sposobem co miesiąc prawie osiem rubli. Muszę dać Wacławowi na kozuch, walenki... Jegierowskie ubranie. Trzeba by po dwie pary. Pamiętać, pamiętać, że pani F. jedzie 18, 18, 18!

13 listopada.

Wzięłam nową lekcję. Wcisnęłam ją między Lipeckich i Zosię K. Nowa robota jest to przygotowanie dziewczynki, Heni L., do klasy wstępnej na pensję. Nie zna się jeszcze na niczym. Ani dyktanda, ani tabliczki mnożenia, ani żadnej rzeczy. Pokój duży, ciemny jak piwnica, o jednym oknie wychodzącym na ciasny dziedziniec. W tej porze jeszcze słońce nie zachodzi, ale tam już jest wieczór. Siedzimy z tą Henią naprzeciwko siebie przy stole i wydajemy, to jedna, to druga, dziwne głosy.

— *Ces enfants ont trouve leurs mouchoirs, mais ils ont perdu leurs bonnes montres*<sup>147</sup>

Najprzód ja to mówię wielkim głosem, później ona z usiłowaniem wydobyć ze siebie dźwięków takiej samej grubości. Myśli pewno, że po francusku trzeba mówić tak grobowo. W dużym i ciemnym mieszkaniu rozlega się to wszystko gdyby jakieś wywoływania wolnomularskie<sup>148</sup>. Czasami małej przychodzą do głowy dziwne kombinacje. Zadaje mi pytania, na które żadną miarą nie można dać odpowiedzi...

Stamtąd, wysiedziawszy godzinę, pędzę co koń skoczy na gumach kaloszowych w głębie Powiśla do Blumów z pilną wiadomością, że „trybem oznajmującym wypowiadamy czynności w stosunku do odnośnego podmiotu rzeczywiste — rozkazującym rozkazane lub zakazane, warunkowym czynności tylko możebne, przypuszczone, zamierzone...” Tam czeka zawsze czuły kuzyn.

Teraz dzień już jest napchany, formalnie napchany jak żydowska torba, lekcjami. Tak się przyuczyłam do systematycznego chodzenia w oznaczonych terminach, że w niedzielę, trawiąc poobiednie godziny lekcji na czezej gawędzie albo czytaniu, doznaję co chwila odruchów przestachu i zrywam się jak wariatka. Same nogi skaczą i wykonywują jakieś logarytmy kursów na Smoczą lub na Dobrą.

Któż by uwierzył, że ja, nędzny twór kielecki, dojdę kiedyś w samym środku Warszawy do 62 rubli miesięcznego zarobku z wysiewania po różnych ulicach tajemnic wiedzy!

Guepe już się sprowadziła. Ma kardynalną wadę Francuzek: jest gadatliwa. Wprawdzie ja korzystam z tego, bo wieczorami muszę z nią gwarzyć i małpiarskim, czysto kobiecym trybem nabieram paryskiego akcentu we francuszczyźnie, ale za to śpię kiepsko. O dwunastej jeszcze się śmieję z jej przygód. Często później nie mogę usnąć. Biją godziny...

Wstaję słaba i wówczas coś dygoce we mnie jak w naszym starym ściennym zegarze, gdy go było poruszać. Dziwne jest to, że w takich razach wcale mi się spać nie chce. Chyba że się zmęczone, zmorduję aż do upadku. Gdy to nastąpi, jestem wprost bez przytomności, nie wiem, co do mnie mówią, i trajkoczącej „Gierce” odpowiadam trzy po trzy.

15 listopada.

Czytałam w niedzielę dużo rzeczy pięknych. Dotąd je mam w głowie niby jakieś przedmioty nie moje, słabo zrosnięte z moją osobą duchową.

Niewiele uczuć może taką żądzą pożytecznego działania napęlić serce, jak oschła świadomość, ile cierpiano, ile znoszono dla szczęścia pokolenia dziś żyjącego, którego cząstkę my tu stanowimy. Jest jakieś dziwne braterstwo idące wstecz do tych, co już wszystko spełnili. Nikogo z żywych nie można otoczyć w myśli taką czcią, świętą czcią, jak tych, co zostają za nami w mroku niepamięci.

Przysłałam do wniosku, że i bardzo ciężkie cierpienia moralne, troski subtelne, tkli-

Nauczycielka, Praca

Cierpienie

<sup>146</sup> *freifach* (z niem.: *Freifach* — wolny zawód) — tu: brak określonego zajęcia. [przypis redakcyjny]

<sup>147</sup> *Ces enfants ont trouve...* (franc.) — te dzieci znalazły swoje chustki, ale zgubiły swoje dobre zegarki. [przypis redakcyjny]

<sup>148</sup> *wolnomularski* — wolnomularstwo jako tajne stowarzyszenie otaczało swe obrzędy tajemniczością. [przypis redakcyjny]

we i głębokie, można jeśli nie leczyć, to w każdym razie znieczulać pewnego rodzaju naciskami. Gdy się jest tak smutną, że łzy płyną z oczu za łada powodem, trzeba czytać, na przykład jakieś „Sprawozdanie z siódmego okresu czynności Banku Handlowego” albo „Jedenaste zgromadzenie ogólne, zwyczajne, akcjonariuszów Drogi Żelaznej Warszawsko—Terespolskiej”... Gdy się takie rzeczy w chwilach odpowiednich uparcie i świadomie studiuje, to działają one swoją olbrzymią obcością, swoim bezwzględnym, *gustalowym*<sup>149</sup> egoizmem na subtelne i czułe uczucia tak mocno jak roztwór Schleicha<sup>150</sup>. Ta sól na pewien czas odrętwia pnie nerwowe tak do gruntu, że można okolice przez jej pole działania zajęte krajać bez bólu lancetem. Inna rzecz, gdy cierpienie jest srogie. Wtedy „Jedenaste sprawozdanie” samo z rąk wyleci jak ciężar nadmierny.

17 listopada.

Zdaje się, że spisywać pamiętnika takiego, jak zamierzałam, nie mogę. Zbyt skromny mam zapas stałości. Trudno by mi było utrzymywać, że, dzisiaj rano spokojna i prawie wesola, nie będę o zmroku tonęła w rozpacz, niestety! — nawet bez wielkich powodów. Brak pieniędzy, milczenie Wacka, myśli o Henryku, jakieś czcze, drobne, małe dzieje dnia jesiennego, które Krasieński tak słusznie mianował „podłymi...” Najczęściej jakaś niedola daleka, daleka, nie moja ani twoja, tylko tutejsza... Wtrąca mię to w smutek, a raczej w jakąś bolesną oziębłość. Nie jest to bynajmniej spokój! O, nie! Spokój to stan bezcenny. Troski i biedy uczą odczuwać spokój jako szczęście. Tych stanów przejściowych niepodobna tu zanotować, tak samo jak nie można patrzeć w lustro, gdy się jest czymś do głębi wzruszoną. Nie sposób ich także odtworzyć, używając równoległych i tej samej miary słów pięknych, gdyż i tak byłoby to coś wręcz innego. Mnóstwo rzeczy minęło i ciągle mijają, a ja nie tylko nie mogę ich przytoczyć, ocenić, ale nawet wskazać. Czasami jestem tak bez sił, że nie sprawiłoby mi wielkiej trudności usiąść na brzegu trotuaru, którym pędzę z lekcji na lekcję, i wypoczywać wśród śmiechu przechodniów.

Jakże szczęśliwe są te damy, które mijam, wolnym krokiem idące na spacer czy tam dokąd. Toczą miłe, uroczne, wesole rozmowy z modnie ubranymi panami. Kto są ci ludzie? Co oni robią, gdzie mieszkają? Nie znam ich wcale. Świat jest tak mały, taki ciasny, a taki zarazem olbrzymi! Człowiek na nim jest to biedny niewolnik biegający wciąż tą samą ścieżką, tam i z powrotem, jak wilanowska kolejka.

Cofnęłam się myślą do miejsc, gdzie dawniej była, i samą siebie przypominałam sprzed lat kilku.

Byłam wtedy lepsza. Dziś nie mogłabym już tak zamezczać się pracą, byle „coś dobrego zrobić”.

Cóż to będzie? Czy ciągle będę coraz gorsza, coraz gorsza? Wtedy w Kielcach, w naszych Głogach, w Mękarzycach, a i tu dawniej, w Warszawie, robiłam wysiłki, żeby być inną. Teraz jestem jakaś popędliwa, pełna złych myśli. Jakaż to dawniej byłam ascetka we względnie wygod! A teraz drobnostka mi dokuczy.

Długo nad tym myślałam, co się mianowicie we mnie zmieniło. Miałam dawniej wiele wiary w dobroć ludzi i dlatego byłam gotowa spieszyć się ku nim. Miałam łaskę zupełnego, całym sercem oddania się myśli o rzeczach niematerialnych, o sprawach innego porządku.

Dziś jestem taka zimna! Tamte krynice rozkoszy ledwie pamiętam. Zrobiłam się jakaś nieczuła na cierpienia innych. Mogę powiedzieć, że bardziej chłodno (a może tylko nie tak) odczuwam biedy własne.

Naprawdę mam i teraz dla wielu osób dużo uczucia, ale takiego często doświadczam złudzenia, jakbym już Henryka ani Wacława nie kochała dawnym sercem. Zrobię jeszcze dla nich i dla innych ludzi, co mogę, ale nie czuję już szczęścia z tej prostej racji, że i ja przecie do czegoś służę. Mam jeszcze dużo entuzjazmu dla dobrych i płonących natur, dla wszystkich, co się męczą a pogardzają złem ukrytym, ale to już jest inne. Nie wiem, nie mogę tego szczerze wyznaczyć, czy Kocham takich ludzi, czy tylko chciałabym iść z nimi w szeregu z tego wyrachowania, że to jest szereg, w którym iść najbezpieczniej, bo do

Pozycja społeczna

Dorosłość, Młodość,  
Rozczarowanie

Brat, Rodzina, Siostra

<sup>149</sup>*gustalowy* (niem. *Gusstahl*: stal łana) — tu użyte w znaczeniu: twardy jak stal, stalowy. [przypis redakcyjny]

<sup>150</sup>*roztwór Schleicha* — płyn wynaleziony przez chirurga niemieckiego Karola Schleicha (1859–1922), stosowany przy zabiegach operacyjnych do znieczulenia miejscowego. [przypis redakcyjny]

zwycięstwa. Jest to ta droga, po której „dusza w ciemności schodzi, w ciemności noc bezdenną...”<sup>151</sup>.

Dawniej istnieli dokoła mnie szlachetni ludzie, natury głębokie, ciche, skromne, tkliwe, często w swej poczciwości wytrwale jak żelazo, skłonne do zupełnego zaniedbania siebie dla innych. Cechowała ich jednolitość dążeń i usposobienie równe. W ich obecności było tak dobrze, tak ufnie i tak cicho na sercu... Byli to moi rodzice, sąsiedzi, niektóre osoby w Kielcach. Czy to była dusza inna, czy może tylko zdolna do ślepej łatwowierności? W moim dawnym świecie nie było ani jednej osoby, do której czułabym odrazę. Dzisiaj ileż jest takich! Na przykład ten jakiś kuzyn u Blumów, który zawsze drzwi mi otwiera i pomaga zdjąć okrywkę. Czekał z cierpliwością, że mię kiedyś w tym korytarzu zechce zaczepić w sposób licujący z jego wejrzeniami. Wydaje mu się apetyczną ta nauczycielka przychodząca do jego kuchni... Nie mogę przecie żądać, żeby mi drzwi nie otwierał i nie pomagał zdejmować mantyli, ale darzę go taką odrazą, jakbym patrzyła na stonogę albo na brudny gęsty grzebień. Dziwię się, że on nie odczuwa tego afektu. Zdaje mi się, że to ze mnie promieniuje. A może w miłości tego rodzaju, jaką on ma na myśli, uczucia wstępu strony słabszej nie wchodzi w rachubę... Nie powinno mię to wszystko wcale obchodzić. Mam zupełną możliwość traktowania tej osoby z taką przedmiotowością jak, dajmy na to, barana albo innego reprezentanta fauny, ale nie mogę... W ogóle trochę za dużo interesuję się tą sprawą, tyle o tym piszę, że to budzi podejrzenie. Czy tylko w tej „odrazie” nie kryje się krzyna jakiej satysfakcji?

18 listopada.

Na Waliców tramwajem. Kiedy wsiałam do przedziału i już zapłaciłam konduktorowi, dopiero spostrzegłam, że w rogu siedzi ten śliczny jegomość w cylindrze. To już trzeci raz go spotykam. Ścierał co chwila ręką parę i wyglądał przez oczyszczony kawałek szyby. Na co on czekał? Jeżeli to miała być kobieta, to jakaż jest szczęśliwa! Kto on jest? Co robi? Jak mówi? Jakie też myśli kryją się w tej prześlizgniętej, w tej arcyglowie? Mam ciągle w oczach jego twarz zamyśloną i wyobrażenie całej postaci. Dziś na lekcji u F. bezwiednie i bez żadnego wysiłku, na pół wiedząc o tym, co kreślę, zrobiłam ten profil o bardzo subtelnej kombinacji rysów, pełen harmonii i jakiejś walecznej siły. Jak to dobrze, że sobie wyskoczył na rogu Ciepłej, bo, kto wie, może bym się była w nim zakochała. Przez cały dzień ciągle było mi bez żadnego powodu przyjemnie, jakoś tak radośnie, jak gdyby za chwilę miało mię spotkać coś nad wyraz miłego. Gdy mi się udało zrozumieć, co mi się dobrego zdarzyło, płynęła z ciemności jego twarz — i te oczy szukające czegoś za szybą.

Niech go spotka w życiu wszystko dobre...

19 listopada.

„Najzacniejsza pieśń Salomonowa”<sup>152</sup> mówi: „I któż to jest, który wychodzi z puszczy, jako słupy dymu, kurząc się od mirry, od kadzidła i od wszystkich prochów wonnych...”

Najzacniejsze słowo! Jest to realny opis uczucia... Tego, które przychodzi z puszczy... Słowa bez sensu tłumaczą istotę uczucia tak ściśle jak algebra.

20 listopada.

„Na łożu moim w nocy szukałam tego, którego serdecznie miłuję, szukałam go, alem go nie znalazła. A przeto teraz wstanę, a obejść miasto, będę szukać po ulicach i po miejscach przestronnych, tego którego z duszy miłuję. Szukałam go, alem go nie znalazła...”

Nieskromne, upokarzające!... Te słowa — to rumieniec. Każda litera pali się ze wstydu. Cóż, kiedy prawda, cóż, kiedy prawda...

22 listopada.

Znowu ten kuzyn ze swoim uśmiechem przyklejonym do warg gumą arabską! Kiedy on staje we drzwiach w chwilę po naciśnięciu przeze mnie dzwonka, jestem wprost bezsilna. Czuję od razu, że robię się czerwona jak burak. I żeby nie wiem jak usiłowała zblednąć — wszystko darmo. Tracę władzę nad głupim czerwienieniem się, ręce mi drżą. Ten frant gotów pomyśleć, że wywiera na mnie tak piorunujące wrażenie, a on mi tylko ubliża. Czemuż to nie jest tamten z *Pieśni nad pieśniami*? Rumienić się w towarzystwie osób dobrych i delikatnych nie jest wcale tak bardzo przykro. Jest to wówczas, jakby się

<sup>151</sup>dusza w ciemności schodzi... — niedokładny cytat z wiersza Jana Kasprzowicza, zaczynającego się od słów: „W ciemności schodzi moja dusza”. [przypis redakcyjny]

<sup>152</sup>Najzacniejsza pieśń Salomonowa — *Pieśń nad pieśniami*, najwybitniejszy utwór liryczny poezji hebrajskiej; autorstwo jej przypisuje się Salomonowi (X w. p.n.e.). [przypis redakcyjny]



nie chciało wymawiać pewnych słów ordynarnych, ciapać wargami albo patrzeć na rzeczy nieprzyzwoite. Ale tu! Czytałam gdzieś, że w Egipcie sprzedawano talizmany, które miały strzec kupującego od uroków. Mówiono wtedy: „Od spojrzeń dziewczyn, ostrzejszych niż ukłucie szpilką, od oczu kobiet, ostrzejszych niż noże, od spojrzeń chłopców, bardziej bolesnych niż uderzenie batem, od spojrzeń mężczyzn, cięższych niż uderzenie siekierą”. Jakżebym chciała być zabezpieczoną od ostatnich spojrzeń, od „tych” spojrzeń!...

Dzisiaj pani B. przytrzymała mię w swym „zagraconym” salonie, a ten „literat” wsunął się tam niezwłocznie jedwabnymi krokami. Czulałam jego osobę, mimo że nie podnosiła oczu. Zaczął mówić rzeczy oklepane, które pewno słyszał od kogoś mądrzejszego.

O Nietzschem<sup>153</sup>! Mam silne poszlaki, że uważa się za nadczłowieka i za ucznia filozofa, którego sądzi z „artykułów” pism warszawskich. Specjalnie jest znakomity, kiedy rozpoczyna zdanie w sposób pełen obietnic:

— Bo trzeba pani wiedzieć...

Albo:

— Pewno pani sądzi, że... otóż...

I dopiero wygłasza myśl znaną mi i niepotrzebną jak wyświechtany komunał. Rozmowa jego zmierzała do tego, żeby podkreślić pewne w niej wyrazy. Ciekawam, czyby się ten *nadfacet* odważył tak te wyrazy akcentować w rozmowie z jedną z pań bogatych, która mogłaby mu na to odpowiedzieć z całą śmiałością? Ale niech go tam Pan Bóg ma w swojej opiece! Cóż z tego, że ktoś mi da dowód swego lekceważenia, korzystając z tego, że jestem nauczycielką? Czy to mię ma boleć? Jest wcale nie zasłużone... Znosić tego nie mogę bez udrczenia, ale mogę przecie lekceważyć. Muszę zresztą, bo nie starczyłoby mi innej odporności na takie szarpanie nerwów. Tego rodzaju zdarzenia wstrzymują mię od poszukiwania towarzystwa. Jest to także brak odwagi cywilnej. Wiem, że nie odstąpiłabym osoby dobrej dlatego, że ją lekceważą, a samej siebie nie mam śmiałości ostro bronić.

23 listopada.

Będę zmuszona do porzucenia lekcji u B. Trudna rada! Nie mogę robić awantur w przedpokoju ani zanosić skarg do tej pani. Musiałam się bronić. Dziś eh. m. w. w. p. i m. Popamięta on tę sekundę! Ale swoją drogą, jakież to jest wszystko podle!

Dawniej myślałam, że złą jest nienawiść. Gniewać się, mieć urazę — to inna rzecz, ale nienawiść. Przecie to jest pragnienie krzywdy. Nic złego nie zrobiłabym sama temu nawet adonisowi, ale wiedza o tym, że mu się coś takiego zdarzyło, nie byłaby mi już wstrętną. Powoli może przyjdę do pragnienia zemsty. Czemuż nie? Idąc po stopniach, zstępuje się koniecznie tam, dokąd one prowadzą. Wiem o tym, ale nie czuję złości do siebie, gdy jestem tak wrogo usposobiona. I któż wie, czy w istocie rzeczy nienawiść jest zła i niemoralna? Taka nienawiść... Któż to wie? tylko po co ja o tym wszystkim muszę się dowiadywać, na co to wszystko muszę rozrząsać?

26 listopada.

Cicho, cichutko umarła panna L. W niczym sercu zapewne nie zostawiła uczucia głębokiego żalu. Kochano ją, jeżeli tak można powiedzieć, przez obowiązek. Mój Boże, a nieraz najgorsze osoby, gdy umierają, budzą żal żywy i szczery. Któż może być pozytywny za wzór nie tylko człowieka, ale za wzór ucznia Chrystusowego, jeśli nie ona, ta matka-panna? To była nie tylko istota duchem czysta, ale przedziwnie czysta ciałem, jeden z posłańców bożych, co na wzór Jego „trzciny chwiejącej się nie złamie i lnu kurzącego się nie przygasi”, jak mówi święty Mateusz. Całe życie spędziła w nauczycielstwie jakby w jakimś zakonie. Może i ona miała wady ukryte, może w tajemnicy przed bystrzejszym okiem popełniała jakie grzechy, o których nikt nie wie, ale po handlarsku ważąc jej życie, owo życie ośmieszona starej nauczycielki, nie znajduję w nim występku. Praca, głucha praca — praca-instynkt, praca-namiętność, praca-idea, ułożona systematycznie jak teoremat<sup>154</sup> geometrii. Życie rozłożone na lata i kwartały szkolne, a z jego rozkoszy czerpanie tylko owoców rodzinnej kultury. Nie widziałam nikogo, kto by się tak radował istotnym „weselem wielkim”, kiedy zjawiały się w literaturze piękne dzieła, jak *Potop* albo

<sup>153</sup>Fryderyk Nietzsche (1844–1900) — filozof niemiecki. Głosił kult silnej bezwzględnej jednostki wcielającej wolę władzy klas posiadających, zwalczał zasady demokratyczne i moralność chrześcijańską; ucieleśnieniem głoszonych idei miała być w przyszłości postać „nadczłowieka”. [przypis redakcyjny]

<sup>154</sup>teoremat — twierdzenie matematyczne, które należy dowieść. [przypis redakcyjny]

Kobieta, Literat,  
Męczyzna, Pozycja  
społeczna

Nauczycielka, Praca, Święty

*Faraon*. Ona doprawdy czuła się szczęśliwą, że żyje w tym samym czasie, kiedy tworzy Sienkiewicz, a portret tego pisarza miała w swej izdebce opleciony bluszczem.

W wielu sądach nie mogłam się zgodzić ze zmarłą, a raczej nie potakiwałam jej w głębi serca, gdy to mówiła. Bo kiedy indziej!... Nie mogła zrozumieć pewnych nowych sił świata. Żyła w dawnym zakonie, który przez „*Macht*” Bismarcka<sup>155</sup> nogami zdeptyany został. Jakimże sposobem przystosowała owe dawne prawa do nowego życia? Zrobiła to prosto, jak nie można prościej. Oto entuzjazm zakłęła w pracę, wtłoczyła go wewnątrz swoich obowiązków. Było to trudne, z pewnością trudne, takie skroplenie uniesienia. Trzeba było powoli, w ciągu całego szeregu lat wytwarzać system, murowany system. Tak uczyć gramatyki, stylistyki, uczyć pisania, jak to czyniła panna L., już nikt nie potrafi. W tej nauce pedanckiej, prawie dokuczliwej, zajadłej, był właśnie entuzjazm.

U trumny panny Li. postanowiłam sobie naśladować ją. Nie przedrzeźniać, ale właśnie naśladować. Jej życie było tak wysoce kulturalne, że z naszej strony byłaby to ośła głupota, gdybyśmy mieli zaniedbać stosowania tych doskonałych wzorów. Mężczyźni naśladują przecie Anglików, ludzi innego kraju i typu, ludzi zza morza, a my mając w domu taki widok... A więc: 1) tłamsić w sobie upadki, osłabienia, czułości, a głównie, głównie, głównie wdychający smutek; 2) ciągle podniecać wytrwałość i kształtować wolę; 3) układać z premedytacją i krytyką plan zajęć; 4) ściśle wykonywać, co się po rozwadze zdecydowało, choćby kije z nieba leciały. To w szczególności. A w ogóle: zachowywać czystość duszy i nie dawać do siebie przystępu niczemu podłemu. Wprost nie dawać przystępu. Jeżeli bierze na się formę kuszącą jako nowoczesność, nowotność, uderzać łajdactwo w piersi całą mocą ducha.

U trumny panny L. przysłała mi do głowy myśl, że człowiek sprawiedliwy żyje tu na ziemi daleko dłużej niż głupiec. Małe, skurczone, uśmiechnięte zwłoki panny L. oddziaływały dziś na mnie daleko silniej niż niejedna rozprawa mędrca. Jej nauczycielstwo nie skończyło się z chwilą śmierci. Owszem, zaczęło być całkowicie zrozumiałe to, co czyniła, niby doskonała książka, której ostatnią stronicę wraz z ostatnim przeczytaliśmy wnioskiem. Tak nie tylko żył, ale i leczył po swojej śmierci doktor Muller, zmarły na dżumę, który w chwili zgonu przepisywał, jak ma być zdezynfekowane jego ciało, ażeby komukolwiek z bliźnich nie przyniosło zarazy w cztery dni po jego zejściu. To są ludzie, którzy osiągnęli na ziemi główną siłę: nie bali się zstąpienia do grobu. Toteż ich śmierć jest tylko jakąś tajemnicą poważną, pełną czci i smutku. Śmierć ludzi, którzy jej się lękali, ciska urok wstrętny, przerażający, każe myśleć, a raczej topić się i dusić w myślach o tym rozkładzie ciała, pełnym nieopisanej ohydy. I wówczas jest jak potwór obmierzły i bezmyślny, a nade wszystko wszechwładny.

Ale jeszcze rzecz jedna. Czy życie panny L. byłoby równie pożyteczne, gdyby została mężatką i miała dzieci, a właściwie, czy byłoby pożyteczniej dla świata, gdyby zamiast tyłu uczennic wychowała dobrze tylko swe dzieci? I czyby je wychowała tak dobrze? Zdaje mi się, że to jest również macierzyństwo, a raczej macierzyństwo wyższego stopnia — tak kształtować dusze ludzkie, jak to panna L. czyniła. Nasze matki lekceważą sobie znaczenie matek-wychowawczyń. Tymczasem urodzić dziecię to wielka i cudowna sprawa natury, ale znowu nie dyplom na wychowawczynię. Potrafi to samo byle obywatelka z rodu Kafrów<sup>156</sup> czy Papuasów<sup>157</sup>. Może popełniam herezję wypisując tutaj to zdanie, ale je uważam za słuszne. Myśl moja jest taka: na świecie pełno jest kobiet niemądrych i niedobrych, ale za to pięknych i zdrowych. Są to Sabinki<sup>158</sup>, które na pewno zostaną porwane. Nie wynika jednak z porwania, ażeby każda Sabinka stawała się przez to skarbnicą wiedzy. Obowiązek (ale już wtedy i prawo) wychowywania pokoleń coraz lepszych, jeżeli

Śmierć

Kobieta, Matka

<sup>155</sup>„*Macht*” Bismarcka — „*Macht von Recht*” (niem.): siła przed prawem; hasło leżące u podstaw polityki Bismarcka (1815–1898), twórcy niemieckiego imperializmu, zaciętego wroga klasy robotniczej i germanizatora ziem polskich. [przypis redakcyjny]

<sup>156</sup>*Kafrowie* — nazwa nadana przez Arabów pd. i wsch. afrykańskim ludom Bantu. [przypis redakcyjny]

<sup>157</sup>*Papusi* — tubylcy Nowej Gwinei oraz innych wysp Oceanii. [przypis redakcyjny]

<sup>158</sup>*Sabinki* — Legenda o porwaniu Sabinek związana była z podaniem o założeniu Rzymu. Gdy z pierwszymi jego budowniczymi, werbującymi się z zabijaków i awanturników, kobiety sąsiednich plemion nie chciały wchodzić w związki małżeńskie, Romulus, założyciel miasta, sprosił okoliczną ludność na wielki festyn, podczas którego gospodarze uroczystości wprowadzili podstępnie swoje partnerki i pojęli je za żony. [przypis redakcyjny]

idzie o to, ażeby pokolenia były coraz lepszymi, musi być odjęty niemądrym i niedobrym Sabinkom i oddany brzydkim pannom L.

28 listopada.

Dziś w myśl powziętych zasad zrobiłam obrachunek dochodów i wydatków. To materialistyczne pojmowanie dziejów mego życia z ostatnich trzech miesięcy i jeszcze bardziej materialistyczne wysiłki przewidzenia przyszłości okazały, że prawie dwa razy więcej wydaję, niż zarabiam. Kupiłam wprawdzie bieliznę dla W. i posłałam H. na dwa miesiące, a co najważniejsza, spłaciłam ze starego długu ciotki Ludwika 40 rubli Siapsi Bożęckiemu, ale znowu zaciągnęłam u samej Marynki długów na 100 rubli z czubem. Przeraziłam się tą moją rozrzutnością, a właściwie nędzą, i postanowiłam do minimum ograniczyć wydatki. Zaczęłam od tego, że razem z Marynką kupiłam bilet do teatru. Grano Moliera *Chorego z urojenia*. Obydwie z M. przyszyłyśmy do jednego wniosku... Częstość daje się czytać, a szczególnie słyszeć, zdanie, że na świecie „wszystko już było”. Na tym fundamencie, że wszystko już było, rozmaici panowie i damy pozwalają sobie na takie rzeczy, które istotnie możliwe były tylko w przeszłości. Przypatrując się takiej sztuce Moliera widzi się dopiero, jak ludzkość postąpiła naprzód, i to nie tylko w zakresie medycyny, ale przede wszystkim w dziedzinie etyki. Taką dzicz, jaką widzimy na tej scenie, z pewnością może, kto zechce, zobaczyć jeszcze w Radomskim, Kieleckim, a nawet w Sandomierskim, a niewątpliwie wszystko to należy już przecie do epoki, którą opisuje Molier.

Małe to i już osobiste spostrzeżenie. Jestem niby to zgnębiona śmiercią panny L. i innymi okolicznościami, a przecie potrafię pękać ze śmiechu za lada conceptem. Zawsze miałam to pochlebne o sobie mniemanie, że jestem lekkomyślna. Teraz ten przymiot zdaje się wzmacniać. Nic we mnie stałego, niezmiennego. Gotowam jak najswobodniej się bawić, i to nie tylko w teatrze, ale z pierwszym lepszym knotkiem na lekcji, pomimo że niby to mam swoje smutki. Jakże wobec tego można sobie ufać, gdy w człowieku jest jakieś лихо ukryte, nie dające chwycić się za uszy. Musi to być, widocznie, siła tej ziemskiej powłoki, siła zwierzęca, dla której śmiech jest konieczny, jak targanie przez wichur dla roślin. Należałoby umartwiać to mieszkanie ducha...

30 listopada.

Nazywa się: doktor Judym.

1 grudnia.

Nie jestem wcale przesądna, nie wierzę w znaki, a swoją drogą, gdy się coś takiego zdarzy, jest mi bardzo przykro. Teraz szczególnie, po dzisiejszej nocy. Zdaje mi się, że stoję wobec jakichś brutalnych i potężnych osób, które mię skrzywdzą. Usnęłam późno, w znużeniu i smutku. Ujrzałam we śnie salę ciemną, coś jakby sąd w Zurychu, gdzie nigdy przecie nie była. Wprowadziły mię tam osoby w ciemnych, skromnych uniformach. Szczególniej jeden... Skąd taka twarz?... Widzę go jeszcze. Osoby te rzekły do mnie, że Henryk popełnił zbrodnię morderstwa. Ogarnął mię przestach, jakiego nigdy w życiu nie doświadczyłam. Zarazem uczułam w sobie decyzję tak przejmująco silną jak ta wiadomość: nie pozwolę! Stałam przy oknie wpuszczonym w gruby mur, które prowadziło do groźnej izby złote i jasne światło słoneczne. W dali było granatowe, faliste jezioro i białe góry. Wtem dał się słyszeć głos: — przyprowadzić!

Henryk wszedł do sali. Na jego twarzy bladej i wychudłej był uśmiech, ale jakież straszny! Czułam się tym uśmiechem na wskroś przeszyta. Gdy chciałam zbliżyć się, wszedł człowiek pospolitego wyglądu, ze stalowymi nożyczkami w rękach. Henryk usiadł na krześle i wtedy jego uśmiech stał się jeszcze bardziej, jeszcze bardziej... podłym. Felczer strzygł włosy, piękne, jasne włosy mojego drogiego braciszka. Pukle ich toczyły się po czarnym ubraniu i spadały na brudną ziemię. Ktoś mię wtedy ujął za rękę... Ale któż to był... O, Boże!

Usiłowałam przemówić, krzyknąć, ale ani jednego dźwięku nie było w mojej gardzieli. Nawet płacz nie mógł się z piersi wydobyć. Guepe zawołała na mnie.

Obudziłam się i usiadłam pełna jakiegoś strasznego uczucia. Nie mogę tego wypowiedzieć... Ten ból senny, stokroć boleśniesz niż jakikolwiek za dnia, i owo tajemne a samo z siebie widzące przecucie... Może, ach, najpewniej — wieszczba nie znanych mi cierpień przyszłych, a tak głębokich, że objąć je — już jest boleść... Nie mogłam poruszyć ani ręką, ani nogą. Z wolna odlatywała od mojego serca zhora, i cicha radość, że to był sen, radość jak święty promień słoneczny sączyła się do jego głębi. Cóż by kto mógł tak

Sen

Rodzina

na świecie kochać, jak ja tej nocy mojego brata? Zdaje się, że ludzie najsilniej kochają swoją rodzinę. Ja nie lubię tych moich uczuć rodzinnych ani je cenię, a nic nie ma nadę mną takiej okrutnej, takiej niezgłębionej władzy, jak one. I co to jest?

Czy należy mieć takie uwielbienie dla osób, które może tego nie są warte?

Przecie tyle zjawisk, osób i spraw na ziemi... Jakież to zdanie wypisałam tutaj?...

z *grudnia*. Henia ma odrę, a ja godzinę wolną. Wpadłam do domu i siedzę sama. Ach, jak niemiło... Mgła o barwie śniadej wlała się w zakłęśte podwórza. Dopiero godzina czwarta, dzień jeszcze, a nie widać odległych wieżyc dachów, które zawsze rysują się na moim horyzoncie. Tylko bliższe kominy, zarówno kwadratowe, ceglane, jak wąskie, okrągłe, z blachy, odbijają się w zmoczonych, oślizgłych płaszczyznach swych dachów, jak pale i słupy w wodzie stojące. Co dzień szare i żółtawe mury są teraz jakieś sine, przeziębłe. Okna znikły prawie albo majaczącą niby zapadnięte doły oczne twarzy śmiertelnie chorej. Asfaltowy trotuarek na dnie podwórza ślini się rzadkim błotem. Tuż blisko za oknem słychać monotony szelest. Wychyłam się, natężam wzrok i przez zapocone szyby, niby przez pajęczynę, dostrzegam coś we mgle. Kupa żółtej gliny, a w niej coś się rusza, coś się gmera, jak u nas mówią.

Czapka z daszkiem wciśnięta na bezbarwną głowę ciasno jak czepiec, brudny kubrak, fartuch okrywający figurę od pasa, buty, ręce, rydel. To chłopiec od zduna „wyrabia” glinę. Co chwila dolewa wody w rzadką masę i przetrzuca to kleiste błoto. Ruchy ma jakieś żabie, prędkie, trzepiące się. Nogi jego brodzą w żółtym, rozbabranym ile, szybko odrywają się i głęboko toną, odrywają się i głęboko toną... Przemokłe buty, oblepione bryłami...

W mojej stancyjce gospodyni kazała napalić. Ciepło tu i milutko, ale przez szczeliny okienne wciska się dech jesieni. Mgła coraz gęstsza już nie spada, lecz wali się zewsząd, lgnie do murów, pełza, rozciąga się, kurczy i pływa w przestrzeni jak lotne błoto.

Czyż to mgła? Serce stęka z duszącej bojaźni. Zda mi się, że to coś obłudne wzięło na się postać mgły, że to coś bada ziemię, siedliska ludzkie, zagląda do okien i patrzy w nie, usiłując zobaczyć struchlałe serca.

To śmierć.

W bramie przesuwają się jakaś postać, jakaś bryła o ludzkim kształcie. Zapalono pierwszą latarnię i żółty błysk jej rozlał się w rudym mroku, dosięga kupy gliniastej i przetrząca się na postaci małego zduna.

Zapalam i ja świecę co prędzej, co prędzej — i usiłuję czytać. Daremnie. Ciapanie rydla i blaszany szczęk wiadra odbijają się we mnie jak echo w kamiennej zakłęśłości. Słyszę każdy krok tego dziecka, czuję każdy ruch w mokrych gałganach. Zdaje mi się, że już dawno, dawno widziałam taki dzień, że nawet przeżyłam te same uczucia. Tak mniemam patrząc w miazgę świata pochłanianą i trawioną przez ciemność i nie wiem, kiedy myśli moje wpływają w słowa harmonijne, w dźwięki czcigodne, które to wszystko zawierają w sobie:

Nie budźcie ich, aż ciemność się odmieni,  
Przeklęty mrok, gdzie świętym oczy ślepną,  
Nie budźcie ich w tę smutną noc jesieni,  
W ten zgniły chłód, gdy duchom skrzydła lepną.  
Dziś pracy plon i pełne krwi zasiewy  
Z rozkisłych pól wchłonęły już kantory...  
Nie budźcie ich modlitwą i pieśniami...

Sądże ja wiem te słowa? Czyje to słowa?

I oto tam, w tych mokrych falach przesuwają się i znika mała, obdarta, skulona postać mojego starego, mojego kochanego nauczyciela, Mariana Bohusza<sup>159</sup>. Szarpie ją wicher, osacza przebiegłe zimno, ostatni goniec ziemi: siedliska zbójców. Biegnę za nim myślami po jakichś bezdrożach, po miejscach samotnych, opustoszałych, gdzie na nieszczęśliwych ludzi śmierć cierpliwa wyczekuje; szukam go i ścigam nad brzegami rzek, w nurtach

<sup>159</sup>Marian Bohusz (właściwie: Józef K. Potocki; 1854–1898) — socjolog, poeta, współzałożyciel i publicysta „Głosu”, działacz Ligi Narodowej. Był również nauczycielem w szkołach warszawskich. Przepadł bez wieści w r. 1898. [przypis redakcyjny]

Śmierć

Nauczyciel

i w głębinach ilu wodnego, między trzcina zeschniętą w szuwarach i karpach wodnych. Gdzież jest ten dół śmierci, w którym zgasiło się to serce najbardziej czule, serce na miarę niewidzianą i niesłychaną, spalone od uczuć wiecznych.

Cieniu bolesny...

I oto z mroku ogarniającego świat, we łzach, co moje oczy zalały, ukazuje się twarz. Na pół oślepie oczy wpatrują się we mnie, zuchwałe, obłąkane oczy mędrca. Strugi łez spłynęły z nich, toczą się po zwiędłej twarzy i wyzerają na policzkach długie krwawe bruzdy.

Wieczny odpoczynek...

4 grudnia.

Po bardzo długiej niebytności odwiedziłam wczoraj pannę Helenę. Nie są to już *five o'clock'i*, lecz zebrania późnowieczorne. Dla kochanej panny Heleny mam wiele wdzięczności z owych jeszcze czasów, gdy mię tu nikt a nikt nie znał. Ona mi pomogła dostać niejedną lekcję i uczyniła to (co jest rzeczą godną pamięci) bez wyrachowania. Swoją drogą, na tych jej recepcjach nie czuję się w swoim żywiole. Może dlatego, że hasam tylko za lekcjami i wyzybam się wielu szczegółików salonowych, a może dlatego, że się tam zgromadza towarzystwo zbyt wielkich literatów i artystów.

Główny kontyngens stanowią młodzi nieśmiertelni bieżącego sezonu. Muszę wyznaczyć, że nie lubię ani książek modnych, sezonowych, ani ludzi tego autoramentu.

Wczoraj, idąc po schodach do mieszkania panny Heleny, czułam formalne tchórzostwo. W chwili kiedy trzeba wejść do saloniku, gdzie zgromadziła się już pewna ilość osób, notabene mężczyzn, czuję, jak dalece jestem do tego czynu nie przygotowana. Zapomniało się o tysiącu rzeczy służących ku temu, żeby ładnie wyglądać. Wówczas formalna trema... Z tego się okazuje, że towarzystwo mężczyzn jest bardzo pociągające. Ja, przyznam się, mocno je lubię, ale koniecznie mężczyzn delikatnych, rozumnych, a przy tym nie pedantów, którzy by lekceważąco traktowali moje myśli i słowa. Mężczyźni wszyscy interesują się pannami, a kłamstwem byłoby przeczyć, że jest miło, ach, jeszcze jak miło wywoływać zajęcie. Wchodząc w celu (nie uświadomionym) wywołania tego mianowicie zajęcia kogoś swoją osobą, znajduję zawsze tyle wad i braków w mojej posturze, że mam chęć sromotnie zmykać.

Salon panny Heleny jak dawniej: śliczne, duże palmy, sofy i krzesła w stylu *chińsko-japońsko-maison-niponowym*<sup>160</sup>. Światło, jak dawniej, przyćmione. Na sofach tkwiły już rozmaite wielkości. Wszystko — nasi sławni. Wejście moje nie zostało dostrzeżone i nie przerwało rozmowy, która była bardzo żywa. Znowu oplakana kwestia kobieca. Roztrząsał ją (przeważnie za pomocą zwycięskich aforyzmów) poeta Br. Dla niego ta kwestia „nie istnieje”. Któż broni kobiecie robić, co jej się żywnie podoba? Chce się uczyć, to się uczy, chce działać jak mężczyzna, wolno jej i to... Ze swej strony poeta Br. „ośmielał się twierdzić”, że białogłowa powinna korzystać z praw przysługujących jej, ale przeważnie w zakresie etyki... Udoskonalać swą duszę, czynić ją niepochwytą, niedoścignioną dla grubej i ciężkiej siły mężczyzny. Cóż z tego, że kobieta będzie adwokatem, doktorem medycyny albo profesorem matematyki, kiedy ją z tych zawodów (prawdziwych dla niej *zawodów*) wyrwie dziwna tęsknota za czymś nieuchwytnym... (Zofia Kowalewska<sup>161</sup>). Według niego kobiety dążące do tak zwanej emancypacji pozbawiają się jednej ze swych sił faktycznych — uroku, gdy chcą zniszczyć w sobie pełną wdzięku niewiadomość różnych rzeczy i spraw tego świata. Dla poety Br. jest coś brutalnego w tym, gdy kobieta nie ma już o co spytać mężczyzny. W końcu swego wywodu zadał światu babskiemu w istocie trudne pytanie: czy można twierdzić śmiało, że kobiety uzyskanej absolutnej wolności nie użyją na złe, tak jak to robią dzisiaj mężczyźni? Przecie jest masa złych kobiet, a jak twierdzi psychiatria, daleko więcej pierwiastka zła wskazuje sprawowanie się obłąkanych kobiet niż mężczyzn. Poeta zgadzał się, gdy go zaczęto przyciskać do muru, że to jest właśnie suma uczynków świata, ale „nie wierzył”, żeby można było wpłynąć na zmianę tego stosunku środkami, które przedsiębiorą kobiety.

Kobieta, Mężczyzna

Idealista, Kobieta,  
Mężczyzna, Poeta,  
Społecznik

<sup>160</sup>W stylu... *maison-niponowym* — w stylu domu japońskiego. [przypis redakcyjny]

<sup>161</sup>Zofia Kowalewska (1850–1891) — wybitna matematyczka rosyjska; miała szerokie zainteresowania literackie i sama pisała powieści, dramaty i poezje. [przypis redakcyjny]

Z mojego kąta pod palmą ośmieliłam się wydać głos, rozumie się, słaby, nie mój i drżący (co niechaj policzone mi będzie na karb trwogi wobec tylu liryków, dramaturgów, nowelistów, „estetów”) i za pomocą tak niskiego organu wyraziłam niezdarne parę sentencji. Czepiając się ostatniej wątpliwości mówcy, rzekłam, że nie można jej żadną miarą podzielać, jeżeli się wierzy w siłę dodatniego działania kultury na duszę człowieka. Panna, która skończyła uniwersytet, może być tak samo niedobra jak chłopka, ale uczynki moralne pierwszej z musu będą lepsze niż uczynki chłopki, na czym świat otaczający bezwarunkowo zyskuje. W miarę wzrostu kultury wyższej zacierają się różnice wywołane niższością umysłu kobiecego i brakiem pracy nad jego rozwojem. Jeśli w duszy kobiety jest próżnia, którą mogłaby zająć dążność do jakiegoś światła, to w tej próżni naturalną kolejną rzeczy rosną owoce złości, głupoty, złego wychowania. Dlatego to w szpitalach jest statystyka tak fatalna dla kobiet...

Co do twierdzenia, że emancypantka, która już nie ma o co zapytać mężczyzny, jest zjawiskiem brutalnym, to wyznałam, że takiej kobiety dziś jeszcze wcale nie ma. Doścignąć mężczyzny nie może wprost z powodu mniejszego zasobu sił fizycznych (gdyby nawet miała przed sobą drogę bez przeszkód i... pułapek). Jeżeli zatem „niewiadomość” nie tylko „grzechu nie czyni”, ale prócz tego nadaje „urok”, to pomimo wszelkich wysiłków, jeszcze długo kobieta będzie „bardzo uroczo” głupsza od mężczyzny. Dziś zresztą nie chodzi wcale o to, żeby mężczyznom dorównać, lecz o to, żeby coraz mniej zostawać w tyle we wszystkim, nawet w szpitalu obłąkanych. W końcu ośmieliłam się wtrącić małe żądło, jakby na świadectwo, że guwernantki istotnie gorsze są od poetów płci męskiej. Rzekłam, iż może to jest bardzo urocze potrzebować opieki, ale dopiero wówczas, gdy jej zabraknie, gdy jej na całym wielkim świecie wcale nie ma, wtedy czuje się, jak dalece w tym nie ma najlichszego uroku.

Takie maksymy wygłaszałam w tym zgromadzeniu.

W czasie powrotu do mojej izby myślałam jeszcze o tym wszystkim i czułam pewien niepokój. Nawet nie pewien, ale duży niepokój! Czy uwolnione kobiety nie użyją na złe swobody, tak samo jak jej dziś zażywają mężczyźni? Teraźniejsza dola płci nadobnej z pewnością jest następstwem jej stanu moralnego. Gdyby szło o jakąś walkę i o samo zwycięstwo, to trzeba by powiedzieć: gdy mężczyźni mają prawo być wolnymi i robić sobie, co zechcą, to takie samo prawo powinno przysługiwać kobietom. Ale to przecie nie chodzi o walkę, tylko o dobro. Zresztą sumienie moje, gdy mowa o tych sprawach, tak łatwo dostaje dreszczów! Jest to widocznie moc przesądu, odziedziczonego po szeregu prababek. Ja nie znam życia. Parę razy zdarzyło mi się czytać takie rzeczy, od których włosy powstają na głowie i ciało drży jak w malarii (Guy de Maupassant<sup>162</sup>, Owidiusz<sup>163</sup>). Idąc ulicami trafiam często na widok, który mię nie tylko przeraża, ale wprost ogłupia. Tymczasem setki ludzi przesuwają się obok tego jak obok latarni albo szyldu. Egzystują jakieś nie znane mi lotrostwa, rzeczy pełne okrucieństwa i hańby, w których kobiety biorą udział. Któż je wyuczył tych potworności? A jeżeli one same odnalazły w swych duszach to wszystko? Oto dlaczego boję się zdania poety Br., że babiny mogłyby nadużyć wolności.

Czy to ma się tak tłumaczyć, że trzeba opuścić ręce? Nie, przenigdy! Ktokolwiek jest winowajcą straszliwych grzechów rodu ludzkiego, trzeba dźwigać się z brudu! Niech to czynią mężczyźni i kobiety.

5 grudnia.

Wczoraj wspominałam o Owidiuszu. Sama nie wiem, czemu przyszła mi myśl przeczytać go jeszcze.

Guepe ma wśród mnóstwa swych romansidel dwie śliczne, stare książeczki z zeszłego wieku wydane w Londynie, pt. *Les oeuvres amoureuses d'Ovide*<sup>164</sup>.

<sup>162</sup>Guy de Maupassant (1850–1893) — wybitny francuski pisarz-naturalista; autor wielu znakomitych opowiadań wyrażających ostrą krytykę obyczajowości mieszczańskiej. [przypis redakcyjny]

<sup>163</sup>Owidiusz (Publius Ovidius Naso, 43 p.n.e. — 17 n.e.) — wielki poeta rzymski, autor słynnych *Przemian*, *Żalów* i utworów miłosnych. [przypis redakcyjny]

<sup>164</sup>*Les oeuvres amoureuses d'Ovide* (franc.) — *Utwory miłosne Owidiusza*. [przypis redakcyjny]

W tomiku drugim są dowcipne, pełne uroku i... zepsucia *Elegies amoureuses*<sup>165</sup>, i najbardziej z nich, zaczynająca się od słów: *Uoiseau le plus charmant qu'on put voir dans Ze monde, mon jameux perroquetu*<sup>166</sup>...

Tłumaczę to sobie moim nieudolnym językiem w taki sposób:

Papuga, wielomówny gość z Indii — nie żyje! Schodźcie się na pogrzeb, ptaki nabożne. Idźcie za zwłokami tłumem smutnym, bijcie się w piersi skrzydłami. Szarpcie pazurami policzki, targajcie z braku włosów zwichrzone pióra na głowach. Niech zamiast trąby pogrzebowej zadzwonią wasze pieśni wdzięczne. Philomelo-słowiczku, zapomnij już o zbrodni Tereusza, który ci język urzął. Długie lata powinny były osłabić twój smutek. Los Itysa-bażanta smutny jest z wszelką pewnością, ale przecie to było tak dawno! Płaczcie, wszystkie stworzenia skrzydlate, co lotem skrzydeł swych kierujecie w przezroczystym powietrzu, ale nade wszystko rozpaczaj ty, synogarlico, towarzysko zmarłej. Tak, o papugo! Czym był Pylades dla Orestesa<sup>167</sup>, tym dla ciebie była synogarlica. Ale na cóż ci wierność i piękna barwa twych skrzydeł? Cóż z tego, że spodobałaś się natychmiast prześlicznej kobiecie, kiedym cię przyniósł jako podarunek miłości...

Jest w tym jakaś dziwna swoboda, maluje się samo życie kontemplujące, próżniacze, ale równe i jasne. Owidiusz sam się oskarża, że jest „poetą swej własnej lekkomyślności”. Widać z innych utworów, że zna on straszne pieczary bólesci, ale od nich ucieka do swoich niewiast pięknych, zepsutych, nikczemnych, z cudnymi oczyma i włosami o barwie „cedru z wilgotnych dolin pochyłej Idy”. Na lirze swojej kocha jedną strunę, która dźwięczy przez tyle wieków i dla tylu pokoleń... Jest to śliczne i jakieś takie dziwne. Tuż obok pięknego smutku, który można odczuć tak żywo, jakby się w sercu naszym znajdował, są karty niepojęte, straszliwe w swym nieludzkim cynizmie, jak np. potworna elegia trzydziesta ósma. Dech zamiera w piersiach, gdy się to czyta, jakby go śmierć chwytiała. Niestety, w ohydach jest tak samo cudna poezja. Z tych kart starych ulatuje jak zapach mocnych perfum czy przed tysiącem lat zerwanych róż, które wieńczyły skronie poety.

7 grudnia.

Zmęczenie, zmęczenie... Jest późny wieczór. Śnieg z deszczem zmieszany płacze za oknem, dudni w rynnach jak skarga nędzarza i szkli się na kamieniach podwórza, które oświetla chwiejny błysk latarni. Oczy mimo woli wlepiają się w kałuże słabo błyszczące, co drżą od padających kropel.

Pod sekretem muszę sobie wyznać, że teraz jestem daleko bardziej zmienna niż dawniej. To są pewno jakieś zmęczenia nerwowe. „Nerwy”, których wytrzymałości tak ufalam, jak sile rzemiennych naszelników prowadzących bryczkę, gdy się zjeżdżało z góry ku Głogom...

A teraz po każdym wzruszeniu — bicie serca, po usilnej pracy — ból głowy, ociężałość, na przemiany to roztargnienie, to automatyczność. Tak źle sypiam! Po nocy bezsennej mam tę ciągłą nierówność bicia serca, oczy jakby piaskiem zasypane, szum w uszach, ból w gardle — i jakąś obmierzłą trwogę w duszy. Choćbym w taki dzień miała sumienie czyste, choćbym wyężyła wszystkie siły, żebym się niczym nie splamić — nie jestem szczęśliwa ani swobodnej myśli. Biegnę na lekcje jak rzecz popchnięta, odrabiam je jak idiotka. Gdy na przykład rozwiązuję zadanie arytmetyczne z Anusią, to tylko pierwsze słowa każdej myśli jasno rozumiem, dalsze ciągi gadam jak katarynka swą melodię. Dopiero po wymówieniu zdania — *słyszę* jego sens w głowie niby wyrazy czyjeś, które dokładnie zrozumieć przeszkadzała mi dyskusja z kim innym. Brak siły nerwowej. Biedne, strudzone, ogłupiałe nerwiska nie mają odpoczynku. Każda przeszkoda staje się dla nich uciążliwą, a naprawdę płakać się chce, gdy zdarza się sposobność rozrywki, a i do niej brak ochoty. Ze wszystkiego jednak najcięższy powrót z lekcji do domu. Nogi idą niby spuchnięte. Przemokłe, jak dziś na przykład, buciki dolegają i ciężą, zablocona sukienka nie czyni wrażenia stroju ani odzieży, tylko jakiejś paskudnej szmaty. Ach, to ubranie

Kobieta, Obyczaj

<sup>165</sup>*Elegies amoureuses* (franc.) — *Elegie miłosne* [przypis redakcyjny]

<sup>166</sup>*Uoiseau le plus charmant...* (franc.) — ptak najbardziej uroczy na świecie, moja znakomita papuga... (Ovidius, *Amores* II, 6). [przypis redakcyjny]

<sup>167</sup>Pylades... Orestes — w legendzie greckiej para nierozłącznych przyjaciół. [przypis redakcyjny]

do ziemi! Jest ono zapewne miłe, doskonale i piękne, ale dla pań, które nigdy nie chodzą po zabłoconych ulicach, tylko jeżdżą w karetach. Dla nas, co musimy grasować po bagnach dzielnic ubogich — jest to prawdziwa katusza. Obrzydłe jest podkasać suknię wyżej (zresztą niemożliwe, bo wnet dziesięciu panów zacznie się przyglądać), a ręce kostnieją trzymać ją, dbać o nią — albo zachlapać i nosić na sobie kupy brudu. W jednej ręce niosę parasol, książki, kajety, drugą muszę wiecznie piastować swój ogon i w tym kształcie upędzać się po trotuarach. Skromność pozwala dekoltować się, odsłaniać nagie ramiona i piersi, ale zakazuje demonstrowania światu nogi wyżej kostki, w grubej pończosze i wysokim trzewiku. Ciekawam, czy też w chwili gdy moda każe nam przyczepić sobie z tyłu ogon kangura, będziemy wykonywały jej polecenia z takim samym pietyzmem jak teraz, gdy dźwigamy ogony sukienne?

Dzisiaj biegnąc na trzecie piętro do Lipeckich, zabłocona, przemokła i buchająca parą jak zdrożony koń pocztowy, w środku tych krętych schodów kamiennych usłyszałam muzykę. Ktoś grał bardzo biegle za jakimiś trzecimi drzwiami. Zatrzymałam się na minutkę, z początku żeby usłyszeć, co to grają, a później nie chodziło mi już o to — i do tej chwili nie wiem. Harmonijne tony wzięły mnie opływać dokoła, ni to pytania jakiegoś bolesnego; zaczęły patrzeć we mnie jakby wielkie, pełne łez oczy błękitne. Litowały się nade mną jakoby dobrzy, kochani bracia, ujrzały we mnie coś litości godnego, jakiegoś, widać, zmiany niepożądane, bo łkały z żalu.

Ale wnet zaczęły się w sercu moim uśmiechać — wołać mnie jak gdyby pieszczotliwymi nazwami, a tak dziwnie, tak nadziejsko, jak tego już nie usłyszę nigdy na świecie. Otoczyła mnie cała od stóp do głów wiosenka jedna, dawno, dawno, przed laty w Głogach spędzona, kiedy jeszcze żyła mama i ojciec. Widziałam w oczach zamkniętych ścieżkę do stoku pod wielką gruszą, wokoło jaskry u źródlanej wody, długie smugi kaliny, jeżyn i dzikiego chmielu. Widziałam wodę połyskującą za upustem, zielone pręty sitowia. Srebrne płatki przekręcały się do słońca pod samym wierzchem i okonie z ciemnymi pręgami wychylały swe ostre grzbiety z zimnego nurtu. Drewniana figura świętego Jana stała wśród grobli nad stawem i czarne olchy z krzywymi pniami...

Nie mogę napisać...

9 grudnia.

Gdy się tak człowiek od lat kołacza po świecie, wciąż mijając nowe osoby, nabiera dziwnej wprawy w zgadywaniu ludzi. Nie jest to wcale zdolność poznawania myślami, lecz prędzej widzenia żrenicą. Daleko lepiej i z większą stanowczością udaje mi się przeczuć człowieka, niż gdybym się zabierała do długich i systematycznych studiów, do obserwacji świadomych (choć i tych nie przerywam). Czasami złudzi mnie jeszcze światowa gra życzliwych uśmiechów, często tak dobrze oddana, ale omyłka trwa chwilę, bo wewnętrzna nieprzyjemność zaraz mnie ostrzega. Czekam wówczas cierpliwie i pocziwie życie przynosi stwierdzenie szeptów instynktu. Ileż to już razy tak było!

Oprócz tego „czują” mam jeszcze kilka swoich środków wydobycia prawdy. Oto — nie zaspokajam ciekawości i nie odpowiadam na złośliwość. Wprost „nie raczę” uczuwać pewnych uśmiechów, słów, aluzji.

Szlachetni współobywatele prędko przychodzą do wniosku, że to pień jakiś, twór wyjątkowo tępy, który wcale ukłuć nie czuje. Wtedy odsłania się prawda...

Czy kiedy miałam skłonność do takich badań? Zdaje się, że nie. Życie wszystko potrafi wykrzesać.

Nie ma w tym dawnej mojej a tak naiwnej pokory — och, ani odrobiny! — prędzej jest jakaś zła pycha. Nieraz myślę sobie, że coraz dalej jestem sercem od ludzi. Dokądś odchodzę, do jakichś sennych widziadeł, do jakichś bohaterских, czystych cieniów. One to stanowią prawdziwe towarzystwo.

Świat nasz, otaczający, półinteligentny, półbarbarzyński, a główna — chytry... Przebiegłość służy w nim złośliwości, a złośliwość praktykuje się dla niej samej. Zawsze chodzi o stwierdzenie czyjejs niższości, i to tym bardziej, im ciężej tę niższość odnaleźć. Kobiетки, nasze anioły domowych ognisk, te z maestrią uprawiają sztukę!

Jesteśmy wszystkie tak zaawansowane w sztuce mielenia językiem na szkodę bliźnich, że kiedy męczyzna zbliża się pierwszy raz do obcej, z pewnością formułuje sobie pytanie: jaki też to rodzaj zwierzęcia? W tym czczym życiu panuje wszechwładna obłuda.

Muzyka

Idealista, Kłamstwo



Kłamstwo wcale nie tylko nie jest tępione, ale nie budzi nawet odruchowego wstrętu. Wszystko zle toleruje się z obiektywizmem, a w razach natarczywych daje się rzeczom za pomocą sofizmatów<sup>168</sup> wygląd nieprawdziwy albo się wprost udaje, że nie są wiadome najdokładniej roztrząsnięte fakty. W tej atmosferze oddycha kwiat wychowania domowego niewinnych dzieci. Nawet gdybyśmy mieli wrodzone zamiłowanie kłamstwa, trzeba by je niszczyć dla krzywd, które wyrządza. Ale wszelkie moralne dążenia tnie batem ciągła świadomość, że obok nas żyją ludzie, którzy wprost nie mają potrzeb moralnych, których wcale nie czyni nieszczęśliwymi widok nadużyć. Męka moralna samotnych jednostek wy-daje się być czymś przybłąkanym, niezdatnym do niczego, bez związku z czymkolwiek, niby jakaś właściwość osobliwsza, przedawniona czy za wczesna. A czyliż te uczucia mogą być tak samotne? Toż zaginą jak ziarna zboża w cierniach z boskiej przypowieści.

Ileż to razy usiłowałam wytworzyć w duszy tej lub owej uczenniczki takie ognisko miłości prawdy, rozchuchać przygasały węgielek cudnej władzy, która tyle szczęścia daje człowiekowi. I ileż razy znajdowałam tam opór oszańcowany murem szyderstwa... Moja misja rodziła drwinę. Wtedy zawsze czuję się tak samotną i opuszczoną. I dziś znowu to samo...

Maniusia Lipecka jest to tak zwana „główka”. Zdolności jej są rzeczywiście bardzo piękne, ale pewno pójdą w jednym kierunku. Oto, co wymyśliła. Gdy przychodzi dziadek Hieronim, Maniusia cichaczem prosi go o czterdziestówkę na tak zwane „pieczątki”. Gdy wpada wujaszek Zygmunt — to samo; z cicią Teklą — to samo. Tymczasem mała figlarka ani myśli kupować pieczątek. Zebrane pieniądze chowa do skarbonki. Gdy chciałam przeciwdziałać temu talentowi gromadzenia pieniędzy w ósmym roku życia, mama oparła się z wytrzeszczeniem oczu. Jest to, według niej, zapowiedź sprytu i oszczędności.

Uczucia nasze nie mogą drzemać, muszą mieć jakiś wyraz w czynach. Budzi się we mnie głęboka awersja do tego, co na mieszczańskich piętrach uważane jest za moralność. Stempel obludy wyciśnięty przez matadorów starczy tam za wszystko. Każda z jednostek zadrżałaby na samą myśl, że może być źle odstemplowana. A i ja sama czyż mogę się chełpić, że mię nie obchodzi, co szepce pani Lipecka, Blumowa albo inna „matka”, zajęta systematycznym psuciem duszy swego dziecka pod pretekstem edukacji? Bynajmniej! Liczę się z tym wszystkim. I jak jeszcze! Tylko już was znam, bydlątka boże! Już wiem, że jeśli mię boli i nęka opór waszych dzieci wobec mojej etyki, to nie dlatego, żebyście wy jako gromada były mądre i dobre.

10 grudnia.

List od Wacka. Oto, co pisze:

„Droga zmęczyła mię i znudziła, a na dobitkę ząb mię bolał nie dając w ciągu dziewięciu dni ani chwili spokoju. Właściwie to nie tak sama droga nuży, jak noclegi w powarniach. Nie wiadomo, co wtedy robić ze swoją osobą. Wyjść na czas dłuższy nie można, gdyż pięćdziesięciostopniowy mróz to nie żarty, czytać trudno, przy tym stan ciągłego wyczekiwania, obawa, że renifery rozbiegną się i trzeba będzie z konieczności kilka dni zatrzymać się w takiej dziurze, wszystko to, razem wzięwszy wywoływało nasz pośpiech. Renifery rozbiegały się kilkakrotnie, ale udało się nam z Jasiem dość prędko je gromadzić do kupy. W ciągu całej podróży nie straciłem ani jednego dnia. *Nulla dies sine linea*<sup>169</sup>. Widzisz, jak to dobrze umieć łącinę! Taka linea w tych stronach znaczy kilkadziesiąt wiorst. Renifery wszędzie dobre, droga z małymi wyjątkami znośna, więc mknęliśmy z szybkością dziesięciu (do dwunastu) wiorst na godzinę.

Powarnie czasami okropne! Tyle się już o nich czytało, tyle słyszało, a jednak rzeczywistość znacznie przechodzi wyrobione o nich pojęcie. Są to ogromne, niskie landary bez podłogi, bez nar, z dymiącym kominem, ze szparami w ścianach — jednym słowem, do mnie podobne: ze wszystkimi wadami, ale za to bez żadnych zalet. Na pierwszy rzut oka przedstawiają się poetycznie, szczególnie kiedy ogień oświetli ściany pokryte białym szronem, soplami, i niby tysiącem znikających diamentów zacznie migotać. Ale estetyczne zadowolenie ustępuje miejsca rozczarowaniu, kiedy ta fantastyczność zaczyna

<sup>168</sup>sofizmat — rozumowanie z rozmysłem zbudowane fałszywie, a pozornie wyglądające na poprawne. [przypis redakcyjny]

<sup>169</sup>*Nulla dies sine linea* (łac.) — dosł. ani dnia bez kreski (słowa przypisywane słynnemu malarzowi greckiemu Apellesowi, IV w. p.n.e.); potocznie: praca nad określonym dziełem posuwa się każdego dnia naprzód. [przypis redakcyjny]

Dziecko, Matka,  
Nauczycielka

Mieszczanin

Podróż

Dom

kapac na nos i ubranie wędrowca. Na noc w powarniach nigdy się nie rozbierałem, przeciwnie, ubierałem się ciepło, co do przyjemności nie należy. Przy tym, dopóki ogień się pali, takie *goronco*, jak mówią twoje Litwinki, że nie wiadomo, gdzie się ukryć, a jednocześnie nogi i plecy marzną. Czasami zamiast w powarni udawało nam się nocować w jurcie, ale i te *chambres garnies* nie są bez „ale”. Kilkanaścioro ludzi płci męskiej, żeńskiej i nijakiej gnieździ się w małej jurcie razem z psami, cielętami, w bezpośrednim sąsiedztwie bydła. Dołączony do tego zapach gnijących ryb powoduje to, że trzeba było wyskakiwać na jednej nodze dla złapania tchu.

Rano znowu jazda. Wytrzymałość reniferów — zadziwiająca. Trzeba je widzieć (choć nie radzę...) obciążone naładowanymi nartami, gdy się wdzierają na pionowe urwiska gór lub gdy pędzą po błotnistych kępach, ledwie-ledwie pokrytych śniegiem. Pędzimy przez błota! Narty skaczą, chyboczą się po kępach jak łódź w czasie wiatru na wodzie. Noc ciemna, widać tylko jakąś nikłą, białą płaszczyznę. Woźnice krzykiem poganiają zwierzęta do szybszego biegu. Za sobą słyszę coś w rodzaju sapania lokomotywy i co chwila to z prawej, to z lewej strony ukazuje się pocziwy, rogaty pysk jelenia, obrośnięty szronem, buchający parą, z wywieszonym jak u psa jęzorem. Gdy ścisnęły silniejsze mrozy, jelenie przestały sapać i stuliły buziaki. W czasie jazdy trzeba się ciągle przechylać to w tę, to w ową stronę dla zachowania równowagi albo, dla przywrócenia jej, uderzać nogą w ziemię. Wjeżdżamy w las, przecinamy wzgórze, po czym szalonym pędem staczamy się znowu w dolinę. Jelenie pędzą jak wiatr i narty lecą, aż dech zamiera w piersiach. Na dole przednie narty zwalniają biegu, następnie wszystkie z trzaskiem uderzają się o siebie i rozskakują na wsze strony. W dolinie znowu kępy, znowu podskoki nart niby po wzburzonych falach. Zmuszonemu do ciągłych ćwiczeń gimnastycznych — ciepło, ale nogi marzną, a przy szalonym pędzie po kępach w ciemności nie może być mowy o rozgrzaniu się w jakikolwiek sposób. Nareszcie w oddali ukazuje się słup iskier. To jurta! Witamy ją radośnie jak żeglarze latarnię morską. Po chwili rozzgaszczamy się w ciepłe, jemy i pijemy jak bohaterowie Homera, a zaraz potem spać, spać! No i tak co dzień — przez trzy miesiące i dwa dni. Mój aparat, szkło, przybory dowiozłem w całości, czemu się okrutnie dziwuję. Mają mi przysłać z Jakucka klisze, papier i w ogóle wszystko. Cóż tam u ciebie, moja słodka dziewczyno, moja miła siostrzyczko...”

15 grudnia.

Od pewnego czasu łaknę i poszukuję widoku radości. Szukam książek wesołych. Wielką by mi przyjemność sprawiło, żebym widziała czyjeś życie pełne szczęścia. Mam dokoła siebie albo nędzne, chorowite egzystencje, albo zapasy z przeciwnościami nad siły. Co krok można spotkać osoby zadowolone (ze siebie), ale nigdzie nie widać wesołych. Zadowolenie jest tam, gdzie są małe potrzeby, a szczęścia, z którego tryska wesele, tak jakby nigdzie nie było. Człowiek stworzony jest do szczęścia! Cierpienie trzeba zwalczać i niszczyć jak tyfus i ospę.

24 grudnia.

Wróciłam z pasterki. Byłyśmy wszystkie, to jest panna Helena, Iza i moje bębenki. Mróz. Sypki śnieg iskrzy się i chrupie pod nogami. Z mojego okna widzę tylko dachy ze srebra. Szeregi zaczarowanych pałaców stanęły w biednej dzielnicy.

Księżyc świeci.

Druty telefoniczne osędziały. Są białe jak sznury grubej bawełny, którą zwija na kłębek jakaś babcia, ogromnie, ogromnie wiekowa. Jest coś dziwnego w tej nocy jasnej, w tej nocy czystej. Niewysłowiony wdzięk leży na murach oblanym światłem miesięcznym.

Już chyba wszystkie walki ze znużenia w tej ciszy ustały i żelazna pięść przemocy osłabła z żalu.

Gdyby w tej chwili zbójca chciał sztylet utopić w piersiach swojej ofiary — zemdłałaby mu ręka. Bo teraz aniołowie zstępują z niebios na ziemię i tulą do serc przeczystych westchnienia skrzywdzonych ludzi.

Kto teraz modlić się będzie...

W żłobie, gorzej niż niemowlę ubogiego parobka, leży ten, o którym mówił Izajasz, że „uderzy ziemię różgą ust swoich”. Może to Jego królestwo już się zaczęło, może już idzie „rok Pański wdzięczny”. Niech się umocnią dusze cierpiące dla dobra wielu, niech wytchną, Panie...

26 grudnia.

Kondycja ludzka

Anioł

Narodziny

Święta! Śpię, próżnuję i chodzę na wizytki. Zniosłam do siebie stos książek i rzucam się od jutra w srogię czytanie. Guepe wyjechała na tydzień.

Do naszego apartamentu wyniesiono dla braku miejsca od państwa S. choinkę. Mam w nocy miły zapach świerczyny. Ach, żeby tak przejechać się sankami wśród lasu obsypanego śniegiem, świecącego sopłami, w zimowy wieczór, kiedy to gonty na dachach strzelają! Jak to tam jest teraz?

Puste pola. Ani szmeru, ani szelestu. Księżyc idzie nad rozległym przestworem. Gdzieś niedługo gruszka polna stoi wśród śniegów samotna, obdarta. Rzuci swój cień błękitnawo...

7 stycznia. Wacław umarł.

Odebrałam wiadomość od tej pani przed tygodniem...

23 marca.

Przerzucając rupiecie w szufladzie mojego stolika, znalazłam ten sekretnik. Gdy otworzyłam, wzrok mój trafił na słowa przed dwoma miesiącami pisane. Jak gdyby coś nowego!... Zarazem takie samo zimno, obojętność. Czyliż to ma być moje nieszczęście? Gdzież ono jest? Ja go nie czuję. Słowa te są puste wewnątrz i tylko mają formę, powłokę bólu znanego ludziom.

Dawno, gdy jeszcze byłam w domu, nieboszczyk tatko pokazywał mi w Głogach pszenicę, którą śnieć zjadła. Szliśmy rano o świcie, obok niwy pod górą, nad strumykiem Kamiennym. Tatko urywał kłos, wyjmował z niego ziarno. Było całkiem podobne do ziarna pełnego, miało zewnętrzną barwę. Tylko gdy było dotknięte palcem, wylatywał ze środka złotej lupiny murz<sup>170</sup>, czarny, pyłkowaty, sypki. Tak i moje uczucia... Nie ma w nich czystego chleba uczuć siostrzanych, tylko śnieć spróchniała...

25 marca.

Chciałabym tu opisać...

Zaczynam czuć potrzebę wyjawienia, jakby ekstirpacji<sup>171</sup> z głębi siebie. Jestem taka zabita! Żadnych uczuć, żadnych nawet poruszeń.

Jestem podobna do owej sadzawki Siloe, gdy od niej anioł odleciał<sup>172</sup>. Czuję, że coś w mej duszy, jakaś dawniejsza jej władza — przestała istnieć, a to, co zostało, jest *dla mnie* już na nic. Jest to tchórzliwe i oziębłe. Nic już nowego na ziemi zrobić nie potrafię. Są jeszcze dobre istoty, które cenią we mnie i te resztki, ale ja sama czyż mogę przystać na myśl, żeby jakąkolwiek wartość nadawać czemuś, co jest jak nędzny łachman, pozostały z dawnej odzieży. Był czas, kiedy sądziłam, że jestem zdruzgotana ze szczętem. Dziś widzę, że tak nie jest.

Złamane jest tylko moje osobiste szczęście.

Chcę rozbudzić w sobie siłę życia, bicząc się wspomnieniem panny L., biorę się pazurami do robót ciężkich. Ale to wszystko, to wszystko...

Takie mam ciągle uczucie, jakby mi ktoś podpowiadał, co trzeba, uczył mnie, jak trzeba, wysiłał na to duszę swoją, a ja mu stale, z chłopską nie dowierzam. Często przybiega do mnie to ta, to owa znajoma i mówi o swych strapieniach. Wówczas mię to „mile zajmuje”, ale w sposób bardzo zbliżony do wzgardy. Myślę sobie patrząc na łzy cudze, jak szczęśliwymi są ci, co takie tylko wylewają.

Ja milczę.

Znam jedno mądre słowo, o którym Wacek nic nie wiedział.

Słowo: *Hart sei!*<sup>173</sup>

Byłby mię zabił wzrokiem, gdybym mówiła, że życie trzeba kochać nade wszystko.

26 marca.

Często teraz wcale nie wiem, co jest dobre, a co złe. Zdaje się, że nic „złego” nie robię, ale też żadnej nie mam pewności, że takie sprawowanie ma jakąkolwiek wartość. Chwilami wydaje mi się, że „dobrym” uczynkiem byłoby właśnie wręcz coś innego. Ro-

<sup>170</sup>murz (gwar.) — grzybek pasożytniczy niszczący zboże. [przypis redakcyjny]

<sup>171</sup>ekstirpacja — wyrwanie z korzeniami. [przypis redakcyjny]

<sup>172</sup>Siloe — sadzawka w Jerozolimie, tu uitożsamiona z sadzawką Betsaida (Owczą). Aluzja do wersetów z Ewangelii św. Jana w Nowym Testamencie (J 5:2-5): kiedy anioł zstępował do sadzawki Betsaida i poruszał jej wody, nabierały one wtedy własności uzdrawiających. [przypis redakcyjny]

<sup>173</sup>Hart sei! (niem.) — bądź twardy. [przypis redakcyjny]

zumieć rozumiem wszystko tak samo jak przedtem, tylko żadne już pewniki nie mogą mną władać.

27 marca.

Na cóż się zda cierpienie?

Czy można wierzyć, że taka męka jest zwyczajną, ordynarną koniecznością? Czyją? Gdy długie dni są tym wypełnione, staje się ono dla umysłu niepojętą zagadką, tajemnicą udręczającą, której znaczenie, nad wyraz doniosłe, ukryte a władcze, jak ptak mistyczny krąży nad głową.

Czarny, złowieszczy kruk niedoli!

29 marca.

Miałam długą chwilę wmyślenia się w jakiś krajobraz. Kępy błotniste, ledwo pokryte śniegiem. Jest mi bardzo niemiło...

2 kwietnia.

Nie wiem, co mi jest. Jakieś uczucie ze wszystkich najsilniejsze i najbardziej przejmujące smutkiem... Tęsknota... Smutek, któremu brak wszelkiego przedmiotu, celu i myśli. Ach, nie — jest tej myśli jakaś nędzna, uciekająca, bezradna drobina. Taki błędny okruczeństwo mieści w sobie tylko przeświadczenie, że to, co mię o smutek przyprawia, jest najważniejszą, najcenniejszą, jedyną wartościową sprawą. Dziwna rzecz: za pomocą tego małego atomu odgaduje się prawdziwą treść życia, widzi przestwory, światy rozległe i dalekie, o których nic nie wie codzienny, zdrowy rozum.

Tęsknota, tęsknota...

Uczucie najbardziej niewypowiedziane, stan próżny wszelkiej ulgi, ucisk serca ciągly i jednostajny.

A przecie on sam w sobie jest upragniony, bo daje jakby lęklive pożądanie ujrzenia znowu onej niedoli. Oziębłość zimowa, którą przeżyłam — nie był to stan dobry. Teraz zaczynam pamiętać każde z tych zimnych uczuć, niby jakieś narzędzia z żelaza, które rozdzierają.

Dawno już temu, z osiem lat może, zśliśmy pewnego razu z Henrykiem przez nasz gaj brzozowy. On miał w kieszeni rewolwer. Chcąc się pochłubić przede mną, wyjął tę broń, wycelował i strzelił. Kula przebiła na wskroś młodą brzozę. Z tego miejsca trysnęła struga soku i uchodziła tak długo, tak długo, aż nie mogąc znieść, uciekłam z lasu. Gdym była na jego skraju i odwróciłam głowę, widać było jeszcze strugę sączącą się po białej korze. Słońce w niej przeglądało się i iskrzyło tak samo, jak się przegląda w nędznej kałuży na drodze, po której brodzą cieleta.

3 kwietnia.

Już sama nie wiem, czego chcę. Tęsknię, a raczej usycham z tęsknoty. Chciałabym pójść, uciec... Jestem jak człowiek bardzo chory, który sam nie wie, co go najwięcej boli. Źle mu jest, a poruszyć się nie ma siły. Gdyby zresztą zdołał, to i zmiana położenia szkodę mu przynieść może.

5 kwietnia.

Zdaje mi się, że gdybym mogła usłyszeć trochę dobrej muzyki, może bym była tak samo nieszczęśliwa, ale mniej bezradna. Łzy silniejsze są niż wola. Dlatego cierpię i nic w sobie zmienić nie umiem. Wszystko pozostaje tak, jak było, te same cele, te same obowiązki. Rozumiem to i wciąż jestem bez sił. Nie mogę się uskarżać na brak postanowień... Jest ich tyle w mych ustach! Brak tylko jakiejś małej, drobnej rzeczy...

6 kwietnia.

Wstaję rano, idę na lekcje, odbywam wszystko jak się patrzy — i śmieję się z tego wszystkiego. Jest to tyle warte, co wiatr karmić. Do niczego nie mam ochoty. Sama siebie pytam, czego mi się chcieć może i ciągle, nie mówiąc sobie tego, stwierdzam, że pragnęłabym jednej tylko rzeczy: nie być.

Ta myśl wysuwa się bez żadnych przejść od minionego usposobienia, lzy płyną i w nich jest to życzenie...

7 kwietnia.

Z Antosią L. przechodzę teraz literaturę... grecką. Sama umiem z niej (z literatury greckiej) tyle, com zasłyszała od Wacka. Czytałam wszakże onego czasu wszystko, co

Cierpienie

Melancholia

Drzewo, Przemoc

Tęsknota

Brat, Siostra

on przechodził, a nawet greczyzny samej sporo wchłonęłam. Obecnie czytamy tragedie Eschylosa, Sofoklesa, Eurypidesa w przekładzie Z. Węclewskiego<sup>174</sup> i K. Kaszewskiego<sup>175</sup>.

Któż by pomyślał, że w kartach tych utworów można swój ból spotkać, że już wówczas były siostry, którym zabraniano chować w ziemi braci...

Moja uczennica czytała równym głosem Eschylosa *Siedmiu przeciw Tebom*<sup>176</sup>. I oto, co tam mówi Antygona:

Przemóżne są krwi związki, która mię jednoczy  
Po rodzicielce biednej i niebogim ojcu!  
Więc znoś cierpliwie krzywdę, serce me, na którą  
On zzymał się, i poświęć życie dla zgasłego  
Z siostrzanej tej miłości. Ciało jego wilcy  
Żarłocznicy nie rozszarpia. To się nie pokaże!  
Bo grób wykopię własną ręką i ostatnią  
Posługę, choć niewiasta, oddam sama jemu.  
Wyniosę go w buchastej szacie tej  
I sama go pochowam. Nikt mnie nie powstrzyma!  
Skuteczny ten wynajdzie sposób, kto odważny...

Szalona dziewczyna! Nie, nie! Precz z takimi wzorami! Ja jestem rozsądna, mój ideał — to posłuszna Ismena, szanująca rozkazy Kreonowe. Ja nie pójdę kopać grobu dla Polinejkesa.

11 kwietnia.

Święto. Nigdzie dzisiaj nie wyjdę. Tak jestem rozbita i tak mi źle, jakbym siedziała w ciemnym i dusznym lochu. W ciągu ostatnich dni napada mnie płacz. Gdy na lekcji nie mogę beczeć, duszę ten płacz w sobie i dźwigam go z miejsca na miejsce.

W święto, gdy Guepe wyjdzie i nikt mię nie widzi, całymi godzinami pozwalam sobie na tę niekosztowną rozrywkę.

20 kwietnia.

Szłam dziś z lekcji niezwykłą drogą: Alejami Jerozolimskimi. Było ciepło i jakoś bardzo widno w powietrzu. Daleko, za Wisłą, ciągnęły się przed oczyma lasy niebieskie. I oto bez żadnej racji serce zaczęło znowu trząść się i trwożyć we mnie jak biedne, głupie dziecko. Uciekam od płaczu, bo jeśli tylko w dzień szlocham, w nocy nie śpię na pewno, a potem zaraz idą kolejną straszne zmory, jedna za drugą. Och, widma nocne! Powinnam była wyrwać zaraz oczy z tej przestrzeni, ale nie mogłam. W żaden żywy sposób!

Pójdę już z tego miasta! Nie chcę! Wydrę się ze siebie samej, z moich myśli, postanowień, prac, obowiązków, ze wszystkiego!

Ziemio, nigdy przez człowieka nie zasiewana!

Szczery, pusty, bezpłodny gruncie!

Wysokie, szumiące swobodnie drzewa leśne!

Tamtędy idzie w nasze strony kolej nadwiślańska. Nic nie zdoła oddać porywu radości, jaki się mieści w tym głupim pewniku. Gdyby tylko do czerwca przewlec duszę...

Tam ją obmyję w śnieżnych wodach mojej dziedziny.

13 maja.

Ciepły, jasny wieczór. Na kamieniach mojego podwórza ścielą się łudzące, srebrnoszare figury miesięczne w deseń czarodziejski. Stary, brudny, splugawiony zaułek jest jakiś inny, niepodobny do siebie, jakby i on marzył... W tej nocy nawet ubodzy nędzarze dźwigają się i kierują oczy ku jasnym gwiazdom, które im przypominają dawno wygasłe uczucia.

Ileż mocy widoki te wlewać powinny w serca nasze, w serca istot młodych, które

Tęsknota

Miasto

Natura, Wieś

Młodość

<sup>174</sup>Zygmunt Węclewski (1824–1887) — filolog, tłumacz Eschylosa i Eurypidesa. [przypis redakcyjny]

<sup>175</sup>Kazimierz Kaszewski (1825–1910) — krytyk literacki, filolog i tłumacz, szczególnie cenne były jego przekłady dramatów Eschylosa i Sofoklesa. [przypis redakcyjny]

<sup>176</sup>*Siedmiu przeciw Tebom* — jedna z siedmiu zachowanych tragedii Eschylosa; jej treścią są przygotowania do obrony Teb przeciwko najazdowi króla Argos, sprowadzonemu przez Polinejkesa na własny kraj w odwet za pozbawienie go tronu i wygnanie z ojczyzny. Gdy Polinejkes padł w walce, Kreon, władca Teb, zabronił pogrzebać jego ciało; wtedy z dwóch siostr Polinejkesa Ismena podporządkowała się rozkazowi, zaś Antygona, nie bacząc na karę, pochowała zwłoki brata. [przypis redakcyjny]

nie ciągną ze sobą ciężkich wozów złej doli, w serca tych, co duszę swoją cenią nade wszystko, kochać bardzo głęboko umieją i nie sprzedali jeszcze siły płynącej z czystego serca ani męstwa ciskającego rękawicę wszelkiej podłości!...

4 czerwca.

Piszę te słowa zardzewiałą stalówką w Kielcach, w hotelu. (*Unaju* w Kielcach, jak pamięć ludzka wstecz sięgnąć zdoła, wieczyście w hotelach ku wygodzie podróżnych leżały zardzewiałe stalówki).

Co za katastrofa! Jestem znowu tutaj w moim poczciwym mieścisku... Wczoraj zerwałam wszystkie lekcje, odrzuciłam dwa zaproszenia na wakacje, u Lipeckich i u tej pani Niewadzkiej z Cisów — spakowane graty powierzyłam „Gierce”, która przez lato zostaje w Warszawie, a sama, obarczona trzydziestką rubli i małym sakiem, ruszyłam na łeb na szyję. Nic mię nie obchodzi, co się dzieć będzie z moją osobą. Wiem tylko tyle, że będę w Krawczyskach na grobie mamy i ojca, w Głogach... A zresztą wszystko mi jedno! Zapewne pojedę do Mękarzyc, do wujostwa Krzewińskich. Może zabawię tam całe lato, a może tylko kilka godzin. Wszystko mi jedno... (Patrz wyżej!)

Teraz już nie ja rządę, tylko podmuchy wzruszeń, Lelum-Polelum<sup>177</sup>... One mię niosą, dokąd chcą, jak bujne konie. Długo więziłam je w żelaznej stajni, co dzień zatrzaśkiwałam wrótnię, wbijając palce w płytę z granitu, teraz niech sobie pędzą, jako chcą. Jechałabym natychmiast, ale deszcz jak z cebra.

Niedobre, przebrzydłe Kielce! Co wyjrzę oknem, to zamiast upragnionego błękitu — nowa gromada chmur i strugi ulewy. Ale niech tam! Musi się wyjaśnić.

Przyjechałam w nocy, blisko o czwartej i z trudnością znalazłam ten numer. Tak to — już w mieście Kielcach panna Joasia nie ma nikogo...

Szybko wygasa domowe ognisko i rozwiewa się w ostrym wietrze wonny dym rodzinnego namiotu. Gniazdo człowiecze trwa tak samo długo jak gniazdo pająka. Przebieram w myśli osoby tutejsze, które pewno siedzą jeszcze między Karczówką a Pocięszką, ale nie znajduję nikogo, kto by zajrzał mi w oczy z braterskim zrozumieniem, gdybym powiedziała dzieje mego żalu, dzieje grobowego smutku, który był jak cień śmierci. Nie mogę nikogo wymyślić — jak by to powiedzieć? — z oczami widzącymi. Są to wszystko poczciwi ludzie, których tępe serce nie przebija ścian domu familijnego. Ale Bóg z nimi! Umieć już chodzić wśród zimnych ludzi jak między nagrobkami cmentarza. Mniejsza o to!

Moja aleja ku Karczówce, mój wysniony latami w Warszawie daleki widok górski!

Bije godzina szósta na dzwonnicy katedralnej. Miły, spiżowy dźwięku zegara, bądź pozdrowiony! Jakże ci się obawiałam niegdyś, z jak głęboką trwogą słuchałam cię pierwszy raz po przyjeździe z Głogów do szkoły! A oto... Ale precz ze wszelkimi wspomnieniami! Nie wolno myśleć o rzeczach dawnych, bo znowu zaczną się brewerie płaczowe.

Cicho, tylko deszcz gada w rynnych i od czasu do czasu przemknie się z łoskotem wehikuł kielecki.

Tegoż dnia w Mękarzycach.

Już jestem tutaj, u wujostwa. Bardzo późno... Jaka błogosławiona cisza. Nocuję sama, na „drugiej stronie”, w tej starej „salce”. Jestem szczęśliwa, ach, jakże jestem szczęśliwa! Cicho, na palcach stąpam w tym pustym pokoju, gdzie stoją dawne graty, które pamiętają umarłych — i nasycać się świadomością, że to nie złuda. Tu, w Mękarzycach! W tych niskich stancjach bywałam z mamą nieboszczką, gdym miała trzy, cztery lata... Powąla z dwiema belkami, cokolwieczek skrzywiona; ściany wybielone wapnem, które tu i ówdzie odpada, ukazując suche i twarde drewna modrzewiowe. Okno zasłonięte kępami georginij, malw i bżów. Z ram jego deszcz splukał pokost. Zasuwki, stare zasuwki dziwnej formy, ozdobnie wykute przez jakiegoś ucznia Tubalkainowego<sup>178</sup>, powlekle rdza warstwą tak grubą, że uczyniła z tych żelazek rzeczy doprawdy piękne. Gdy się wmyślam uparcie, to zda mi się, że jak przez sen widzę tego, kto te zasuwki przybijał. Był to młody kowal... Miałam wtedy może cztery lata. Wszystko to: przepalone szyby, drzwi, ściany, sprzęty i stare litografie noszą na sobie jakąś cechę wzruszającą. Istnieją bez żadnej

<sup>177</sup> *Lelum-Polelum* — rzekome bóstwa wiatru w wierzeniach dawnych Słowian; ich siedzibą miała być Łysa Góra. [przypis redakcyjny]

<sup>178</sup> *Tubalkain* — według legendy biblijnej pierwszy na świecie rzemieślnik. [przypis redakcyjny]

Dom

Kondycja ludzka

Dom

zmiany w ciągu kilkudziesięciu lat, na tych samych swoich miejscach, wytrzymują działania pór roku i stają się jakby niezbędnymi częściami tutejszej przyrody. Każdy z tych przedmiotów ma swoją historię i wprost należy do famili. Stary dwór schyla się, paczy i garbi, ale trwa w gruncie rzeczy taki sam jak przed laty. Jest to dom rodzinny, zrosnięty z polem, z sadem, z drzewami i kwiatami. Kiedyś może się w próchno rozsypie i zginie z powierzchni, tak samo jak umiera człowiek...

Psy szczekają. Zwabione światłem w oknach pokoju, gdzie zwykle wieczorem bywa ciemno, sadowią się tuż za szybą i ujadają okrutnymi głosy.

Ale do rzeczy. Każde *extemporale*<sup>179</sup> trzeba pisać według punktów. Najprzód wstęp... A więc: Wyjechałam dziś z Kielc przed południem. Deszcz był troszkę nacichł, choć nie ustał. Siał sobie swoje mokre plewy, czasami tylko puszczając grubsze ziarno. Najęłam dorożkę za cztery ruble (słuchajcie, słuchajcie!) — i jazda! Woźnica mój podwiązał chudym szkapom ogony, otulił dobrze nogi (swoje) derką i z niebywałym trajkotem wyruszył z miasta. Gdy wpadliśmy na szosę, naszą starą, szczerbatą od wybojów, kochaną szosę, gdy zaczęło spod kół pierzchać rzadkie błoto... Nie mogły go wstrzymać wachlarze *dryndy*, dzwoniące zupełnie na wzór janczarów, tylko obdarty fartuch jak mógł mię, pocziwiec, zasłaniał. Na tym pocziwcu utworzyło się wkrótce jezioro wody, przebiegające z miejsca na miejsce jak żywe srebro.

Byłam znużona, senna i jeszcze bardziej szczęśliwa niż teraz. Uwagę moją, a raczej mój uśmiech bląkający się w przestworze, skupiały co chwila na sobie dwie latarnie, służące, jak sądzę, ku ozdobie pojazdu. W gruncie rzeczy wybite szyby i odwalone wierzchy nic im innego, doprawdy, nie zostawiły prócz tego honoru. Jeden z tych szczątkowych organów powozu przywiązany był do macierzystej sztabki żelaza rozmokłym szpagatem. Kadłub foszmana, w opończy koloru błękitnego z odcieniem sloty, zasłaniał mi świat, a jedyny, samotny, żółty guzik w pasie z wyobrażeniem jakiegoś herbu — przyciągał oczy. Przestrzeń widzialną obsiewał drobny deszczyk. Daleko, w mgławym, burym powietrzu snuły się zarysy wzgórz. Ich kształty, raz po raz uciekające we mgłę przed oczyma, były dla mnie prawdziwymi wyrazami żalu. Jeżeli tylko dosięgałam ich wzrokiem, wnet uczuwałam, jak mię bolą.

Tak ongi małej dziewczynie wiezionej do gimnazjum ścisłało się serce, gdy żegnała wzrokiem te ukochane wzgórza...

Dorożka skacze z dziury w dziurę, chwieje się co moment niby osoba chora na tabes<sup>180</sup>, która wszakże ukrywa swój defekt, żeby nie stracić posady — ślizga się na zakrętach, jakby w złych momentach rozpaczy pragnęła raz wreszcie rzucić się samobójczo do rowu. Oto wysuwa się wieś, złożona z chałup szarych jak pole, choć ściany ich niegdyś bielono.

Wierzby z grubymi pniami, z których strzelają młode, jasne, bujne pręty; dzikie gruszki w polach, dzikie tak samo jak za owych czasów. Tam, gdzie się grunt nachyla, jest rzeka w nizinie. Ta rzeka idzie z mojej wsi, z Głogów. Zjeżdżamy ze wzgórza na długi most. Zmoczone konie idą noga za nogą, para z nich wali. Ja wychylam się z budy i sięgam wzrokiem czystej wody sączącej się po kamieniach i grubym piasku, wody, która przepłynęła koło domu moich rodziców. Szlaban. Powóz się zatrzymuje. Trzeba płacić kilka groszy. Szukam ich w kieszeni, nie — ja szukam wszystkimi zmysłami dźwięku tej rzeki, która tam w dole coś do mnie pluszcze.

Ruszamy znowu wolno pod górę. Obok idą ludzie zgarbieni, zaciapani w błocie, okryci włosiem, który może się nazywać tylko kudłami. Coś gadają do siebie, drą się obrzydłe i swarzą. Jedną twarz poznaję. To nasz chłop, Wicek Michcik. Taki sam był za czasów mego dzieciństwa. Trochę się zestarzał. Konie ruszają, i w brzuku żelastwa, w turkocie kół słyszę słowa niedawno w Biblii przeczytane. Żyła, widać, ta skryta myśl we mnie, jak gdyby stalowym rylcem na ołowiu wypisana: „Nie będzie pamięci tak mądrego, jak i głupiego na wieki, gdyż przyjdą dni, kiedy wszystkiego zapomną, a jak umiera mądry, tak też i głupi...”.

Ta cyniczna mądrość rzucona przez zuchwałego króla, znawcę „wszystkich spraw pod słońcem”, nie niosła mi przykrości. Była prędzej jak prawda doskonała, harmonizująca ze wszystkim, niby płyn, co wypełnia każdy punkt żądny nasycenia. Wszystko cichło we

<sup>179</sup>*extemporale* (łac.) — tu: praca piśmienna. [przypis redakcyjny]

<sup>180</sup>*tabes* — uwiąd rdzenia pacierzowego; choroba ta wywołuje trudności w poruszaniu się. [przypis redakcyjny]

mnie, uśmierzało się i jak gdyby kładło do snu. Wtuliłam się w kąt powozu i przesuwałam w pamięci ponure słowa, które przychodziły, nie wiem czemu.

Ze wzgórza roztoczył się widok na płaszczyznę. Daleko, daleko ujrzałam drzewa mękarzyckie. Wtedy znowu żarzyć się we mnie poczęła cicha radość, która mię do tej chwili nie opuszcza. Wiedziałam, że nie znajdę tu tego, czego szukam, ale widok lasów sennych, długich i szerokich pustek zarosłych małym jałowcem — ciepło rozlewał po moich żyłach. Tam bór, w którym nigdy nie byłam, obcy i niemiły, ale z drugiej strony mękarzyckie aleje, roztopione we mgłach i jakby z mgły utkane...

Wtedy także przyszło mi na myśl, że nikogo nie zawiadomiłam, że właściwie nie wiem, czy tu wujostwo mieszka. A może już się wyprowadzili, może poumierali? Tyle lat do nich nie pisałam! Zaczęłam liczyć... To już dziesięć z górą, jakim tu nie była.

Nad wieczorem moja *drynda* zboczyła z szosy i wjechała w szpaler topolowy. Stare, obdarte budynki, dwór w ziemię zapadły, rozwalone płoty...

Weszłam w znajomą sień: — nikogo... Uchyliłam pierwsze drzwi i skoczyłam jak trzyletni bęben: stary pocziwiec fortepian, nad nim księżę Józef... Ależ rozumie się!

A teraz, gdy piszę te zdania, czuję, że tu jestem obca, cudza, samotna. I cóż z tego? Szum starych topól, który mię tylekroć przerażał, gdyśmy stąd w późną noc z mamusią odjeżdżały... Do niegom się przywlekła. Czyliż może być czulszy głos na tej ziemi?

5 czerwca.

Minął dzień i krótki wieczór. Byłam w stajni, w oborze, na czworakach, w polu, na łące. Nie wiem, czy to jest rzeczywiste, czy złudne uspokojenie, ale czuję się bardzo dobrze. Żadnej skłonności do płaczu, nawet pewien (niemiły) wstręt do wzruszeń. Opowiadanie o Wacławie formalnie męczy. Wacław w dniu śmierci swojej przekazał mi jak gdyby spadek. Twardym prawem dziedzicznym narzucił mi próżne miesiące zimowe, dni, w poprzek których płynęły same tylko łzy, i noce bezsenne, zapchane pracą ducha tak bezpłodną jak zgadywanie przyczyn rzeczy, a tak samo twardą, przymusową i konieczną, żeby żyć, jak oddech. Teraz ledwo—ledwo rozumiem, że się to ze mną zdarzyło. Przeszło jak powódź w górach. Tylko rozmięcione bryły kamieni i muł wiszący na krzewach wskazują, dokąd sięgało zniszczenie.

Tak, bez wątpienia: wieś stworzył Pan Bóg, a miasto diabeł, i to diabeł *bourgeois*<sup>181</sup>. Ludzie mieszkający na wsi są tak zdrowi i szczerzy w swym zdrowiu, że po prostu przedstawiają mi się jak niewiarygodna anegdota. I to są właśnie ludzie, z których ja się wywodzę!

Gdy dziś o godzinie piątej czy szóstej rano mój wujaszek zaczął krzyczeć na kogoś z ganku, zerwałam się i w bieliźnie wypadłam jak fiksotka, sądząc, że to pożar czy napad zbójów. Okazało się, że wujaszek *wybałasił* kogoś przed stajnią. Nic nadto.

Może to jest źle i nieszlachetnie opisywać osoby, u których się bawi (a w dodatku krewnych), ale nie mogę powstrzymać się i wyjść ze zdumienia. Czyż to jest naprawdę ciotka Waleria, wujaszek Hipolit i córka ich, a moja siostra cioteczna, Teczka? Ja znałam tych ludzi, ale oni byli całkowicie inni! Nie! to ja byłam inna. Widziałam ich dawną parą oczu... tutejszych. A teraz tamtej mnie — już ani śladu! Oni zapewne są ci sami. Tu się mało co zmienia. Lat przybywa, plecy się wypaczają, włosy siwieją, dom wchodzi w ziemię, a okrom tego wszystko po staremu. Gdyby wstał z trumny dziadek Józef, niewiele by znalazł rzeczy obcych sobie.

A ze mną, ze mną co się zrobiło! Z istoty takiej właśnie, osiadłej na gruntach ojcowskich, stał się *laufer*<sup>182</sup> biegający po świecie za lekcjami, coś w rodzaju motyla wykwitłego z poczwarki (jeśli wolno użyć tak wyszukanej metafory). W całodziennych rozmowach dzisiejszych z ciotką Walerią i Tecią wobec samej siebie zdawałam jak gdyby egzamin z mojego życia. Przypomniałam sobie żywo nie tylko te obydwie krewnie, ale w całej pełni — siebie samą.

Daleko więcej materiału do zdumienia ja muszę dla nich przedstawiać. Tak przynajmniej chciałabym sobie tłumaczyć obojętność ich wszystkich. Nie jest to zimno zewnętrzne. Całujemy się i płaczemy dość często, ale w tym wcale nie ma serca ani nawet litości. Ciotczysko całując mię wylewa łzy dlatego, że myśli o drugiej, młodszej swej cór-

<sup>181</sup>*bourgeois* (franc.) — mieszczanin, mieszczuch. [przypis redakcyjny]

<sup>182</sup>*laufer* (z niem.: Läufer) — biegacz. [przypis redakcyjny]



ce, która wyszła za technika mieszkającego aż pod Ufą<sup>183</sup>. Teczka dumy o sobie, zestawia me wolne życie z jej ciężką niewolą rodzinną i płacze nad sobą. Wuj ani myśli płakać, gdyż nie leży to w jego atrybucjach<sup>184</sup> („baby są od szlochów”), natomiast prze-myśliwa, po co ja też zawitałam w te strony, i ciągle mię wtajemnicza w swe fatalne interesy, biada na kiepskie oziminy, procenta, posuchy, motylce, choroby pyska i racic... Przewiduje, nie-szczęśnik, że lada chwila wypalę orację o pożyczkę pieniędzy. Odetchnąłby pełną piersią, gdyby wiedział, że ja tylko do powietrza, do wody i ziemi...

Tak, to jest dla mnie świat zgoła obcy. Ci ludzie nic nie spostrzegają na ziemi oprócz Mękarzyc i nie mają żadnych innych widoków oprócz swoich pieniężnych skojarzeń. Starczy wujostwo zajmują się tym tylko, co jest w granicach folwarku. Promieniem ich życia jest Felcia, obecnie Balwińska, ciemną stroną — Tekla, która „nie wyszła” i, obym była fałszywym prorokiem, zostanie starą panną. To rodzinne zamknięcie horyzontu jest tak szczelne, że ja wcale się w nim nie znajduję, nawet w tej chwili, kiedy tu siedzę. Moje całe życie byłoby mocno podejrzone, gdyby nie to, że jest do gruntu obojętne. Czytam to w ich oczach, gdy szczerze mówię wszystko i gdy oni z uśmiechami niby współczucia słuchają.

Historia Wacława!

W istocie jesteście dla siebie obcymi ludźmi.

Słucham długich i szczegółowych pieśni epickich o tym, jak to Felcia „spodobała się” owemu inżynierowi na balu w Kielcach, jak przeszły „konkury”, oświadczyły, ślub, wyjazd, urodzenie dziecka. W tych sagach<sup>185</sup> rodzinnych Felcia jest jak gdyby heroiną. Ją to wszystko już spotkało. Już spełniła, co do niej należy.

Teczka jest smutkiem rodziny. Ona jeszcze... nikomu się nie spodobała i jeśli była celem jakich konkurencji, to mówić o nich szkoda, bo nic z tego.

Z myślą i uczuciem „Teczka” łączy się zgryzota: „tych kilka tysięcy” posagu i „wyprawa”. Pocziwa ciotka urządza mi interwiew<sup>186</sup>, jak też ja sędzę: czy lepiej dać więcej w gotówce, czy więcej „włożyć w wyprawę”? Jak też ja sędzę? „Bo to wy tam na szerokim świecie lepiej te rzeczy macie sposobność widzieć niż my na wsiach. Tu u nas rozmaicie sędzą. Okolicami panuje zwyczaj, że się do wyprawy nie daje tego a tego...” Ciotczysko sędzi, że lepiej jest włożyć tyle a tyle w srebra, bo „srebra zostają na całe życie...” Z jakim uczuciem wygłasza tę maksymę! Stałam twardo po stronie sreber.

Biedna Teczka siedzi w Mękarzycach i czeka. Cała jej istota przypomina nogę Chin-ki, od dzieciństwa urabianą w drewnianej formie. Teczka uśmiecha się, mówi, opowiada, żartuje i płacze na wzór ciotki i wuja. Wujaszek ma zwyczaj określania pewnych rzeczy, obcych mu, terminem: — „głupstwo!” — albo łagodniej: — „pewno jakieś głupstwo!” — albo (w najlepszym razie): — „tego nigdy dawniej nie bywało”, bez wytykania palcem, może przez grzeczność, samego terminu: — „tego głupstwa nigdy dawniej...”.

Otóż i Teczka używa tych samych zwrotów. Czasem, gdy ja mówię coś dziwnego dla Mękarzyc, Teczka szybko bada okiem twarz rodziców i przybiera na swoją ich uśmiech. Nie mówię o myślach i sądach. Wszystkie te sądy o rzeczach są takie same, jak były kilkadziesiąt lat temu, kiedy ciotka Waleria była panną i uczyła się w Ibramowicach. Teczka, dziś żyjąca, jest, właściwie mówiąc, panną z czasów Klementyny z Tańskich Hoffmannowej<sup>187</sup>... Świat przeszedł sto mil ze swoim dobrem i złem. W pokoju Teci, który przylega do sypialni wujostwa i jest z przewidującą czujnością strażony, znajduje się nieco książek. Są to zabytki bibliograficzne, tak zwane „książki dobre”. Rozumie się: ta Klementyna z tych Tańskich, stosy przekładów z angielskiego... Wśród tych wszystkich dobroci leżą, o zgrozo! *Poezje* ni mniej, ni więcej, tylko samego Kazimierza Przerwy-Tetmajera!

Skądże ten tutaj? Trafił przypadkiem, pożyczony z sąsiedztwa jako „coś do czytania”. Został odczytany tudzież (pochlebiam sobie!) wyrokiem rodzinnym zganiony.

<sup>183</sup>Ufa — miasto u podnóża Uralu. Obecnie stolica Autonomicznej Radzieckiej Republiki Baszkirskiej. [przypis redakcyjny]

<sup>184</sup>atrybucje — uprawnienia komuś przysługujące. [przypis redakcyjny]

<sup>185</sup>saga — staroislandzkie lub skandynawskie opowiadania o życiu i czynach dawnych bohaterów narodowych. [przypis redakcyjny]

<sup>186</sup>interwiew — wywiad. [przypis redakcyjny]

<sup>187</sup>Klementyna z Tańskich Hoffmannowa (1798–1845) — autorka utworów dla młodzieży; zajmowała się zagadnieniami wychowania. Jej poglądy pedagogiczne traciły pod koniec XIX w. staroświecczość. [przypis redakcyjny]

Czy jednak cząstka Tekli nie jest lepsza od mojej? Och, na pewno jest lepsza!

Dom rodzinny, cisza, opieka, ta jakaś spokojność, do której tak wzdychałam w Warszawie! Tu przez mur nudów nie dochodzą wzruszenia, ale wraz z nimi nie wciskają się bóle. Tu nie wpada w rękę Owidiusz ani w ucho zła mowa, nie rani hak podstępnej myśli ani nagość obrazów życia. Tu jest tak cicho... Jeśli przyleci głos jaki ze świata, to niby echo żywej rozmowy prowadzonej za trzema ścianami.

Ale, kochana Teci, gdyby mi przyszło wybrać twój los (nawet przy boku moich rodziców) — już bym się nie zgodziła. Przenigdy! Ja już jestem człowiek.

Sucha kromka chleba, ale moja własna; niebogata przyszłość, ale urobiona własnymi rękami. Z obu stron mojej samotnej, kamienistej ścieżki, po której idę, roztacza się świat nowoczesny jak dojrzewające zboża pól nie ogarniętych oczami. Rozum mój i serce karmią się kulturą żyjącego świata, w której z dnia na dzień przybywa pierwiastku dobra.

I ja tym wzrostem cieszę się i żywię. Gdzie on tam płynie w żyłach ludzkości, „jak krew po swych głębokich, niewidocznych cieśniach”.

6 czerwca.

Dziś jeździłam na grób mamy i ojca do Krawczysk. Szłam od gościńca szeroką miedzą. Na tej drodze nie ma kolein, są tylko ścieżki, często deptane stopami ludzkimi. Obok, z prawej i lewej strony, kołysze się ciemne, stalowe żyto o kłosach brunatnych, które dopiero świat ujrzały. Z dala, w nizinie, widać ogromne drzewa i biały mur. To tam.

Cmentarz już się zappełnił mogiłami, więc rozszerzone zostały jego granice bez usuwania ścian dawnych. Otoczono zuchelek szczerzej wydmy u wejścia do dawnego cmentarza ledwie ociosanymi żerdziami i żółte mogiły już się chłopskim rzędem układają pod tym świerkowym, pod plotem...

Bramę dawnego cmentarza zamknięto. Nikt tam już nie wchodzi ani z żywych, ani z umarłych. Jest to miejsce poświęcone tym, co przed wieloma laty zasnęli w Panu. Gonty w daszku, który niegdyś stare mury osłaniał, zgniły i wypadły. Tylko spróchniałe, obnażone krokiewki jak piszczele świecą się ku słońcu. Gdzieniegdzie połyskuje żelaznym lebkkiem gwóźdz-gontal osamotniony, bez racji sterczący.

Ruszyłam wrótnie bramy, złączone ze sobą żółtym od rdzy rygłem dużego zamka. Rozsunęły się cicho, bez zgrzytu ani oporu. Tak może odmykają się przed duszami drzwi rajy... Weszłam na ten ugor święty. Bujne, aż czarne trawy, okryte rosą, ślicznie czerwone kwiaty koniczyzny, maków... Deptałam je nogami za każdym poruszeniem. Mogił już nie znać. Ani jednej! Tu i owdzie grunt się zakłął. Przyszło mi do serca uczucie, że w takich dołach muszą leżeć ludzie nieszczęśliwi. W pewnym miejscu runął na ziemię wielki krzyż drewniany, w próchno się rozsypał i krwawy ślad w postaci krzyża leży tam w bujnych, soczystych trawach, jakby płonąca żagwią wypalony.

Mogiły rodziców nie były wcale niczym oznaczone. Nie wiem, gdzie są. Szukałam ich z początku wzrokiem, później cały cmentarz obeszłam. Ani śladu!

Szukałam tego krzewu, który mi wówczas został w pamięci, gdy obok niego mamę złożono. Daremnie.

Rozłożyste kępy jasnej brzeziny, którą mój ojciec tak lubił, utworzyły całe gąszcze i smugi. Może u jego wezłowia się pinią nadobne i woniąjące...

Śpią tu pospołu wszyscy, rolnik przy rolniku, którzy tę ziemię orali, sami dzisiaj kwiatami jak łąka zasiani. Cisi — osiedli dziedzicznie tę ziemię cmentarną.

Wysoko i nisko śpiewały ptaszyny. Kiedy niekiedy ciepły wiatr niósł tu na skrzydłach swoich odgłos szelestny młodego zboża, rozchyłał gałęzie krzewów i cicho przechodził po trawach nie tkniętych nogą niczyją, jakoby anioł-odźwierny, świętej ciszy troskliwie pilnujący. Pod przejrzystymi jego stopami uginało się ziele. Wysmukła akacja, której pniak strzelisty i ściśle, czarne gałęzie zdają się lecieć ku niebu, szumiała z trwogą i ze wszystkich drzew najwyraźniej, kołysząc się pod jasnym słońcem przezroczystymi listkami. Zdawało mi się, że coś mówi to poświęcone drzewo, zdawało mi się, że usłyszę śpiewne jego wyrazy. Gdy się zasluchać, wtedy wiadomym się staje, że ono tylko wzdycha wieczyście.

Prosiłam się w głębi duszy mojej, czy spotkam kiedy...

7 czerwca.

Jutro wyjeżdżam. Tak przynajmniej zdecydowałam. Nie mogę sobie dać rady! Zamiast ukojenia, którego doświadczyłam z początku, ciągnęłoby to za sobą irytację wewnętrzną

albo jakie spory, czego nie chcę za skarby świata. Stosunek do chłopów, do służby, do ludzi zatrudnionych na folwarku! Może to są sobie śmieszne idealizacje miejskiej panny, bardzo wszystko być może, ale ja nie znoszę dziczy. Nie mogę w tym oddychać.

— Żebyś tak pomieszkała wśród tych łotrów... — mówi wujaszek — bo to tam u was łatwo gospodarować przy stoliku, z książeczką w ręce...

Otóż nie będę już mieszkała wśród „łotrów” i uciekam. To jest właśnie jedyny mój sukces, że mogę odejść, dokąd mi się chce i kiedy mi się podoba.

Taki stan emancypacji przeżywali chłopci mojego dziadka Józefa za czasów Księstwa Warszawskiego<sup>188</sup>, kiedy zdjęto im z nóg kajdany, ale razem z butami. Ja zdjęłam z nóg także kajdany razem z trzewikami, to jest fakt historyczny, ale też mogę chodzić swobodnie z miejsca na miejsce, jak chłopci owego czasu. Dokądże tedy idę jutro? Płacz ze szczęścia, serce moje... Do Głogów.

10 czerwca.

Znowu Kielce, w hotelu. Już się kończy J wyprawa, bo się kończą fundusze. „Wracam na Liban, do mojego domu...”<sup>189</sup> Już za mną zostały Głogi, Krawczyńska, Mękarzyce... Jestem zupełnie spokojna i zdrowa.

Trzeba tylko jeszcze po porządku wszystko, jak było, wyluszczyć. Z Mękarzyc uciekłam dziewiątego, chłopską furmanką, bardzo rano. W dniu poprzedzającym to zdałam zamówienie na wsi parę szkapiać i wasąg, ładowany słomą. Zrobiłam ten „afront” wujostwu z umysłu, ale nie dlatego wcale, żeby im dokuczać, I lecz żeby nie będąc związaną ich grzecznością robić ze sobą, co mi się podoba. Gdy pewnego razu bąknęłam w rozmowie, że chcę być w Głogach, wszyscy wytrzeszczyli na mnie oczy, jakbym ogłosiła światu coś obrażającego uczucia ludzkie.

— Po co?! — dał się słyszeć trójjedyny okrzyk. — Przecie tam mieszka obecnie Żyd, Lejbuś Korybut.

Cmentarz w Krawczyskach — to jeszcze było zrozumiałe, ale myśl jazdy do Głogów, gdzie mieszka Korybut, traktowano jak rzecz wprost głupią, a z punktu widzenia folwarczno-stajenno-mękarzyckiego nawet niemożliwą, gdyż jakieś tam siwki cugowe... Tacia pytała mnie ze swym familijnym uśmiechem, co ja tam myślę robić.

— Zajedziesz — mówiła — do tych Głogów — no i cóż zrobisz? Gdzież wysiądziesz? Przecie we dworze mieszkają Żydy...

W istocie, gdybym zajęchała końmi i bryczką z Mękarzyc, skupiłabym na sobie uwagę wszystkich. Toteż zdecydowałam się użyć podstępów. Gdy furmanka zaszła przed ganek, dopiero oświadczyłam, że jadę do Kielc, i to niezwłocznie. Za użycie takiego fortelu przeprosiłam jak tylko umiem najpiękniej, oddałam i przyjąłam pocałunki rodowe, których się używa w oznaczonej (bardzo wielkiej) proporcji zupełnie tak, a bez potrzeby, jak na przykład tytułów w listach... Odjechałam.

Za wsią, gdyśmy się zbliżali do szosy kieleckiej, zagadnęłam mojego woźnicę, co będzie chciał.

— Odwieziecie mnie — rzekłam — najprzód do Głogów, a dopiero później do miasta.

Chłop aż konie wstrzymał na drodze, tak się wziął namyślać. Mruczał coś o sianie, obroku, o dniu zmarnowanym, o czterech milach drogi, które trzeba nałożyć, aż wreszcie wypalił, że muszę mu dołożyć pięć rubli. Naturalnie, że się zgodziłam. Gdyby, głupi, zażądał był dziesięciu, a nadto okrywki i kuferka — także bym przystała.

Zaraz skręciliśmy i przez pastwiska, omijając Stróżów pociągnęliśmy w górę. Była może godzina szósta rano. Dzień był ciepły, umyślnie zesłany, tylko przymglony jasnymi i cienkimi włóknami nocnych tumanów, które jeszcze wysypiały się w nizinach podległych — niby sieci pajęczne. Ja sama zapadłam w jakąś obłądną martwość. Serce moje było czujne jak nigdy, ale rozpostarła się nad jego uniesieniem nasza górska i leśna cisza. Wóz mój wolno dosięgnął przełęczy i znalazł się w kolejach starej, trawą zarosłej drogi, zwanej „na górę”. Leszczyny i brzozy rozrosły się tam w las prawie. Chłopina podciął konie, minęliśmy wawóz gliniasty pod szczytem — i oto daleko w dole ukazały się przed

<sup>188</sup>za czasów Księstwa Warszawskiego — Ustawa Księstwa Warszawskiego, wprowadzona przez Napoleona w 1807 r., zniósła poddaństwo chłopów. Nie zwalniając ich jednak od pańszczyzny, nie zmieniła w rzeczywistości położenia wsi polskiej; w praktyce obszarnicy obracali ją na swoją korzyść usuwając z lepszych gruntów chłopów pańszczyźnianych dla poszerzenia własnych folwarków. [przypis redakcyjny]

<sup>189</sup>Wracam na Liban... — cytat z *Ojca zadżumionych* Juliusza Słowackiego. [przypis redakcyjny]

mymi oczyma — Głogi. Z łąk, z rzeki, ze stawu dźwigały się mgły znikające w wyżynie. Dom nasz białymi ścianami jaśniał w zieleni ogrodu i przeglądał się w głębi wody...

Młode szkapki, nie przyzwyczajone do dróg tamtejszych, nie mogły utrzymać wasąga. Orczyki były je po nogach, toteż pędziliśmy ze stromego zbocza góry co tchu, wskroś jałowców. Dopadliśmy strumienia. Tam dopiero konięta wydobyły swe małe łby z chomąt, które im wyprężone naszelniki wcisnęły aż za uszy. Woźnica stanął, a ja wysiadłam. Wskazałam mu drogę, którą ma przejechać na drugą stronę Głogów, aż do szynku przy trakcie kieleckim.

— Przyjdę tam w południe — mówiłam.

Chłop patrzył spode łba, ale walizka moja zostająca na wozie dodała mu otuchy. Gdy wreszcie odjechał, poszłam ścieżką. Trawy nie były jeszcze skoszone. Otoczyły mię kwiaty moje, zarośla. Szłam w szczęściu niby w jakim obłoku. Oto kwiaty, które poznaję nozdrzami, zanim ujrzę oczyma, wychylają się z łąki. „Jaskółki” bladofioletowe, siostrzyczki moje rodzone, najdroższe moje. Nie zrywałam żadnej, tylko stawałam nad nimi, całując je spojrzeniem. One pytały mię także, czemu odeszłam z tej krainy, dlaczego nie mieszkam we wsi rodzinnej... Ale oto przy mojej ścieżce na pastwisku ujrzałam coś nieznanego: duży krzak rokitnicy. Stał samotny...

— Nie znam cię... — rzekłam mu. Ale w tej samej chwili rozsunęło się przede mną wspomnienie... To on!

Do kuchni naszej w tym dniu, kiedy ja przyszłam na świat, zabłąkał się biedny, wędrowny pies. Nikt nie wiedział, skąd jest i jak się zowie. Że w takim dniu przyszedł, dano mu jeść jak gościowi. Od tej chwili został przy dworze. Przewano go „Rozbojem”. Był dobry, pocziwy i wierny. Lubila go mama, bracia i ja bardzo. Gdyśmy do domu na wakacje wracali, zawsze jego szczekanie słyhać było pierwsze, z daleka. W chwili odjazdu patrzył nam w oczy z taką żałością...

Kiedy ja miałam lat czternaście, on już był tak stary, że się z miejsca nie ruszał. Osiwił cały, ogłuchł i przestał szczekać. Leżał na słońcu i starczym, smutnym, sennym wzrokiem spoglądał dokoła. Gdy było zbliżać się ku niemu, machał jeszcze ogonem, dźwigał łeb i uśmiechał się jak człowiek.

Pewnego dnia rano, o świcie, usłyszeliśmy, że skowyczy. Rzuciłam się do okna i ujrzałam na pastwisku strzelca Gązwę. O kilkanaście kroków od niego szarpał się „Rozbój”, przywiązany do kamienia. Blask fuzji, błękitny dymek... Później huk.

„Rozbój” szczeknął raz, drugi...

Gdyśmy z Wackiem, z Henrysiem, jęcząc przypadli, już Gązwy nie było, a on leżał zabity. Przednia łapa jeszcze drgnęła. W moich rękach ostygła.

Tuśmy dół wykopali i na grobie starego psiska posadziliśmy gałąź rokitnicy.

To on jest. W tych prętach krew jego ciepła... Zbliżyłam się i dotknęłam go ręką. Cały w białą rosę nalistnicę jak w albę obleczony. Może pniak czarnego drzewa wyda radosne szczekanie, może martwe liście się poruszają. Nic. Tylko zimne, milczące, rześiste krople spadły na moje ręce.

Przyszłam łąkami do źródła. Stara grusza pod urwiskiem i stok w głębi zupełnie te same zostały. Nawet głazy, po których się dochodzi...

Tak samo ze źródła wyskakują kłęby i banie wodne, zakwitając na wierzchu niby róże wieczne, latem i zimą żywe. Siadłam przy źródle i straciłam świat z oczu.

Ptaki śpiewały w gęstwinach, wśród których lśnią się strugi płynące kilkoma łożyskami ze stoku. W pobliżu przecina je droga piaszczysta.

Nad źródłiskiem czerwieniła się obfitość centurii, którą zrywałyśmy w tym miejscu z mamą nieboszczką. Odwar tego ziele pomagał jej na ból głowy. Ściągnęłam rękę i machinalnie zerwałam kilka tych kwiatów opornych, ale natychmiast, jakby kara za śmierć ich, przeszła mię straszna świadomość. Uczułam w ustach smak goryczy centurii i krople jej płynące do serca.

Odeszłam stamtąd. Przede mną była grobla prowadząca do dworu. Wszystko inne, inne... Nowe gaje drzew wyrosły. Tylko iskry palące się na falach stawu i na śliskich łądogach sitowia, tylko zapach tataraku i wilgotna woń rokit — ta sama. Biało-żółte lilie wodne ze swych szerokich liści uśmiechały się do mnie i sączyły w serce wino radości.

Spostrzegłam, że wielkie olchy nad wodą zostały ścięte i że św. Jana już nie ma. Upust, widać, powódź zniosła, bo zastąpiono go służą, z której płynie nadmiar wody. Teraz nie sączy się wcale, toteż uderzył mnie brak melodyjnego szumu, który trwał tak długo jak moje szczęście w dzieciństwie...

I już tego wszystkiego nie ma, jak wody, która wtedy płynęła, już tego nie naleźć, jak kropel, co uciekły i w morzu utonęły.

Stary, czarny młyn za groblą tak samo tonął w zieleni. Modrzew nad drogą rozrósł się jeszcze bardziej. Dwie iwy obok czworaków spróchniały już zupełnie i tylko para łodyg zielonych wyrasta z ich pniów umierających.

Stałam wobec domu naszego.

Jakież zniszczenie! Płoty, klomby, dróżki — wszystko skasowane bez śladu. Nawet dzikie wino przy ganku wydarte, ganek sam rozwalony, ściany odrapane, okna zabite.

Weszłam do sieni, uchyliłam drzwi dużego pokoju, w którym umarli moi obydwój rodzice. Było tam pełno gratów żydowskich. W tym kącie stoi łoże z mnóstwem pierzyn.

Uciekłam co prędzej.

Nikt z dorosłych nie widział mnie zrazu, tylko mały Żydek, pewno sześćoletni, skądś wylazł i zabiegał mi drogę. Gdy stałam na podwórzu, obskoczyło mnie z dziesięć osób. Szli ze mną, dopytywali się, com za jedna, czego żądam. Coś im mówiłam. Jeden stary Żyd dreptał tuż przy mnie badając słowem i wzrokiem. Minęłam dziedziniec, lipy i skierowałam się ku Bukowej. Ów stary Żyd w atlasowym chałacie szedł i coś gadał bez przerwy. Nie mogłam mówić. Wlokłam się... Nareszcie został. Śledził każdy mój krok z oddali, a zza krzaków wyglądały jego dzieci.

Dusza moja była owiana mrokiem, serce zastygło i nie mogło wydać ze siebie ani jednego uczucia. Tylko myśl sroga, bolesna i mściwa, jak błyskawica oświetlała to miejsce. Miejsce zostało to samo. Wszystko przeminęło w czasie, odpłynęło z wodą. Grunt obojętny został sam jeden i jak przed wiekami zielenił się do końca. Nic tu nie ocalało po moim ojcu, po mojej matce, po mnie i braciach. Obszar, przesiąkły pracą, myślami i uczuciami nas wszystkich, wziął inny człowiek.

W tym miejscu, gdzie ostatni jęk wydali oni, które jest dla mnie świętym świętych — szwargoczą cudzy ludzie. Drzewa, co żyły w ciągu lat tęsknoty w duszy mojej jak święte, tajemnicze symbole spraw zakrytych przed śmiertelnymi oczyma, koleje dróg wyłobione w żółtym piasku, co jak złote liny ciągnęły mnie do tego kraju pośród łez i mroku nocy zimowych, łąki moje i błysk wody w zakrętach rzecznych między olszyną — wszystko dziedziczy przychodzić! Dla niego te wszystkie skarby duszy mojej są tylko przedmiotami lichego zarobku.

I on tak samo jak my przeminie i zstąpi ze swoim handlarskim mózgiem w tę ziemię, która wszystko pożera. Ujrzałam wtedy jej prawdziwe oblicze! Jej uśmiech do wiecznego słońca, w którym było jakby drwiące natrzęsanie się z miłości mojej dla niej, jakby cyniczna spowiedź, że ona mnie nigdy nie widziała, że nie wie wcale, kto jestem! Ona nie taka jest, jaką kochałam.

Na miłość serca ludzkiego nie odpowiada. A gdy ku niej z całej mocy dusza się wdziera, ona odsłania w błysku sennym jakiś cel zaziemski, którego niczym, co jest w mocy człowieka, nie można osiągnąć.

Obok wąwozu, w tym cichym kąciku między polami, nagle stałam. Zwróciła mnie moc, której w sobie nie znam.

Byłam tak blisko moich rodziców, że prawie słyszałam ich osoby, mogłabym dotknąć ich rękoma. Zdało mi się, że są za mną, że jeśli odwrócę się i wejdę w bramę folwarku, to ich zobaczę pod lipami. Łaski takiej bliskości nie miałam nawet w Krawczyskach.

Było cicho. Złuda trwała przez małą chwilę.

Po niej dopiero objęłam piersiami straszną egzekucję, którą śmierć spełnia.

Gdzież oni są? W co się obrócili? Dokąd odeszli z tego miejsca? Całe moje ciało trzęsło się aż do głębi serca.

Rozsypywałam się w proch przed śmiercią, z błaganiem, ażebym była godna osiąść tajemnicę.

Gdzie jest mój ojciec, gdzie jest matka, gdzie Waclaw?...

Wtedy usłyszałam w sobie znowu te słowa, jak wówczas, w drodze do Mękarzyc.

„Takowyż przypadek schodzi na ludzi, jako i na zwierzęta, gdyż jako zwierzę tak i człowiek umiera i jednakowego ducha mają wszyscy, a nie ma nic w człowieku przed bydłciem, bo wszystko jest próżność”.

I jeszcze dalej, jak niewysłowioną boleść, struchlałymi ustami szeptałam do siebie wiersze Mędrca Pańskiego:

„Któż wie, czy duch człowieczy idzie w górę, a duch zwierzęcy zstępuje na dół, pod ziemię. Wszystko idzie na jedno miejsce, a wszystko jest z prochu”.

Bez sił, w głuchej rozpaczce dowlokłam się w zarośla na wzgórzu. Weszłam między brzozy i, nic nie widząc ani słysząc, błakałam się. Nie przypominę sobie, kiedy, i nie wiem, w którym miejscu, upadłam na ziemię. Zeszła na mnie żądza śmierci. Tylko ją jedną czułam i ona była ostatnim tętnem mojego serca.

Tak trwało długo...

Ale wtedy z cmentarza w Krawczyskach moja matka przyszła do mnie z głębi ziemi. Wskroś iltu, piasku, opoki przedarła się ziemią. Nie leżałam już na martwym ugorze. Uczułam się na łonie matki mojej, w którym jej serce uderzało. Szły we mnie głębokie, ziemne, ciche wzruszenia. Słowa moje próżno by chciały wyrazić to, co się odbyło. Śmierć zlekła się i odeszła, ustał płacz i żal.

O, jasne kwiaty mojej doliny...

---

Ten utwór nie jest objęty majątkowym prawem autorskim i znajduje się w domenie publicznej, co oznacza że możesz go swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać. Jeśli utwór opatrzony jest dodatkowymi materiałami (przypisy, motywy literackie etc.), które podlegają prawu autorskiemu, to te dodatkowe materiały udostępnione są na licencji Creative Commons Uznanie Autorstwa – Na Tych Samych Warunkach 3.0 PL.

Źródło: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/ludzie-bezdomni-tom-pierwszy>

Tekst opracowany na podstawie: Stefan Żeromski, *Ludzie bezdomni*, wyd. 24, wyd. Czytelnik, Warszawa 1976

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>). Partnerem projektu jest Prokom Software SA. Reprodukacja cyfrowa wykonana przez Bibliotekę Narodową z egzemplarza pochodzącego ze zbiorów BN.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Aleksandra Sekuła, Olga Sutkowska.

Okładka na podstawie: [anietozk@Flickr](mailto:anietozk@Flickr), CC BY-SA 2.0

ISBN 978-83-288-1046-4

*Wesprzyj Wolne Lektury!*

Wolne Lektury to projekt fundacji Nowoczesna Polska – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

*Jak możesz pomóc?*

Przekaż 1% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Nowoczesna Polska, KRS 0000070056.

Pomóż uwolnić konkretną książkę, wspierając zbiórkę na [stronie wolnelektury.pl](http://wolnelektury.pl).

Przekaż darowiznę na konto: [szczegóły na stronie Fundacji](#).